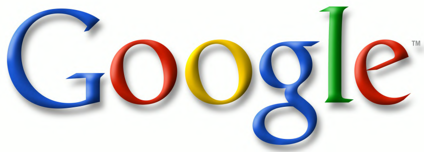





KNIHOVNA
PRAZE

Towarzystwu Młodzieży Sło-
wiańskiej „Slavia"
przesyła
Dr A. L. Mol.

OBRAZ

NAJNOWSZEGO RUCHU LITERACKIEGO

W POLSCE.

B.20.

OBRAZ

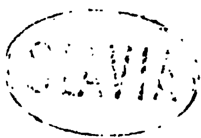
NAJNOWSZEGO RUCHU LITERACKIEGO

W POLSCE

skreślił

Fr. Henryk Lewestam.





WARSZAWA.

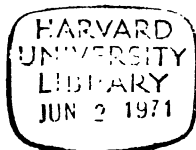
Nakład i druk **S. Orgelbranda** Księgarza i Typografa.

1859.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 9 (21) *Listopada* 1857 *roku.*

Cenzor, Radca Dworu, Stanisławski.



SPIS RZECZY.

SPIS RZECZY

Strona

WSTĘP OBOWIĄZKOWY O KRYTYCE,

A NADOBOWIĄZKOWY O LITERATURZE I POEZYI;

ZGODA SENATORSKA W. POLA.

W ostatnich czasach wiele i z różném szczęściem, mniéj lub więcéj wymownie, w pismach naszych rozszerzano się nad znaczeniem krytyki i nad kierunkiem, w jakim ta bez zaprzeczenia nader ważna gałąź piśmiennictwa winną postępować. Sądzimy jednak, że całą kwestją streścić można w bardzo krótkich wyrazach. Krytyk, powołanie swoje dobrze rozumiejący, nie jest niczém inném jedno historykiem literatury, bądź to w danym jakim, do teraźniejszości odnoszącym się zakresie piśmienniczym, bądź w pojedynczym pisarzu, bądź nakoniec w szczegółowym jakim utworze. Poznać związek, zachodzący pomiędzy płodami bieżącéj literatury z obecną chwilą, a rozwojem idei w sztuce i spółeczności, naznaczyć tym płodom właściwe stanowisko, wykazać o ile wymaganiom ogólnego wieku odpowiadają, lub nie odpowiadają, nakoniec zaś, i w tém główna zasługa, przewidzieć jaką wartość miéć będą w oczach krytyki już nie współczesnéj, ale naówczas, kiedy wejdą w dziedzinę

historji, kiedy stanowić będą drobną i częstokroć zaledwie dostrzegalną cząstkę całości, oto, co nazwiemy godném i należytém wywiązaniem się krytyki z danego założenia. Założenie to wprost byłoby chybione, gdyby krytyk zasiadający do rozbioru dzieła, do tyla zajął się tym szczegółem, iżby myśl swoją od ogółu, od całości chciał oderwać. Koniecznym wynikiem podobnéj pracy byłaby krytyka stronnicza, co najmniéj jednostronna, bo posługująca jednemu punktowi widzenia, bo uchodząca z ogromnego obszaru działalności powszechnéj, w ciasne zakątki pojedynczych faktów.

Dwoistą jeszcze pod tym względem określić możemy czynność krytyczną. Jednę z nich, która ma na oku postęp ku lepszemu, która przekonanie swoje radaby wlać w pisarza, i przedstawiając cel ostateczny, do jakiego zmierzać powinien (jeśli może), zachęca go do osiągnięcia tego celu; drugą, która nie roszcząc sobie prawa do podobnego wpływu, chyli czoło przed wyższością wybranego talentu, albo poznaje nicość umysłu niepowołanego, —która jedynie ustalić chce lub prostować sąd rozważnego czytelnika, a dla której przedmiot traktowany i autor jakim się zajmuje, mają już tylko znaczenie faktu spełnionego. Pod tę ostatnią kategorję, która widoczniéj od wszystkich innych wchodzi w zakres historji literatury, podpadać będą także nasze artykuły, ruchowi literackiemu poświęcone; niekrótkie bowiem przekonało nas doświadczenie, jako na niczém pełzną najszlachetniejsze zamiary krytyki, wpływania na *scriptorum genus irritabile.*

To téż czas już, żebyśmy zaprzestali tych ogólnych wywodów o krytyce, którémi bez miłosierdzia wszyscy piszący nas obdarzają i żebyśmy bliżéj w samą raczéj literaturę i dzisiejszą jéj dążność się wpatrzyli. Tu poznamy, że każdy

okres w historyi, tak samo jak każdy perjod w życiu ludzkiém, jak każda pora w jednorocznym zwrocie przyrody, ma swoją oddzielną cechę charakterystyczną, która wprawdzie innych rozlicznych ze wszystkiém nie wyłącza; ale która nad niemi do tyla ma przewagę, że najrozmaitszym nawet dążnościom niezaprzeczone i niestarte wciska piętno. Po czasach surowéj ale jędrnéj siły, po głębokiéj wierze i po tych wszystkich mnogich kierunkach, które aż do najlżejszych nawet szczegółów wrażały się swojemu otoczeniu, swoim przedstawicielom, równie jak wielkiéj, ciemnéj massie, przeszliśmy do epoki zimnéj rachuby, zysków mnożących się w nieskończoność, obliczonych na dziesiątki lat i na półsetki, do epoki spekulacji giełdowych, przemysłu rolnego, fabrycznego, handlowego. Egoizm owiał wszystkie serca i bez podziału króluje nad wszystkiemi stosunkami spółecznemi. Związki między-narodowe, tak samo jak międzyrodzinne, jak pojedyncze ludzkie, uległy potężnemu wpływowi tego wielkiego motora dziewiętnastego wieku, a co najbardziéj jest zasmucającém, to, że wylęgły z tak brudnego pierwiastku cynizm chełpi się otwarcie swą nagością, urąga każdemu szlachetniejszemu poglądowi i dążeniu. Wśród tak porywającego prądu i literatura i sztuka, choć mimochętne nie ostały się; od czasu do czasu wprawdzie otrząsają się ze zgubnego wpływu, ale częściéj ulegają naturalnemu prawu konieczności. Skoro bowiem uwagę zwrócimy na zewnętrzny pojaw piśmiennictwa, na związek z innemi objawami organizacji spółecznéj, uderzy nas stosunek, w jakim występuje względem całego obszaru życia praktycznego, który to stosunek w tak zwanéj utylitarnéj literaturze z każdym dniem nowych zyskuje zwolenników. Oprócz licznych dzieł specjalnych w każdéj gałęzi przemysłu, w ka-

żdym kierunku praktycznym, dążność tę postrzegamy nawet w utworach wyobraźni, w płodach prawdziwie poetycznych, kiedy raz namiętności polityczne na scenę w nich występują, raz górę bierze oschły dydaktyzm, do którego z trudnością tylko, bo wbrew naturze, fantazja się naciąga. U nas wprawdzie, szczęśliwym zbiegiem okoliczności siła twórcza poety na inną się stronę wywarła; bo kiedy poezja liryczna coraz bardziéj w czytającéj publiczności popadać zaczęła w obojętność; kiedy osobisty wylew uczuć poety lirycznego niknąć musiał przy ogromnych rozmiarach, w jakich się obraca tak olbrzymie na swój sposób stulecie; kiedy czytelnik, przesiąkły wrażeniem faktów na niego samego oddziaływających, mało kiedy dochodził do owego spokoju wewnętrznego, który jeden tylko usposabia nas do przejmowania się pięknością sztuki dla saméj sztuki i dla saméj piękności: wówczas natchnienie zwróciło się do jędrniejszéj przeszłości, i najobfitszy w niéj znalazło żywioł. Przesadzona częstokroć szablistość nie osłabiła jednakże w nas wrażenia, jakiemu nieźmiennie już zostaniemy przystępni, odkąd Pasek nam znajomy i Pamiętniki Starca: to bowiem pewna, że nikt pod względem wyobrażeń o narodowéj poetycznéj piękności takiego w nas nie sprawił przewrotu, jak on wielce mościwy Jan Chryzostom i Radziwiłł Panie Kochanku. Bogdan Zaleski piérwszy prawie na czele świetnego zastępu swoim liryzmem do epiki nakierowanym uznamionował to przejście; uwydatnił je zaś Wincenty Pol, który w dalszych swoich utworach z nowym zupełnie wystąpił rodzajem, nowym co do treści niemniéj jak co do formy, nie ckliwą już łzawością, ani szorstką rubasznością, ale rzewną męzkością odznaczonéj.

Tradycja szlachecka Jmci Pana Benedykta Winnickiego:

opowiedział. Wincenty Pol, Petersburg. Nakładem B. M. Wolffa 1854 roku, jest dalszym ciągiem Pamiętników Imci P. Winnickiego, które od lat kilku są w ustach każdego miłośnika poezji narodowéj. Któżby nie znał opisu wyjazdu pana Benedykta do Nieświeża i przyjęcia go przez księcia Panie Kochanku? albo dziwniejszego jeszcze wyprawienia go z odpisem na listy przed trzema laty przywiezione? Kto przygody ze zdradzieckim dziadem? kto spotkania z ojcem, przy powrocie, i owéj mięsnéj kolacji w wigilją Matki Boskiéj Siewnéj, za którą ojciec wyjął z kantorka żmiję monitora, albo owéj złotéj ręki z nożem, którą po uzyskaniu rodzicielskiego przebaczenia jako votum złożył w farnym kościele? Otóż w Zgodzie Senatorskiéj P. Benedykt nie opowiada już dalszych własnych swoich przygód, nie wyprowadza już na scenę Karola Radziwiłła, ale w tym samym tonie, który tak pokochaliśmy, z tym samym kolorytem, żywym a świeżym czasu, osób, miejscowości, z tym samym zapałem wylanéj serdeczności, co na przekór wielu innym dzisiejszym dążeniom z przeszłości naszéj najradziéj stronę dodatnią na jaw wydobywa, przezacny poeta maluje najznakomitszą w swoim czasie postać, Księcia Biskupa Ignacego Krasickiego. Tłem obrazu jest ziemia Sanocka i ciż sami Sanoczanie, których Zygmunt Kaczkowski tak dokładnie i wyczerpująco nam przedstawił, że tu same znajome twarze zdaleka nas witają i do nas uśmiechają się; oprawę zaś stanowią odwiedziny Biskupa w domu rodzinnym, w Dubiecku, dokąd cała szlachta Sanocka zjeżdża się na uczczenie wielkiego męża, co sławą swoją téj ziemi, z któréj wyszedł niemały także zaszczyt przynosi. Prostota w układzie ogółu tém szczęśliwiéj pozwala wystąpić tysiącznym szczegółom, tylnż kwiatom w cudny wieniec splecionym. Sam wstęp

już jest pyszną apoteozą dawnego w Polsce życia rodzinnego, którego każdą fazę w błyszczącém wystawia świetle. Ustęp np. w którym opisuje urok, jakim przodków naszych przejmowały wdowa i sierota, czyliż nie zachwyca prawdziwie ewangielicznym wyrazem?

Jeżeli cześć się w życiu oddawała cnocie,
To nieszczęście poczczono w wdowie i sierocie.
„Wdowa!" to słowo było pobudką czułości,
I jak we łzach się zlewa żal wszystkich żałości,
Tak w tém słowie leżała serdeczna wymowa,
I było to zaklęciem, gdy kto wyrzekł: „Wdowa!
Wdowie w pomoc pospieszyć nie było zasługą,
Bo z jéj błogosławieństwem biegło szczęście strugą.
Ale wdowę ucisnąć, to więcéj niż zbrodnia,
I już za życia w sercu piekielna pochodnia.
Tak samo też wierzono, że gdzie jest sierota,
Tam chleba nie zabraknie, choć nie będzie złota,
I takiemu domowi Pan Bóg błogosławi,
Co sierotę ode drzwi swoich nie odprawi,
Lecz do serca przytuli, podjąwszy od proga
I nauczy miłości i bojaźni Boga!
Czasem toś nie rozeznał nawet po pieszczocie,
Które dziécię przybrane, a które jest matki,
Bo się razem chowały, i karmiły dziatki,
A gdy któremu dodać, to chyba sierocie.

Zapomnieliśmy się, wypisując te kilkanaście wierszy, bo ktoby chciał przytoczyć wszystkie perły wdziękiem rzewności siły i prawdy jaśniejące, chybaby całą książkę od pierwszéj do ostatniéj stronnicy tu wypisał. Wspomnimy więc już tylko o opisie Dubiecka i antenatów biskupa, i o odwiecznéj owéj lipie „Ksieni" pod cieniem któréj, jak Kochanowski w Czarnolesie, Książe poetów się wychował, a dawniéj

jeszcze Drużbacka składała swoje rymy i Karpiński śpiewał o Leonorze, bo

Jakiś związek być musi między poetami,
A pomiędzy staremi polskiemi drzewami!

Wspomniemy o serdeczném przyjęciu niezliczonych gości, za to

Choć na czcze serce, łza już w oku świeci,
A choć szlachcic z językiem, zabrakło mu słowa
I płaczem się kończyła serdeczna rozmowa.

Zjazd był niepamiętny, pełno i we dworze i za dworem i na obu probostwach i wikarjach i u mieszczan dubieckich i u żydów; miasteczko umiecione niby pokój,

W każdym domu możniejszym i stół i kapela,
I przyjęcie od serca i kupsko wesela!

Otóż na czele szlachty sanockiéj jaśniały na téj uroczystości świeczniki, w liczbie innych pan Bal podkomorzy i pan Starosta Mniszech z Laszek. Dziwna waśń różniła dwóch tych dygnitarzy:

Podkomorzy miał serce i potężną głowę,
I gdyby Jan Chryzostom, tak piękną wymowę!
Nigdy on się w doborze słowa nie omylił,
Lecz gdy imię Starosty wymówić się silił;
To choć sam się poprawiał, sam sobie przerywał,
Nigdy inaczéj Mniszcha, jak Mniszkiem nazywał.
Więc się gniéwał Starosta, brać Mniszcha za Mniszka!
Ej Mości Podkomorzy! to nie cet i liszka!
Tak na chybił i trafił ludzi chrzcić nie wolno!
I miał to za złą wolę i sprawę swawolną.

Że zaś tam, gdzie krzywo na siebie patrzyli dygnitarze,

na gołe łby darły się ich stronnictwa, przeto Krasicki, chcąc pobyt swój w rodzinnéj ziemi ważnym jakim aktem upamiętnić, do którego i jako poeta i jako kapłan czuł się powołanym, postanowił pomiędzy zwaśnionemi dawną świętą zgodę przywrócić. Srodkami ku temu gawęda i kielich, a gawęda prześliczna o panu Krupie, co to ze skargą na swojego Biskupa zawzięcie wybrał się do Rzymu, a w pięć tygodni jazdy przypomniawszy sobie, że za cztéry niedziele jarmark w Łowiczu, a tu i obsiać trzeba i skopy sprzedać, zawrócił rad nie rad, więc to

Słusznie mawiała starościna Słucka:
„Większa jest łaska Boska, niż zawziętość ludzka!"

I druga przewyborna dykterja o Leszczyńskim i Popielu, a kielich jeszcze skuteczniejszy, kielich Sandomierski.

Stara zgoda wieńczy usiłowanie Krasickiego i dotąd jeszcze w Sanockiém,

Gdy co pójdzie od serca i gładko jak z wodą,
O tém mówią, że poszło senatorską zgodą!

Godziż się po takim opisie treści, kiedy jeszcze gorącą uczuwamy wdzięczność za rozkosz w téj chwili nam sprawioną, godziż się i w jedném jedyną, choć zapewne niemało ważną wytknąć słabszą stronę tego cudnego poematu? Czy dla tego, że rzemiosłem naszém jest krytyka? Bóg widzi, sumienie nasze wolne jest od zarzutu, słusznie może czynionego niektórym recenzentom, coby zadanie swoje za nierozwiązane uważali, jeśliby w rozbieranych przez siebie dziełach jakiéj nie dopatrzyli wady lub usterki! Ale wzgląd, który zapewne zachowalibyśmy z każdym innym mniéj znakomitym pisarzem, z każdym mniéj wytrawnym artystą, wzgląd taki do Wincentego Pola odnosić się nie może. Wy-

powiedzieliśmy nasze uwielbienie dla niezrównanego talentu w opisach, w każdym najobszerniejszym i najdrobniejszym szczególe; dodamy tu jeszcze naszą cześć dla charakterystyki typów, owéj szlachty z życia wyciętéj, którą w naturalniejszym widzimy tu przed sobą obrazie, aniżeli na illustracyjnéj okładce pięknéj edycji Petersburgskiéj; ale pominąć nie możemy, że figura główna, Książe Biskup, zbyt lekko jest naszkicowany, może zbyt blado kolorem nałożony; to przynajmniéj pewna, że niedość wydatny obok wszystkich innych, tak po mistrzowsku wykończonych. Niekoniecznie też poznajemy w nim znakomitego męża, który nietylko piérwszym swego czasu był rymotwórcą, ale i „najsławniejszym z rozumu,” jak go sam Winnicki nazywa, i dworakiem dwóch królów, i zarażonym po trosze doktryną encyklopedyczną; owszem, biskup Warmiński w Zgodzie Senatorskiéj niczém od innych braci szlachty, a przynajmniéj dygnitarzy i senatorów nie różni się. A przecię dla kogoż to łatwe, jeżeli nie dla Pola? Dwa lub trzy rysy śmiałą a pewną ręką jego rzucone, jaka opowieść o życiu domowém (byle coś wyrazistszego nad wzmiankę o codziennéj mszy porannéj lub dyktowaniu wierszy), może o bliższém jego otoczeniu, byłyby wystarczyły na dopełnienie obrazu, w którym teraz, acz mimochętni, pewnym brakiem jesteśmy uderzeni.

Czasem z umysłu sztukmistrz w pół cieniu zostawia jedną postać, by tém skuteczniéj drugą uwydatnić. Tylko że na kontrastową figurę nie zwykł obierać bohatera poematu, osoby środek obrazu stanowiącéj.

LAOKOON.

SZKIC OBYCZAJOWY

przez Aleksandra Niewiarowskiego.

(Nakładem G. L. Glücksberga 1854 r).

Tyle już mówiono i pisano o romansie czy powieści, o znaczeniu i ważności tego rodzaju utworów w ogólném gospodarstwie literackiém, o wpływie, jaki one wywierać powinny i mogą na rozwój ukształcenia narodowego, lub też wzajemnie o wrażeniu, jakie na nie z pojęć spółczesnego wieku przechodzi, że zdawałoby się na pozór, iż ostatnie słowo w téj kwestji dawno już zostało wyrzeczoném.

My wszelako sądzimy, że krytyka i historja piśmiennicza zwykły tylko okołowywać rozwiązanie zagadnienia, a w samo jądro jego rzadko kiedy trafiają. Co do nas, chcielibyśmy i podnieść godność rodzajową utworu i przeciwnie wyzuć go z przesadzonéj wartości, jaką mu radzi naznaczają. Nie jesteśmy i nie byliśmy nigdy stronnikami szkoły utylitarnéj w literaturze pięknéj. Ze wszystkich sztuk jedna tylko architektura służebnicą jest życia praktycznego, i jako taka niepoślednią też w sobie mieści cechę rzemieślniczą; wszyst-

kie inne górują nad potrzebą powszednią, a jeżeli z nią idą w parze, tedy podnoszą się do siebie; ale chybaby przestały być sobą, gdyby do niéj zstępowały. Owóż poezja dydaktyczna, nawet Georgikon Wirgilego i Człowiek Popego (że zamilczemy o Boalu, o Delilu i Koźmianie) nie jest bynajmniéj tą poezją, która jak każda piękna sztuka z niedojrzanego wątku wysnuwa związek pomiędzy Stwórcą a stworzeniem, i która, jak po szczeblach snu Jakubowego, podnosi człowieka do wysokości, z któréj wyszedł i do któréj powrót jest mu naznaczony. Mylnie sądzą, że materjałem poety jest słowo, tak jak snycerza marmur, albo farba malarza; materjałem poety jest człowiek i dla tego liryzm i epopeja i dramat (trzy wyłączne rodzaje poetyczne) mają wspólną sobie oznakę zgłębiania ducha człowieczego. Wszystko co jest za obrębem tego ducha, albo przechodzi w spekulację filozoficzną, albo wpada w zimną materję. Mniejsza o to, że wymagania czasu starły pierwotną barwę ze wszystkich trzech rodzajów; mniejsza mianowicie, że epopeja przekształciła się w romans, że Achilles skarłowaciał w jakiego książęcia lub barona. Tam gdzie zmalały ramy, zmaléć musiały naturalnie i rozmiary obrazu; ale tło jest zawsze toż samo, zawsze błękit nieba i cienie nocy i ta święta ziemia, na któréj oboje odbijają. Podnosimy tedy godność powieści, skoro w niéj upatrujemy epos nowoczesne, ma się rozumiéć z zachowaniem proporcji należnéj; ale wartości téj nie przesadzamy, bo nie przyznajemy jéj prawa bezpośredniego nauczania nas, tylko zwracania pośrednio ku wyższym celom, uszlachetnienia natury naszéj zaspokojonym instynktem piękności, tak jak zaspokajają nas tony symfonji, albo widok posągu lub obrazu. Z romansu historycznego nie

chcielibyśmy się uczyć historji, ani poznawać z obyczajowego obyczaju narodu; szukamy w nich raczéj piękności człowieczéj, objawionéj raz w charakterze dziejów i głównych ich przedstawicieli, raz w organizacji i fizjonomji ludowéj. Mamy więc nietylko prawo domagania się, iżby powieściopisarz był poetą, ale nawet, jeżeli nim nie jest, zdaniem naszém na miano powieściopisarza nie zasługuje; nie idzie nam bowiem o prawdę suchą i rzetelną, ale żądamy prawdy poetycznéj w ludziach i w zdarzeniach. Gotowi nawet bylibyśmy stanąć pod tym względem, w obronie tak nazwanéj i tyle okrzyczanéj „szalonéj literatury,” która dziś i słusznie poniekąd już przebrzmiała; nie pozwolimy bowiem nigdy zaprzeczyć jéj mnogich zalet wysokiéj poetyczności, częstokroć wyuzdanéj, ale zawsze opartéj na bystrém wnikaniu w najprawdziwsze tajniki ludzkiéj natury. Właśnie owéj tą prawdą przesiąkniętéj poezji wielu innym brak romansopisarzom, którzy się z pod dążności przerażania wprawdzie wyłamali, ale których trzeźwa fantazja cały wdzięk upatruje w nieprzesadném oddaniu rzeczy naturalnych. Zamiast uogalniać swoje malowidła, zamiast stawiania przed oczy nasze typów prawdą napiętnowanych, ściągają ją w płaską i powszednią rzeczywistość, a potém użalają się na czytelnika, że w tym typie własnego dopatrzył podobieństwa. Nie powiemy gdzie, ale Diderot zapewnia, że w obrazie szczytnéj myśli i piękności, gdy malarz jedném pociągnięciem pędzla na lewym policzku włochatą dorobił brodawkę, poznał natychmiast portret swojéj dobréj przyjaciółki i najbliższéj sąsiadki. Otóż niejeden powieściopisarz sądzi, że szczęśliwie oddał naturę, jeśli brodawkę w zupełném utrafił podobieństwie, a ta właśnie brodawka powieść jego czyni opowiadaniem powszedniém, utwór poetyczny prozaiczną płasko-

ścią. Romans tedy dążnościowy, widocznie do jakiegoś z góry założonego celu spółecznego skierowany, dzieło w którém autor rozsiada się szeroko, jak professor w swéj katedrze, i w którém z wysokości trójnoga ciemnym czytelnikom wykłada głęboko przemyślane, po większéj części kradzione teorje; romans taki zarówno jest nam antypatyczny, jak owa powieść, tak zwana obyczajowa, która wyrwana z życia kilku oryginałów, sceny lub obrazki podaje za typ wieku, w którym żyjemy, — za typ ludźi, którzy w nim się obracają. My tu nie chcemy ani nauk socjalnych, ani kopii dziwacznych zdarzeń albo charakterów; my w powieści obyczajowéj, skoro raz już ten rodzaj górę wziął nad historyczną, potrzebujemy poglądu poety na życie praktyczne, chcemy myśli, któraby nas ogrzała i wyrwała z trywialności, ale nie chcemy ani osobowych deklamacji liryka, ani czczych utopji reformatora ludzkości.

Radzi jesteśmy, że powyższe uwagi, które od dawna już mieliśmy na sercu, i które po wielkiéj części nastręczały nam się przy czytaniu sławionych utworów najwziętszych naszych romansistów, — że te uwagi mamy sposobność przyczepić do rozbioru pracy młodego jeszcze pisarza, który nietylko, że sąm zapewne nie obruszy się na wykazanie mu fałszywego kierunku, w jakim kroki swoje stawiać poczyna; ale za którym i publiczność nasza tak energicznie nie ujmie się, jak to zwykła czynić za uznanemi już przez nią lub wmówionemi w nią ulubieńcami.

Tyrania opinji publicznéj, u nas więcéj niż gdziekolwiek, w rzeczach literackich na wolność sądu krytycznego niepojęte wywiera ciśnienie. Słowo ujmy wyrzeczone o Kraszewskim, Korzeniewskim, Chodźce, chociażby z najzupełniejszém uznaniem ich znakomitości, surowa prawda w naj-

przyzwoitszéj i najdelikatniejszéj formie wypowiedziana w oczy Deotymie, a już okrzyczą za jakiego Zoila, który się targa na Homera,—za jaką babę z przedmieścia rzymskiego, co plwa na tryumfalny pochód zwycięzkiego wodza, by się w dumę zbyteczną nie wbijał. Jeżeli zaś krytyka, czyli wydobywanie kryterjów, które jaki utwór piśmienniczy zbliżają do, lub oddalają od ogólnych pojęć i prawideł odpowiedniego rodzaju sztuki czy nauki, jeżeli ta krytyka nie jest bynajmniéj (jak wielu fałszywie mniema) konieczną tegoż utworu naganą, tedy bez wątpienia tém mniéj jeszcze jest konieczną jego i bezwarunkową pochwałą, peanem zachwytu uniżonego recenzenta. Pan Niewiarowski obdarzony niezaprzeczoną zdolnością i siłą poetyczną, obrał sobie powieść za szranki talentowi swemu właściwe. Przed rokiem mieliśmy w ręku jego Pamiętniki Warjata.

Zawsze zdaniem naszém rola dramatyczna, przedstawiająca warjata lub warjatkę, najłatwiejszą jest, a nawet przed pewną publicznością najwdzięczniejszą dla artysty. Wzrok dziki, oko nieruchome, włosy w nieładzie, ton głosu ile można najniższy, od czasu do czasu śmiech jakiś, niby konwulsyjny; a każdy z oklaskiem wita te znane powszechne symptomata obłąkania. Ale sztuce wyjątkowo tyle jest wolno zniżyć się do wybryków choroby umysłowéj, która jedynie jako logiczny wypływ przerwanego zdrowia potrafi zajęcie w nas obudzić; namiętność bowiem siebie saméj nieświadoma, tak samo jak żądza bezrozumnego zwierza, przedmiotem sztuki być nie może.

Zresztą nie wynurzamy tu zdania o Pamiętnikach kuzyna warjata, które usprawiedliwiamy, jako bezładne wrzenie młodéj wyobraźni. Przecie potrzeba było wyszumieć się na zewnątrz, z całym zapasem boleści, szyderstwa, z całą tą

goryczą piérwszych doświadczeń, z całą ową rodu ludzkiego nienawiścią, która w gruncie rzeczy nie jest niczém innem, jedno miłością najgoretszą. W Laokoonie war już nieco się uciszył: daleko tam jeszcze do poglądu objektywnego, ale przewiewa spokój bezpieczniejszy, a w naszych czasach, postępowemi zwanych, w których o każdy prawdziwy postęp tak jest trudno, jakże mile przyjmujemy postęp, chociażby lekki tylko i z pozoru małoznaczny, tam zwłaszcza, gdzie może być zwiastunem obfitszéj jakiéj przyszłości.

Podobało się panu Niewiarowskiemu swój szkic obyczajowy, o którym teraz mówić zamierzyliśmy, nazwać Laokoonem, jakkolwiek związku pomiędzy tym przejmująco-pięknym mytem a treścią jego powieści trudno się dopatrzyć. Ów Laokoon, którego stronę poetyczną znamy z Enejdy, a filozoficzną z Lessinga, jest to typ mądrości zapoznanéj, a głównie w tém dotkniętéj tak boleśnie, że nieubłagane fatum w jéj oczach pochłania i ten naród, który ocalić chciała, i tych własnych jéj synów, co w nią uwierzyli. Bohater pana Niewiarowskiego ulega wprawdzie w nierównéj walce życia, ale jego wężem dusicielem są własne namiętności, a takich Laokoonów pełno, przepełno na tym padole płaczu i rozpaczy. Chociaż zaś tytuł jest rzeczą samą w sobie małoważną i błahą, przecież napis pretensjonalny, tak samo jak szumne obwieszczenie gazeciarskie, mimo woli naszéj to nasuwa domniemanie, że za świetną zasłoną kryje się przedmiot, w inne a istotniejsze zalety zbyt ubogi. Przeciwnie, prostota frontonu najlepszym jest wstępem do budowli prawdziwie poetycznéj.

Przystępujemy do sprawozdania z saméj treści.

Gustaw, młody i biedny sierota, pełen zapału dla pię-

kności i nauki, po ukończeniu kursów wprowadzony zostaje przez szkolnego kollegę Eugenjusza Grzyckiego, do domu jego rodziców, gdzie poznanie dwóch istot, Henryki, siostry Eugenjusza, i Pauliny, wychowanicy bogatéj ciotki państwa Grzyckich, stanowczy wpływ na los jego wywiera.

Piérwsza z nich bowiem, stworzenie dumne i zimne, budzi w nim piérwszą ową miłość, która w duszach poetycznych najczęściéj bywa razem ostatnią; względem drugiéj, dziewczęcia pełnego lekkomyślności i żaru, skutkiem woli umierającego opiekuna i jakichś bliższych stosunków pokrewieństwa, domyślnych raczéj aniżeli wprost wypowiedzianych, wchodzi w obowiązki i prawa brata i obrońcy. I z jednéj i z drugiéj strony srogich doznaje zawodów. Kiedy bowiem po kilku leciech ciężkiego znoju powraca do rodzinnego miasta, otoczony powszechnym szacunkiem i podziwem, kiedy równie znakomity jako wybraniec muz, i jako adept nauki, i jako światowiec obywały, staje się przedmiotem uwielbień wszystkich kobiét stolicy; ubieganie się o jego względy Henryki, modnéj żony bogatego niedołęgi, napełnia jego serce pogardą dla téj dawnéj kochanki, a Paulinę, zwiedzioną i niegodnie przez Eugenjusza porzuconą, która dom ciotki opuściła i poświęcając się scenie, wiedzie życie przedajne i rozwiązłe, Paulinę napróżno w własnéj stara się podnieść godności; — nareszcie zstępuje do kału, w którym ona się zanurza, aż w świętokradzkiém naśladowaniu tajemnicy odkupienia sam nierozważny ginie.

Pewni jesteśmy, że z tak pobieżnego obrazu żaden czytelnik wątku powieści nie odgadnie, a wyznajemy, że takie też było nasze założenie. Wiemy i dobrze wiemy, jak przeważającą jest ilość czytelników, co w powieści cenią tylko opowiadanie, zajmujący bieg romansu i nic więcéj; takim

nie radzibyśmy popsuć illuzji, ani stępić ciekawości nowością zaostrzonéj. Z naszego jednak szkicu to każdy łatwo pojmie, że Gustaw jest poetą i że zapatruje się na życie okiem i sercem poety; że zdarzenia, na które sam wpływa, lub które z nim są w bezpośredniéj styczności, mają na sobie barwę wysoko poetyczną. Tło więc powieści, według ogólnego naszego założenia, jest bezwzględnie dobre; główny warunek artystycznéj strony utworu jest spełniony. W saméj rzeczy, niepospolitość, która cechuje bohatera, rozlewa pewien urok wdzięku po całości; charakter co do piérwszych zarysów jędrny, energiczny, z dziéwiczą świeżością łączący ogień zapału, tém samém ułomny, bo wystawiony na grę namiętności; dosyć to bezwątpienia, by na około niego ugrupować i fakta i osoby, których stosunek z nim nietylko będzie przypadkowy i zewnętrzny, ale logiczny i wewnętrzny. Wszakże tu umiejętność autora, tu pomysł poety rozbija się o jeden ważny szkopuł. Postać dobrze naszkicowana,—ale w szczegółach liczne sprzeczności z piérwszém założeniem: jedném słowem, nierówne typy użyte do obrazu, nie dosyć wprawy w utrzymaniu całego charakteru. Ten sam Gustaw, którego poznaliśmy młodzianem, śmiało idącym w zapasy z rzeczywistością, przyjmującym na siebie, dla miłości nauki, ubóstwo i pogardę, co zwykle w trop za nędzą postępuje; ten Gustaw, który potém w arystokratycznych salonach stolicy szyderczo odpiéra samolubne o niego zabiegi towarzystwa, tenże Gustaw miejscami śmiesznym jest zarozumialcem, potém uwodzicielem, próżnym egoistą. Nie przeto mówimy, iżbyśmy chcieli ujrzéć go wolnym od namiętności; owszem namiętność dopiéro prawdziwą wartość nadaje człowiekowi, nawet uleganie jéj, chwilowy upadek, ale późniéj za to tém dumniejsze powsta-

nie. Potrzeba tylko żeby ta namiętność nie była w sprzeczności z naturalném usposobieniem serca, z temperamentem, z nawyknieniami fizycznemi; potrzeba nadewszystko, by przez nią bohater poematu nie wpadał w płaskość, nie zasłużył na uśmiech politowania lub pogardy! Otóż w tém główna chyba pana Niewiarowskiego.

Chcąc być naturalnym i prawdziwym, autor oznaczenie swojéj powieści „Szkicem obyczajowym" brał na serjo, więc poetyczną postać Gustawa, jaką wymarzył w dobréj chwili tworzenia, przyczepił do jednego może z grona swych znajomych dandego, do lalki wpół idealnéj, wpół salonowéj, jakich młodzież nasza liczy dziś na setki, skrzywił przez to zakrój pierwotny, zepsuł korzystne z razu i słuszne zkąd inąd wrażenie.

Cóż powiemy o drugich figurach téj powieści? Są to ludzie po części zwyczajni, marjonetki życia powszedniego, z dobrze uchwyconemi gdzie niegdzie śmiesznościami, w zdrożnościach aż nadto blizko czasem nam znajomi; ale brak im prawdziwości żywiołu, w którym zwykli się poruszać, brak tego poglądu artysty, co jedynie prawdę codzienną czyni dla nas powabną i smaczną. Ów pan Grzycki ojciec ze swoim szpakiem Pipu, owa pani Laura i jéj francuz guwerner, hrabia Polikarp, a nadewszystko cyniczny baron F. i baronowa lunatyczka, że już nie wspomnimy o Henryce i o Paulinie, wszystko to dobrego materjału wiele, bardzo wiele, ale obrobienie po wielkiéj części mniéj zręczne, a przynajmniéj mniéj szczęśliwe, niweczy częstokroć bezsprzeczne zalety pomysłu pierwotnego. I tak naprzykład, upodobał sobie autor w scenach wprost nieprzyzwoitych, co już ubliża godności sztuki i co bezkarnie nawet Boccaciom i Lesażom nie uchodzi; upodobał sobie w poniżeniu kobiéty,

co sprzeciwia się znowu postępowym pojęciom człowieczeństwa. A obok tych rozlicznych postaci, które, jak powiedzieliśmy, stanowić mogłyby materjał bardzo dobry i obfity, takie jest ubóstwo w wynalazku sytuacji, że zajęcie czytelnika, zamiast rosnąć z każdą kartą, po piérwszéj już połowie książki upada, i że sam nawet bohater słabo nas tylko do siebie przywiązuje.

Sprawiedliwość zupełną oddać powinniśmy autorowi pod względem językowym. Przy ogólnéj czystości inne lżejsze usterki wolemy włożyć na karb omyłek druku; styl zaś wszędzie gładki, potoczysty, miejscami nawet artystycznie obrobiony. Kiedy zaś kończąc przychodzi nam streścić w jedność całe zdanie nasze o panu Niewiarowskim, radzibyśmy w te kilka słów przelać tę życzliwość, jaką dla niego szczerze jesteśmy przejęci. Kto bowiem tak rozpoczyna, niepodobna, iżby nie doszedł wzniesionego stanowiska, a pod tym względem wyznajemy, iż niektóre z tych wad nawet, jakieśmy jemu wytknęli, posłużą mu za szczeble do takiego wywyższenia. Ale nie wywalczy go sobie wstępnym bojem!

Muzyk, któryby od razu zabrał się do napisania symfonji lub opery, malarz któryby z pominięciem studjów wprost przystąpił do obszernéj kompozycji, równego by doznali niepowodzenia jak poeta, któryby epos lub tragedję przedstawił za piérwszą talentu swego próbę. Na szczegółach to zaprawia się dojrzałość do całości, na głębokich doświadczeniach i życia literatury, na mozolnéj i poważnéj pracy wnikania w ducha obcych utworów, przysposabia się umysł sztukmistrza do kierowania własną wyobraźnią. Otóż chcielibyśmy, iżby pan Niewiarowski (którego zresztą nowy już romans podobno jest pod prassą), dał sobie nieco pauzy na polu powieściowém; iżby swą siłę poetyczną hartował je-

szcze czas jakiś na dziejach świata i na dziejach piśmiennictwa; iżby nadewszystko nie wmówił w siebie, że jest powieścio-pisarzem i niczém więcéj, bo każda praca rzemieślnicza ściera z najszczytniejszego nawet przedmiotu piętno sztuki i szarza go w płaskości powszedniéj.

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU

W CZTERECH TOMACH

przez J. I. Kraszewskiego.

Chcemy mówić o Kraszewskim, o jednym bez wątpienia z najlepszych jego utworów powieściowych, a z umysłu nie czekamy oddzielnego wydania księgarskiego, by nie opuścić korzystnéj sposobności powiedzenia zarazem choć kilku słów o naszych pismach perjodycznych, o feljetonie literackim, o romansie, co ostatniemi czasy w tym feljetonie do nieznanych dawniéj u nas doszedł rozmiarów. Czterotomowa powieść: Bez Tytułu, drukowaną była w odcinku Gazety Warszawskiéj, począwszy od dnia 20 Marca do dnia 10 Lipca 1856 r. a zatém przez miesięcy 3 i $^1/_2$ z górą, a ten jeden fakt jest wystarczający, by na niego jako na anomalją w czasowém piśmiennictwie, baczną naszą zwrócić uwagę.

Trzy w téj mierze przedstawiają się oczom naszym względy: wzgląd na powieść, która w feljetonie Gazety pojawia się przed publicznością; wzgląd na publiczność czyta-

jącą, i nakoniec wzgląd na samo czasopismo, które podobnéj powieści kolumny swoje otwiera. Traci bowiem na takiém wydawnictwie i dzieło sztuki, kiedy autor zachęcony urywkowém jego pojawianiem się, z dnia na dzień tworzy i drukuje; kiedy tém samém i charaktery i sytuacje muszą być naciągane nieraz do pierwotnego, choćby i późniéj niedogodnego założenia, kiedy przy własnych już domysłach zaostrzonéj ciekawości słabnie interes, maleje wrażenie; kiedy wreszcie ani całkowitego poglądu, ani szczerego ocenienia po czytelniku spodziewać się nie można, boć i całość ginie w cząsteczkach i odcinek dnia każdego staje się jakby pojedynczym epizodem, jakby odrębną powiasteczką w powieści. Traci na feljetonie powieściowym publiczność, która wprawdzie łakomie chwyta za rozgłośny utwór swojego ulubieńca, ale która, zamiast wyleczyć się z apatji umysłowéj, zamiast poważniejszém czytaniem ocucić się z letargu duszy i gwałt zadać lenistwu myślenia, owszem, lekkim a rozkosznym napojem zmysły swe odurza, a zarazem smaku do grubszéj wprawdzie, ale pożywniejszéj strawy pozbywa się. Powieść artystyczna przeczytana w ciągu, kształci gust czytelnika, unosi go nad sferę powszedniości, uszlachetnia go ideałem, poetyczném pojęciem życia praktycznego; powieść kawałkowana w feljetonie dla tegoż czytelnika staje się tylko urozmaiceniem, powabném przeplataniem rzeczy poważnych, czasem nudnych; ale stracona dlań korzyść estetyczna i smak się na niéj nie zaprawi i serce nie rozgrzeje. Traci niemniéj i samo czasopismo, którego bezsprzeczném zadaniem jest efemeryczność, owo zajęcie obecnéj chwili, owo domacywanie się żywotnego pulsu po wszystkich żyłach dnia dzisiejszego. Polityka, ruch literatury i sztuk pięknych, postęp w nauce, krytyka w najobszerniej-

szém znaczeniu, cały jednem słowem bieg wewnętrzny i zewnętrzny kultury narodu, najprzód własnego, potém innych ważniejszych, wreszcie całéj ziemi zamieszkałéj; bieg zaś ten uchwycony podług zasad stałych, a jednak naginających się do każdorazowych pojęć i przekonań ogółu; oto program codziennego pisma perjodycznego, do którego zatém wchodzi wszystko, wyjąwszy tylko jednę historję przeszłości, wyjąwszy tylko samoistne utwory wyobraźni. Jeżeli istotnie prasa perjodyczna czuje się powołaną do przodkowania postępom oświaty, jeśli naprawdę ma chęć spełnić posłannictwo kierunku nad naszemi wyobrażeniami, nad sympatją i antypatją, nad ruchem postępowym i wstecznym, tedy nie powiedzie jéj się to czém innem, chyba wyłącznem obejmowaniem teraźniejszości. Ani życiopisy dawnych wodzów, książąt i biskupów, ani przekłady z dziejów, chociażby najciekawsze wydarzenia, ani uczone poszukiwania nie są tam właściwemi, gdzie czytelnik potrzebuje tylko sprawozdania i wskazówki, nie zaś pomocy albo źródła. Tak jak wszystkie prawie złe nawyknienia literackie w ostatnich trzydziestu leciech przyszły nam z Francji, tak i felje-ton powieściowy z pism czasowych Paryzkich zawitał nareszcie i do naszych Gazet i Dzienników. Pamiętne nam jeszcze owe czasy, kiedy Matylda i Tajemnice Paryża i Żyd tułacz i Monte-Christo półrocznym feljetonem zabawiały publiczność europejską. Rozgłos, jakiego te dzieła w ten sposób dostępowały, był ogromny, koło czytelników samego pisma niesłychanie się co dzień rozszerzało. Pomimo to od lat kilku już Gazety Francuzkie porzuciły ten zaprawdę dziwny sposób wydawnictwa, na którém zresztą obok wymienionych już niedogodności handel księgarski, a tém samém cały rozwój piśmiennictwa niemałą także stratę ponosił.

Pisma niemieckie nierównie rzadziéj, a angielskie nawet wcale nie przyjęły były tego zwycyaju; za to u nas, gdzie prawdziwa redakcja dziennikarstwa do niedawnego czasu zupełnym leżała odłogiem, chciwie chwycono się tego łatwego środka przynęcenia czytelników i na gwałt zaczęto tłómaczyć przydłuższe Nowele z Revue des Revues lub innych tym podobnych publikacji. Pojawienie się Dziennika Warszawskiego zrządziło przewrót w naszéj prasie perjodycznéj, bo niezmierne są téż jego zasługi, a przyszły historyk polskiego dziennikarstwa od założenia Dziennika Warszawskiego nową, epokę rozpocząć powinien. Dziennik z młodzieńczą powstającey siłą, tchnął młode życie w odrętwiałych już nieco kollegów, i tu nowy ujrzano dowód, że najkosztowniejszy nawet nakład w ulepszeniu produkcji zawsze się opłaci, bo konsumcję mnoży do nieskończoności. Błogi ruch emulacji, owa zbawienna obawa o własne istnienie, wnet ogarnęła inne pisma Warszawskie, a w miarę usiłowań rosła liczba czytelników. Dziennik Warszawski zmięszane zrazu szyki doprawadzał powoli do porządnéj pracy redakcyjnéj, a śmiałością poglądów i niezależnością sądu wywoływał liczne starcia, równie potrzebne życiu literackiemu, jak zgubnemi są dla niego wiecznie bojaźliwa względność i zbyteczne kunktatorstwo. Gazeta Warszawska talentem pracowników, zabiegłą około potrzeb pisma ruchliwością, szybkim krokiem posuwała się naprzód. Ale z żalem zarazem wyznajemy, że nadewszystko ta emulacja zasadzała się na mniéj lub więcéj umiejętném przyciąganiu kilku znanych i przez ogół uznanych talentów powieściopisarskich, czyli jedném słowem: na zdobywaniu coraz nowych, a im dłuższych tym lepszych powieści dla biédnego feljetonu.

I tak, czytaliśmy wprawdzie z kolei w tych pismach znakomite utwory: Rzewuskiego, Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Kaczkowskiego, Siemieńskiego, Chodźki, ale zajęte przez nich miejsce ujętém było krytyce, sprawozdaniu z całego ruchu sztuki i nauki, z całego (nietylko politycznego), życia krajów i narodów. A jeżeli już konieczną przypuszczać potrzebę rozerwania znużonego umysłu czytelnika jakim lżejszym utworem, poruszenia nietylko władz rozumu ale i strun sercowych, tedy czemuż nie nakłoniono wymienionych tu autorów do ujęcia prac swoich w karby ciaśniejsze, albo też do pochwycenia obrazów mniejszego rozmiaru, jak to np. uczynił Siemieński w swoich Wieczornicach, książce nader zajmującéj i pięknéj, a któréj pojedyncze części niezawodnie więcéj od wielu innych do odcinka są zastosowane, choć dziwnym zwrotem po mniejszéj tylko części w gazetach były drukowane.

Tak więc, to co zaletę czasopisma stanowić miało, nieraz wychodziło mu na szkodę, albo przynajmniéj pośrednio przeszkadzało samodzielnemu wzrostowi piśmiennictwa.

Zwykła odpowiedź, jaką stronnicy tego rodzaju publikacji przy czynionych im tych lub innych podobnych zarzutach na obronę swoją zwykli przytaczać, jakoby niejeden bez téj sztucznéj zachęty ani gazety nie czytał, ani powieści w osobnym tomie drukowanéj, na nieszczęście ma za sobą pewien stopień prawdy, chociaż i tu sądzimy, że publiczność zawsze jest lepszą od opinji, którą ludzie, jéj słabostkom schlebiający, stworzyć jéj usiłują. I tak mniemamy, że gdyby prasa perjodyczna z wszelką usilnością zabrała się do przekonywania téj publiczności, że Zaporożec, że Tadeusz Bezimienny, że Powieść bez tytułu, że Murdeljo, są to dzieła zaszczyt przynoszące każdéj literaturze, a témbardziéj i na-

széj, w podobne utwory dość jeszcze ubogiéj; że pomnik jaki sobie autorowie w tych pracach swoich wystawili, trwalszą mieć winien podstawę nad jedno-dniowe trwanie listka gazetnego; że każda z tych książek powinna poniekąd stanowić vademecum miłośników sztuki i zdrowego, narodowego piśmiennictwa, mniemamy, że wówczas publiczność i chętnieby na sąd taki przystała, i własnym swoim udziałem go stwierdziła.

Rzecz dziwna! Ten sam Kraszewski jednak, który w przeciągu dwóch czy trzech lat ostatnich, powieścią swoją najwięcéj zasilał feljetony gazet (Interessa familijne, Djabeł, Powieść bez tytułu), ale który, jak żaden może inny z naszych autorów, twórczość swoją bez przerwy na wszystkie najrozmaitsze strony wywiera, ten Kraszewski ku wielkiemu naszemu zadowolnieniu często nam dowodzi, że sam wié najlepiéj, czego istotnie potrzeba pismu perjodycznemu. Jego listy do Redakcji Gazety Warszawskiéj za wzór stanąć mogą tego rodzaju pisania, trafnością sądu, zwięzłością treści, encyklopedyczną a nienadętą erudycją, powabną lekkością stylu, szczęśliwym wyborem tak nieraz trudnych do wyboru przedmiotów.

Współpracownictwo Kraszewskiego zapewnione gazecie, zawsze wpłynąćby musiało najpomyślniéj na byt takiego pisma, choćby dłuższego tchu utworów nie rzucał na pastwę przemijającéj chwili.

Wielu to już dostrzegło, a zresztą nie wielkiéj na takie postrzeżenie potrzeba przenikliwości, że talent Kraszewskiego, tak już wielostronny, w każdéj z tych stron ma jeszcze liczne swoje podziały, i w każdym z nich w najrozmaitszy sposób się objawia. Czy taka różnorodność płonów, która niezawodnie dowodzi niezmiernéj bujności niwy, ale uprawy

może zbyt przesadzenie poprawnéj, czyli (terminem gospodarczym wyrażając się) zbyt postępowéj, czy taka rozmaitość ostatecznie na dobre wyjdzie pisarzowi i utworom jego, zapewnić nie ośmielamy się, ani nawet rozbierać; znany nam bowiem pod tym względem sposób myślenia Kraszewskiego, który i w téj Powieści bez tytułu, przy danéj sposobności z niemałą goryczą wynurza i któremu zresztą przy bezprzykładném z jednéj strony poświęceniu się, a przy płaskich zarzutach, jakich nieraz ztąd bywał przedmiotem, dziwić się zupełnie niepodobna. Co do nas, jakkolwiek byliśmy zawsze i jesteśmy za gruntowną specjalnością i bez wahania się przekładamy ją nad wszelki polihistoryzm powierzchowny, przecież nie jesteśmy do tyla uprzedzeni, iżbyśmy znowu zdolności nieskończenie wyższéj zaprzeczyć mieli możności obejmowania od razu jeśli nie całego, tedy znacznego przynajmniéj obszaru sztuki czy nauki. To tylko jest pewną, że i Michel Angelo Buonarotti lepszym był rzeźbiarzem niż malarzem, a Schiller lepszym lirykiem niż dramatykiem, lepszym poetą dramatycznym niż historykiem. Nie ubliżamy więc Kraszewskiemu, skoro przyznajemy, że czegokolwiek się dotknie, wszystko pod jego ręką do niezwykłych wzrasta rozmiarów,— ale że nad wszystko celuje w powieści opisowéj, charakterystycznéj, sercowéj, (bo nie do smaku nam nazwa romansu obyczajowego). Im prostsza jest treść, im mniéj powikłana, im rzadziéj nastrzępiona wypadkami efektu teatralnego, ale za to im bardziéj zajęcie oparte na rozmaitości charakterów naturalnych, a jednak niepowszednich, na poglądzie ogólnym, nie przesadzonym, a jednak niepłaskim, niezwyczajnym, tém i utwór zacniejszy, a cel wyższy, prostemi środkami lepiéj i skuteczniéj osiągnięty.

Otóż taką jest *Powieść bez Tytułu*, któréj druk przed niedawnym czasem ukończono w Gazecie Warszawskiéj i którą dziś rozebrać zamierzyliśmy.

Mamy tu przed sobą całą przestrzeń życia poety, od kolebki niemal aż do grobu, a ta przestrzeń, jak zwykle, to droga walki i znoju, wysłana cierniem, a krwią serdeczną odznaczona. Okołysanego jeszcze snami dziecięcéj wyobraźni Stanisława, przy piérwszém wystąpieniu z poetycznym opisem wiosny przyjmują w szkole zawistne szyderstwa współkolegów, przyjmuje późniéj w domu groźna postać ojca, który poezję ma za świętokradztwo, popełnione na użytecznéj pracy w obywatelstwie i w rodzinie. Szczęśliwym kontrastem widzimy tam zacnego nauczyciela, hartującego spłoszoną dziecinę do boju; tu prześliczną kuzynkę Adelkę, córkę pana Adama, błyskiem pierwszéj miłości w nowe męztwo go uzbrajającą. Ale w Wilnie dopiéro, dokąd ojciec na wydział lekarski go posyła, a gdzie jego ciągnie stokroć milszy zawód literacki, w Wilnie dopiéro obejmuje go w swoje ramiona nielitościwe ubóstwo, które więcéj niż wszystkie inne pociski świata i ludzi wystudzić może zapał poetyczny, złamać energję umysłu młodzieńczego. A przecież prawda, że kto się szponom ubóstwa ostoi, kto przez nie na odwadze nie upada, ten i silniejszym stanie od tysiąca innych, tą straszną próbą niedotkniętych, i bliższy zwiąże stosunek z tą potęgą, która jedna zwątlone siły wielką chwilą natchnienia na długo skrzepić i podeprzéć potrafi. Nie za mniejszy też liczymy dowód geniuszu Goethego, że on, co nigdy w ciągu długiego swojego życia by najlżejszéj nie doznał biedy materjalnéj, tak intuicyjnie jednak mógł wyśpiewać:

Wer nie sein Brodt mit Thränen ass,
Wer nie die kummervollen Nächte
Auf seinem Bette weinend sass,
Der kennt euch nicht, ihr himmlischen Mächte!

Opuszczony, niemal wyklęty przez ojca, zagniewanego z powodu nieposłuszeństwa Stanisława, który gwałtownemu ulegając pociągowi porzucił wreszcie medycynę, po wielu trudach i zawodach nędzne zyskuje utrzymanie w lekcjach, udzielanych córce bogatego żyda, kupca Wileńskiego. Ale młoda uczennica, Sara, w duchowém zostaje powinowactwie z swym nauczycielem: i ona jest poetką. Przecudnie opisuje Kraszewski powolne wydobywanie się uśpionéj duszy z krępujących ją więzów całego otoczenia, téj przesądnéj i zastarzałéj żydowszczyzny, plastycznie uosobnionéj w postaci zgrzybiałego Abrahama, dziadka Sary. Głównie zaś cudu owego dokazuje miłość, zrazu bez wzajemności w Sarze tylko rozpłomieniona, później zaś, gdy się Stanisław przekonywa o wiarołomności kochanki lat dziecinnych, w nim także powoli rozwijająca się i do olbrzymiéj siły dochodząca. Idylliczne to życie, rozdzielone pomiędzy miłością Muzy i Sary, stanowi jeden z najpiękniejszych ustępów powieści; w głębi zaś, jako tło obrazu, widzimy uwijającą się w najrozmaitszych kierunkach młodzież uniwersytecką i głównych jéj przewodników, krzątającą się około własnego ukształcenia i około wzrostu ogólnéj oświaty. Z niezmiernym taktem w całym tym długim epizodzie życia Wileńskiego, potrafił Kraszewski uniknąć każdéj by najlżejszéj alluzji do wewnętrznéj i zewnętrznéj fizjonomji ówczesnych w piśmiennictwie naszém pracowników, chociaż istotnie tak, a nie inaczéj, to piśmiennictwo pod ową epokę krzewiło się i rozwijało.

Professor Hippolit, Iglicki, Bazylewicz, doktor Brant, księ-

garze Wileńscy, jakież to figury typowe, jakże naturalne, a jednak każda w sobie jak niezwyczajna i jaką nieprzesadną oryginalnością wszędzie nacechowana!

Przez wszystkie próby i pokusy życia przechodzi poeta Stanisław, a ze wszystkich wychodzi równo nieskalany. Krewni jego i Sary wyrywają go z niebezpiecznych więzów; uczucie obowiązku przytłumia na chwilę pociąg serca, uspakaja go żelazna praca nad samym sobą i nad powierzonym jego staraniu młodym Dormundem. Wnet też o Sarze, przeistoczonéj w aktorkę Smaragdinę przekonywa się, że miłości jego jest niegodną: śmierć nieubłaganego ojca, który wydziedziczywszy syna z majątku, za całą spuściznę zostawia mu tylko pieczę dla matki i rodzeństwa, wypycha go w odmęt życia praktycznego. Ale wszędzie uderzają weń troski i zawody. Poecie na każdym kroku mówi świat: ja nie dla ciebie! i dobra chęć jego zostaje zapoznaną i gorące uczucie owiane zimnym tonem rzeczywistości! Jedna tylko Marylka, która dawniéj jeszcze opuszczonego młodzieńca podtrzymywała słowem sympatycznego uznania, coraz bardziéj lgnie do bolejącéj jego duszy. Napróżno! logiczne fatum każe mu odepchnąć jedyną rękę, która by mogła być dlań kotwicą wpośród burzy co go ogarnęła. Jak ten owad jedwabnik Stanisław w nieustanném tworzeniu poetyczném wysnuwa z siebie ostatnią kropelkę żywotnego soku, a oprządłszy się błyszczącą nitką, zamyka w sobie i cierpliwie lepszego czeka zmartwychwstania. Bo miłość jego dla Sary Smaragdiny nie ustała, bo odzywa się tém silniejsza przy najpiérwszym jéj powrocie i wystąpieniu na Wileńskiéj scenie; bo i ona jego kocha, a jeśli go okrutném szyderstwem zrazić usiłuje, to dlatego jedynie, że go kocha, że skażona nie śmie zbliżyć się do téj anielskiéj czystości kochanka. Tu

pęka serce zakrwawione i w całéj najświętszéj podstawie swéj zachwiane; otoczony czułém staraniem Marji, którą zbyt poźno przejrzał i ocenił, gaśnie jak lekki płomyk, i mogiłą nad nim się zawiera, a płacz kochającéj duszy idzie za nim, choć świat niewzruszony daléj krąży w tych samych sferach, a Marja, po długim czasie żalu żona innego, przykładna matka swoich dzieci:

„Zawsze zmarłemu jednak święci
Z chciwém westchnieniem łzę pamięci.”

W tak przelotnym szkicu ileśmy szczegółów opuścili, to rzewnych i sercowych, to tryskających życiem i prawdą! Co to za skarbiec charakterów, nawet w osobach najpodrzędniejszych: wylany w swojéj przyjaźni zacny kolega Szczerba, poczciwy tetryk Płachta, oberżysta Horyłka, niezrównany nauczyciel a zarazem ekonom Falszewicz! a państwo Ciemięgowie ze swoim salonem literackim i poetyczna wdowa pani Bazylewicz, cóż to za obfitość figur wyrazistych i w złém i w dobrém, i poważną stroną i głębokim humorem lub śmiesznością! Albo matka Szarskiego, ta kobiéta nic nie umiejąca tylko drżyć i kochać: która kocha męża a drży przed nim, która kocha syna a drży o niego! Zaprawdę, ta jedna postać Matrony, szanownéj tyle swoją słabością, co cnotą i miłością, pogodziłaby nas z autorem, chociażby jeszcze ujemniéj inne typy żeńskie powieści swojéj wymalował. Zarzut to uczyniony Kraszewskiemu najbardziej przez piękne czytelniczki, że Adela i Sara tak są niegodne bohatera, że i Marja nawet pośmiertną swoją wiarołomnością niszczy przychylność, jaką żywiły dla niéj przedtém. Zarzut taki bez wątpienia zaszczyt przynosi wszystkim po-

wabnym recenzentkom, ale znawcy serc ludzkich wolno nań odpowiedzieć wzruszając tylko ramionami.

Wielkie to kwestje w téj powieści Kraszewski wyprowadza na stół: kwestje nienawiści religijnéj i przesądów arystokratycznych. O przedstawicielach tamtéj już wspomnieliśmy; arystokracja zaś i źle zrozumiane jéj pojęcie wyobrażone są w panu Adamie Szarskim, a bardziéj jeszcze w księciu Janie, mężu Adeli. Wstyd tym ludziom naprzykład, by ich imieniem zwał się lekarz, choć to człowiek, który mozolną pracę, wszystkie najlepsze siły duszy i ciała niesie w dani dla cierpiącéj ludzkości; wstyd im, jeśli imie to figuruje na tytułowéj karcie książki, bo drukować swoją pracę, jest to stawać w usłudze publiczności, jest to narazić się na sąd otwarty byle piérwszego nie herbowego chłystka! Dziękujmy Bogu, że dziś już takich arystokratów nie wiele pewno znajdzie, kiedy właśnie pomiędzy najsilniejszemi pracownikami naszego piśmiennictwa, najzaszczytniejsze niemal miejsce ci zajmują, co i sławę rodu po przodkach odziedziczyli i całą możnością wspierają sztukę lub naukowe trzymają przedsięwzięcia.

Ale Kraszewski chciał przedstawić fazę naszego życia spółecznego, któréj się pewno nikt nie wyprze, i do któréj w gruncie serca niejeden może, choć mało powołany, co prędzéj radby i powrócił. Dla takich umysłów powieść Kraszewskiego jest zwierciadłem, w którém usposobienie swoje ujrzą doprowadzone do ostatecznych krańców, a jednak nie skarykaturowane, bo naturalne i prawdopodobne. Główną ideą przecież, ową właśnie, która tę *Powieść bez Tytułu* istotnie stawia na tém stanowisku, na jakiém w spadku po niegdy epopei każda dziś stanąć by powinna, jest ta jedna nić czerwona, która od samego zawiązku aż do końca ciągnie się

przez wszystkie jéj rozdziały, i która w niéj zastępuje wójne półbogów Iljady, chrześcjańska rycerskość Tassa. Tą nicią jest przebudzenie się u nas ruchu umysłowego po zbyt długiém letargowém uśpieniu. Kraszewski nie portretuje szczegółów, nie wymienia nazwisk, sam pewno tworząc swe postacie nie miał na myśli żadnéj bliżéj oznaczonéj, ale jednak cały ten obraz jakże wycięty z życia i z tą szkołą romantyczną i klassyczną, z temi almanachami, z tym laureatem, co spoczywa na sławie szczęśliwego madrygału, z tém wybijaniem się na wsze strony młodych pracowników, z tą krytyką bezimienną i złośliwą, która jadem zaostrza swoje strzały. Wszystko w tém jest tak piękne i prawdziwe, że nie poważymy się stanąć nawet w obronie krytyki, tak nielitościwie przez Kraszewskiego zbiczowanéj i skrytykowanéj.

Otóż sądzimy, że cała powieść w téj powieści, pomimo czarujących szczegółów, pomimo zajęcia w sytuacjach, w duszy autora zostawała dopiéro na drugim planie, i że literatura, ta kochanka, którą całym zapałem serca obejmuje, piérwszą i najcelniejszą tego utworu stanowi bohaterkę. Wypowiedział nam tu Kraszewski najskrytsze swoje tajniki, wyżalił się przed nami wszystkiemi na nas wszystkich; przecież na chwilę nie chciał, żebyśmy przypuszczali, że tym poetą pasującym się jest on, on sam: Kraszewski! Panował owszem nad swoim przedmiotem, a niektóre nawet nadproporcjonalne długości w charakterystyce, szczególnie wyobrażeń, nie są bynajmniéj egotycznemi wylewami autora, ale raczéj skutkiem zbytecznego może zamiłowania jego w plastyczności obrazów. W saméj rzeczy, wszystko tam wyskakuje od tego tła, na którém jest oparte, i wyznajemy że pod tym przynajmniéj względem niezupełnie niewłaściwie

w Gazecie utwór ten był drukowany, że przy żywotném i gruntownèm dotykaniu tylu kwestji dzisiejszych i żywotnych, nieraz był jakby żyjącą illustracją innych najróżnorodniejszych wiadomości, które się czy dziwnèm zrządzeniem trafu, czy też ręki umiejętnie kierującéj obok niego tu i owdzie umieściły.

KILKA SŁÓW

O DZIEJOPISARSTWIE I O ZBIERANIU MATERJAŁÓW.

ŻYCIE DOMOWE JADWIGI I JAGIEŁŁY,

PRZEDSTAWIONE PRZEZ

Alexandra Przezdzieckiego. —

RĘKOPISM X. BAGIŃSKIEGO

WYDANY PRZEZ

Eustachego Tyszkiewicza.

Z każdym dniem łatwiejszą staje się praca dla przyszłego naszego historyka. Z każdym dniem do obfitych już na tém polu materjałów nowy jeden przybywa szczegół, czyli to badania językowego, czy obrazów ogólnéj jakiéj epoki, czy pożycia publicznego, czy wewnętrznego, czy sztuki i nauki, czy wojennéj wyprawy, czy wreszcie pojedynczéj biografji albo pamiętników. Widoczne ztąd, że ojcowie nasi, którzy pisali histórje, nie zapominali zarazem o przygotowywaniu danych dla następnego jéj pisarza; my, te dane skrzętnie zewsząd zbieramy i przechowujemy pilnie. Kiedyż już raz ukaże się ów prawdziwie wielki nieznajomy, który wyczerpujące z nich układając dzieło, poda nam obraz dziejów narodu w jednym pragmatycznym, a nigdzie nieprzerywanym ciągu? obraz wysnuty na zasadach zdrowego po-

glądu filozoficznego, obraz energią nieubłaganéj logiki wszędzie i zawsze trafiający w jądro prawdy, obraz beznamiętny, a jednak owiany żywém ciepłem uczucia ludzkiego, obraz taki, jaki zaszczytem jest Rzymian w Tacycie, Niemców w Ludenie, Rossjan w Karamzinie, Anglików w Humem i Macauleyu, Szwedów w Gejerze, Francuzów w Michelecie, a na który my i przed Naruszewiczem i pomimo Naruszewicza napróżno dotąd oczekiwaliśmy.

Zajmujące to istotnie jest pytanie, dla czego kraj nasz, którego literatura latopisarska i pamiętnikowa zaprawdę uboższą nie jest od wielu innych, obfitujących już w dokładne i sankcją krytyki zaopatrzone dzieła historyczne, dotąd jeszcze dziejopisarza nie wydał, coby objęciem całego materjału historycznego i przerobieniem go w jednę spójną massę, stanowił punkt kulminacyjny, do którego by znowu dalsze szperania, już nie na oślep prowadzone, jako do jedynego i koniecznego środka odnosiły się.

Przyczyny tego zjawiska zdaniem naszém należy szukać w skłonności rozdrobnienia i rozpryskania się usiłowań naszych na pojedyncze fazy i przedmioty, bez uwagi na to, że podobnych szczegółów wysuwać się będzie coraz więcéj, że żadna praca ludzka ani od razu skończoną być nie może, ani nawet nigdy do prawdziwego nie dotrze ukończenia. Toć przed niedawnym czasem z wysokiém zadziwieniem usłyszeliśmy w Dzienniku Warszawskim głos Juljana Bartoszewicza, który dla tego o prowadzącym się obecnie lwowskim przedruku Słownika Lindego potępiająco się odzywał, że poprzednio jeszcze należałoby uzupełnić w pojedynczych zbiorach pojedyncze massy całego materjału słowniczego. Bo pomijając to, że w takim razie wypadałoby zapewne poczekać, dopóki język nie stanie w rzędzie umarłych, kiedy

tymczasem życie wesoło buja w mowie potocznéj i w literaturze, czyż objęcie ogromu w jeden przenikający rzut oka zamyka drogę dalszemu jego pomnażaniu?

Zupełnie tak samo rzecz ma się w historji. Dalecy jesteśmy i przedalecy od lekceważenia tych uczciwych, a tém chwalebniejszych, ile że więcéj żmudnych a mniéj wdzięcznych usiłowań, które we wszystkich kierunkach dziejowych coraz nieznane gromadzą fakta, lub w coraz nowém je świetle wystawiają. Ale lękajmy się, by te fakta drobiazgowością swoją nie przerosły nakoniec jednéj choćby najszerszéj podstawy lub przynajmniéj jednego stanowiska, na którém bez zaprzeczenia historyk ogółu, wygodnie i bezpiecznie powinien siebie usadowić. Tu, jak wszędzie, zbytek dobrego może stać się grzechem, a skutki tego grzechu tu może szkodliwsze niż gdzieindziéj. Lubowanie się pojedynczemi ludźmi albo wypadkami odrywa uwagę od poglądu na całość.

Do rzędu takich cegiełek, których przeto zasłudze uwłaczać bynajmniéj nie zamierzyliśmy, należą dwa dziełka, jakie obecnie mamy przed oczyma.

Pierwsze z nich, *Życie Domowe Jadwigi i Jagiełły*, z regestrów skarbowych z lat 1338 — 1417, przedstawione przez *Alexandra Przezdzieckiego* (Warszawa, 1854), nowy stanowi przyczynek do szeregu pożytecznych i zaszczytnych prac tego uczonego starożytnika. Praca ta, po części już w Bibljotece Warszawskiéj drukowana, a następnie oddzielnie w trzystu tylko egzemplarzach odbita, żywcem, jak nas wydawca we wstępie swoim objaśnia, wyjętą została z oryginalnych (w języku łacińskim), regestrów przychodów i rozchodów królewskich z lat 1388, 1389, 1390, 1393, 1394 i 1395; daléj z lat 1403, 1405,

1411 i 1417 przechowywanych obecnie w archiwum Kommissji Rządowéj Przychodów i Skarbu.

Część ekonomiczna dworu królewskiego w téj odległéj epoce stanowi poniekąd obraz z całego życia domowego i jeżeli nieraz uderza nas swą prostotą, do któréj dziś zaledwie mierny partykularz przez biédę dałby się nakłonić, tedy z drugiéj strony przyjemne na nas wrażenie robią szczegóły o wewnętrzném i familijném pożyciu téj rodziny, która erę świetności w dziejach kraju naszego stanowiła. Zajmującym z tego względu jest przydatek autora, który mozolną pracą z rzeczonych regestrów wyciągnął pojedyncze jakby monografie: dyarjusz podróży Jagiełły i Jadwigi; dwór téj pary królewskiéj; zbroje i porządki wojenne i stajenne; ubiory i materje do ubrania służące; zapasy kuchenne i domowe, oraz sprzęty kuchenne, pokojowe i gospodarskie i wyroby złotnicze, w czém wszystkiém wprawdzie wiadomości z powyższych regestrów jedynie powtarzają się, ale rozrzucone zrazu szczegóły przysposabia do bezpośredniego użytku i dopiéro nadaje im prawo do nazwy historycznego materjału. Pan Przezdziecki, któremu żaden z tych użytków przy licznych jego poprzednich pracach obcym nie pozostał, obecnie dzieło uzupełnił jeszcze podwójnym spisem rzeczy, rozumowanym i alfabetycznym, oraz słowniczkiem wyrazów polskich z końca czternastego wieku, z zastosowaniem ówczesnéj pisowni, na poparcie któréj przydana jest tablica z podobiznami, w któréj mianowicie ucieszył nas ostatni wyraz: xansza, jako dowód, że ks. w miejsce x, nie jest bynajmniéj tak oryginalnie słowiańskie, a w szczególności i polskie, jak niektórzy badacze językowi przekonać nas usiłują. Całe wydanie nader staranne, ozdobione jest jeszcze wizerunkiem postaci Władysława Jagiełły z grobowca

w Krakowie, podług odlewu z modelu Stroneczyńskiego przez M. Fajansa litografowanym.

Druga książka: *Rękopism X. Bagińskiego Dominikana prowincji Litewskiéj*, od r. 1747 do r. 1784, wydany przez niemniéj znakomitego archeologa *Eustachego Tyszkiewicza*, (Wilno, nakładem Józefa Zawadzkiego, 1854 r.), przez wydawcę wyszukana w kościele podominikańskim w Różanym Stoku, zawiera: „Xięgę dziejów, w któréj przez X. Wojciecha Wincentego Kantego Bagińskiego, S. T. doktora, od wstąpienia jego do Zakonu św. Dominika w r. 1747, wolnemi od zabaw zakonnych godzinami, unikając próżnowania, tak domowe jak publiczne godne pamięci ciekawości ad majorem Dei gloriam umieszczały się.” Jest to tén sam X. Bagiński, którego rękopism o Żmudzi drukowany był w r. 1845, w Athenaeum pod tytułem: „Chorografia czyli opisanie Żmudzi świętéj przez X. Kantego Bagińskiego św. Teologji Magistra, Zakonu kaznodziejskiego; około r. 1780 sporządzona.” Rękopism o którym mowa, zawiera w sobie notatki czynione w kraju, jako też zagraniczne wiadomości, z gazet ówczesnych wyjmowane. Pan Tyszkiewicz wszystkie te ostatnie wiadomości, jako związku żadnego z historją kraju naszego nie mające, powyrzucał, a do miejscowych autora i krajowych jego notatek liczne i zasługę głębokiéj erudycji oraz światłego sądu krytycznego mające objaśnienia poczynił. Tym sposobem dzieło to stało się wyborną wskazówką do dziejów życia mianowicie klasztornego na Litwie, w drugiéj połowie ośmnastego wieku, jako też do licznych wypadków publicznych, zkąd inąd wprawdzie już najdokładniéj znanych, ale nieraz tu w innéj barwie, i pod inną postacią ukazujących się. Skromny ten Zakonnik tak zdrowo sądzi o ludziach i zdarzeniach, tak serdecznie dobrem



ogółu się zajmuje, że mimowolnie powstaje w nas życzenie, iżbyśmy dla oczyszczenia całéj jednéj klassy dawnéj społeczności z ciążącego ją dotąd zarzutu, częściéj z podobnemi zabytkami, bez wątpienia licznie jeszcze po klasztorach przechowującemi się, mogli być obznajmiani.

CHATA ZA WSIĄ.

POWIEŚĆ PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Trzy tomy, Petersburg i Mohylew, nakładem B. M. Wolfa 1854 r).

Równie jak wszystkie rodzaje i objawy twórczości poetycznéj, sielanka także swoją odrębną ma historję. Od Teokryta i Wirgilego aż do pani Deshoulières, od Gessnera i Zimorowicza aż do Jean Paulowskiego Fixleina, widzieliśmy wszystkie fazy wyższéj kultury narodowéj odbijające się w owych najczęściéj tylko reflexyjnych lub uczuciowych opisach włościańskiéj ludności, a zostawiały nas one tém zimniejszemi, im mniéj ideał na scenę w nich występujący podobnym bywał do rzeczywistości, im bardziéj postacie cnych pasterzy i włościanek wymarzone bywały w głowie poety, a nie zaś sercem jego na jawie i żywcem uchwycone. Otóż powieść, która od niejakiego czasu wszystkie gałęzie działalności literackiéj pochłaniać w siebie zaczęła, która z równą łatwością od teorji sztuki pięknéj przechodzi do kwestji etycznych lub socjalnych, rada także ze złoconych pałaców zstępuje do wiejskiéj chałupy, od wyuczonych marjonetek salonowych, do szczerszych wprawdzie, ale dla tego

niemniéj, to powabem przyciągających, to brzydotą odrażających prostych dzieci natury. W Niemczech zwłaszcza, gdzie zawsze górujący pociąg do idealizowania najbardziéj objektywną praktyczność w rzewną zwykł przemieniać utopję, w Niemczech powieść sielska *(die Dorfnovelle)*, pod bezpośrednim wpływem niektórych predylekcji ludowych, w ostatnim czasie zupełnie oddzielny stanowić zaczęła rodzaj. Berthold Auerbach, Alexander Weill, Gustaw Kinkel, przed wszystkiemi zaś Jeremiasz Gotthelf, ten gatunek powieści doprowadzili do mistrzowstwa, a ostatniego mianowicie: Małgorzata i Tułacze *(„Margret" „die Heimathlosen")*, tego gatunku na długo niedoścignionemi pozostaną wzorami. We Francji genjalna autorka Indjany nie bez szczęścia i w tym rodzaju sił swoich próbowała, ale we Francji życie wiejskie w saméj rzeczy mniéj wybitnie od żywiołu miejskiego się oddziela, mniéj stanowczo z pod ogólnéj usuwa się powłoki. Anglicy, a bardziéj jeszcze Amerykanie *(np. Washington Irving i pani Beecher-Stowe)*, również pomyślnie życie to wciągnęli w czynny obręb przedmiotów obrazowych, tak, że obok powieści morskich, obok etnograficznych i podróżowych, romans idyliczny nader ważnego już dorósł u nich znaczenia. U nas, gdzie może więcéj niż gdziekolwiek lud wiejski rodzinne i starodawne przechował w sobie tradycje, gdzie zdrową i szeroką piersią czyste w siebie wdycha powietrze, żadnym jeszcze jadem owéj nieszczęsnéj półcywilizacji nie zatrute, u nas ten rodzaj do najnowszéj prawie chwili zupełnym leżał odłogiem. A przyznajemy, że niemałéj też odwagi dał dowód, kto piérwszy w naszém piśmiennictwie wydobył na jaw tę ukrytą dotąd całą warstwę uczuć i namiętności, przy których nasze, połyskujące zewnętrzną ogładą charaktery, wyglądają jak szlifowane

szkiełka przy nieokrzesanym jeszcze i ciemną szorstkością niemile w oko wpadającym djamencie.

Wprawdzie z jednéj strony, ze strony Ukrainy, żywioł wieśniaczy oddawna już w literaturze naszéj istnieje, ależ wyjątkowość tego żywiołu całemu jego kierunkowi nadała cechę odrębnéj prawie szkoły, oddzielnego charakteru. Powieść sielska, w któréjby się duch naszéj codziennéj społeczności zléwał z duchem mieszkańców włości, i w tém dopiéro złączeniu przedstawiał wierny obraz całego życia narodu, taka powieść nie mogła wyrosnąć na wybór całéj niwie Koliszczyzny. Im większa kiedy trudność była do zwalczenia, tém mniéj nam dziwno, że Kraszewski, którego zdumiewający swą wielostronnością talent żadnego objawu artystycznéj twórczości nie wyrzeka się, w tym także kierunku działać począł, i że w swojéj *Chacie za wsią* obdarzył nas jednym z najpiękniejszych pomników téj zajmującéj i z taką prawdą chwytającéj nas za serca działalności powieściopisarskiéj.

Wprawdzie zdawałoby się z pozoru, że i na Kraszewskiego zadanie to w całéj swojéj prostocie zbyt niezwykłym spadło ciężarem. Przyzwyczajony do walki sprzecznych pomiędzy sobą pierwiastków, do antytezy stanów życia szlacheckiego, też walkę, też antytezę czuł się zobowiązanym wprowadzić do malowidła, którego w saméj rzeczy główną zaletę stanowić powinna jedność tynty, najzupełniejszy brak studjowanych effektów, zamkniętość w sobie jednego objawu ludzkiego towarzystwa. Upośledzonéj, ale zawsze jednak pewnego uznania dostępującéj klassie chłopków, przeciwstawił, albo raczéj podstawił upośledzeńszy jeszcze, bo ze wszystkich prawie przywilejów człowieczeństwa wyzuty ród cygański, który tém samém w obec tamtego, arystokra-

tycznijszego, wyobraża niejako żywioł demokratyczny, a przynajmniéj ludowy. Cóż ztąd wynikło? Oto, że główny interes *Chaty za wsią* skupił się nie w włościanach, ale właśnie w ulegających pod brzemieniem ich wzgardy cyganach; że ta powieść, zawsze sielska, nie stała się epopeją sioła, ale koczowiska; że jéj bohaterowie czują i cierpią nie dlatego iż tém są, czém chcieli być w istocie: wieśniakami, ale dlatego że niemi nie są; i że duma rodowa, duma kasty, duma mienia i stałego siedliska, strąca ich z upragnionéj wysokości, na którą napróżno nieszczęsni się wdzierali.

W saméj rzeczy Kraszewski zbyt wielkim jest mistrzem, iżbyśmy na takiém przezeń pojęciu przedmiotu co stracili. Alboż mało przedstawia interesu ta zagadkowa drużyna Parjów, która się niewiadomo jak i po co do naszego wcisnęła społeczeństwa? Zaraz piérwszy obraz obozu cygańskiego uderza rozmaitością figur, w których całą przeszłość i przyszłość ich kolei w kilku wyrazistych rysach widzimy uchwyconą.

Wódz cygański Aprasz, i jego pomocnik Tumry, i młoda z jedwabném licem, ale żelazném sercem Aza, to przedstawiciele zatwardziałości w dumie ubóstwa i przesądów, wyobraziciele tęsknoty za polotem wewnętrznych, raz rzewnych, raz błyskotliwych marzeń, to jedném słowem: serca z tąż samą organizacją co nasze, z tym samym pulsem gorącéj fantazji, z większą może od naszéj świeżością, choć z zapałem częściéj zapewne studzonym przez krępującą rzeczywistość. Otóż potomka Precjozy i Esmeraldy, Aza, za marne świecidła, przedaje się przeżytemu dziedzicowi wioski, Adamowi, — Tumry co jéj miłość odrzuca, płonie szałem dla Motruny, córki gospodarza Lepiuka. A kto wié, czy prze-

dział nie większy pomiędzy Lepiukiém a Tumrym, jak pomiędzy Azą i Adamem? Przecięż przekleństwo ojcowskie Motruny nie wstrzymuje, brnie ona w swoją dolę, którą Bóg jéj nadarzył, dąży w nią ze spuszczoną głową, bo przewiduje wszystkie nieszczęścia, co blisko na nią już czyhają, bo to przeznaczenie z wysoka, któremu oprzéć się nie umiéć. Aza z wychodzącą bandą opuszcza dwór kochanka i w łachmanach na nową poświęca się włóczęgę; Tumry porzuca towarzyszów, do których już zdawna serce go nie wiąże, i postanawia we wsi pozostać, zabudować się, ustalić, pojąć w małżeństwo Motrunę i z uczciwéj kowalskiéj pracy dorobić się dla nowéj rodziny równości. Ależ tu mu na przeszkodzie stary Lepiuk, na przeszkodzie tém bardziéj, ile że sam nieco krwi cygańskiéj przechowuł w swoich żyłach; Lepiuk podburza przeciw Tumremu gromadę; najżyczliwsi nawet odeń się usuwają, — biédny cygan wśród sioła samotny, zostawiony własnéj pomocy, zdobywa się na siłę nadludzką i postanawia sam sobie wystarczyć. Buduje tedy chatę, lepiankę za wsią przy cmentarzu, buduje o swoich dwóch rękach i pożyczanym toporze, a gdy mu tę nienawistny Lepiuk podpala, buduje raz drugi, gotów i trzeci i dziesiąty, byle energji duszy nie dać połomać przeciwnościom losu. I zaprawdę, ten hart charakteru, ta uporczywość w dobrem, nierównie częściéj spotykać się daje pomiędzy ludem wyższéj kultury pozbawionym, aniżeli w giętkich, ale i łatwo złamać się dających umysłach, oświatą jakoby uszlachetnionych; toć ta oświata tłómaczy, perswaduje, a w końcu zawsze z nią wychodzi na to przysłowie, że gdzie przeskoczyć nie można, tam chwała Bogu choć i podléźć!... Jakoż Tumry swojego dopiął: domek stanął, stary Lepiuk własném miotany przekleństwem, skonał; następczy-

ni Azy w sercu pana Adama, zrazu kochanka, potém żona francuzka, rozciągając opiekę nad ofiarami nieszczęśliwéj miłości, wbrew woli braci kojarzy Motrunę z cyganem: Chatę za wsią zamieszkuje kochająca para, bez szemrania woli Boga i złości ludzkiéj ulegająca, z całém przed sobą życiem cierpień i znoju, życiem walki z przesądami tłuszczy, z wyrzutami sumienia, co ojcowską odepchnęło przestrogę, ale ze skarbem nieprzebranéj miłości w sercu, który oby nawet w tak bezustannych i konwulsyjnych rozchodach do ostatniéj chwili nie roztrwonił się! Ależ to kamienna i lodowa rzeczywistość! Nędza piekła Tumrego, nędza pożerała Motrunę, znikąd ani zasiłku, ani roboty, romansowa dziedziczka wyjechała i zmarła; bracia żony cygana odpychali ją od siebie gniewnie, bo się obawiali skalać jéj dotknięciem; blady głód zajrzał z za parkanu cmentarza w smutne ściany lepianki. Motruna wprawdzie cierpiała i kochała, ale Tumry już cierpiał i zżymał się, gryzł wędzidło, co mu oporne usta kaleczyło. W tém pod stopami wioski pojawia się znowu banda cyganów, tenże sam Apraszi Aza, piérwszy mimochętny, ale ulegający już wpływom młodéj towarzyszki, która ofiarę ręki jego z pogardą odrzuca, bo bez niego królnje nad bandą, bo jéj potrzeba błyskotliwych strojów i świecideł, bo owdowiałego Adama przyszła palić ogniem wejrzenia, skoro liczyć nie może na tego kogo kocha, na Tumrego, dziś już ojca białéj dzieciny, a zatém na zawsze dla bandy straconego.

Straconym przynajmniéj być powinien, tylko że wspomnienie dziecinnéj i młodzieńczéj doli silnie się jeszcze odzywa w nieszczęśliwym; tylko że widok Azy i w nim jakieś niepojęte budzi uczucie, które czyni go niewdzięcznym dla Motruny, które wściekłą przejmuje go zazdrością, gdy

patrzy na Azy zalotne wdzięczenie się, które w końcu przez litość nad własną żoną i dzieckiem do samobójstwa go prowadzi. I znowu cyganie wioskę porzucają, i znowu w biédnéj lepiance rozpoczyna się inne życie troski, owdowiałéj Motruny z córeczką Marysią, któréj dzieje sercowe nowy a ważny przedział w téj rzewnéj historji złożyć są przeznaczone.

Nie wspomnieliśmy jeszcze o głupim Janku, biédnym, więcéj fizycznie niż umysłowo upośledzonym chłopku, którego postać bez wątpienia jest jedną z najbardziéj mistrzowskich w téj powieści, przynajmniéj złotém swém sercem, humorem przedziwnéj ironji i siłą drobnych środków, co się na dziwny ten charakter składają, najsympatyczniejszą. Miejsce Janka, tego tkliwego opiekuna Motruny, który ją na jéj nieszczęście wkrótce po śmierci Tumrego odumiera, zajęła stara lekarka Sołoducha i mąż jéj, ślepy żebrak Rataj, boć „dwie biedy najprędzéj się jakoś zbliżają do siebie.” Ale Sołoducha nie zdołała wyrwać z objęcia śmierci biednéj Motruny, co złamana niedolą coraz bardziéj chyliła się do trumny! I przyjął ją grób w otwarte swe podwoje, a Marysia oswojona od kolébki z sąsiedztwem cmentarza, tém bardziéj pokochała go, bo krył w sobie szczątki najdroższéj w życiu istoty, téj jednéj, któréj pieszczoty zastępowały dla niéj wszystkie uciechy dziecinnego wieku, wszystkie przyjemności i zabawy, wszystkie widoki i nadzieje, całą świetność strojów i cały przepych wygodnéj pańskości, w któréj pieszczotach upatrywała pierwsze i ostatnie swoje szczęście, bo innego nie znała: matki! Więc Marysia, która po ojcu w czystym spadku niezłomną wzięła wolę, a kochającą duszę po Motrunie, silném postanowieniem zrazu zamierza nie porzucić chaty przy cmentarzu; ale podpiera ją, przy koło-

wrotku na chléb powszedni pracuje; i sama jedna trawi dnie czynne bez trwogi, ni nadziei. Sołoducha i Rataj rozciągają nad samotnicą ojcowską opiekę, — poczciwsi z gromady, widząc młodą dziewczynę samą sobie radzącą, nie uciekającą się do niczyjéj pomocy i wdzięczną już, jeżeli tylko ze swego zbytku roboty dostatkiem jéj udzielą, przejmują się dla niéj jakimś podziwem i szacunkiem. I tak mijają lata jedne po drugich: dwunastoletnia przy śmierci matki Marysia wyrosła na hożą dziéwicę, któréj zdala w całéj okolicy żadnéj podobnéj nie znalazłbyś, a rosła w pobożności, z duszą równie silną przeciwko pokusom świata, jak przeciw innym jego groźbom i pociskom. Cały ten długi ustęp życia Marysi, jéj jakoby nieświadoma siebie walka z zewnętrznem istnieniem, jéj cierpliwe poddanie się, jéj naiwność męczeństwa, to prawdziwa idylla nędzy, to apoteoza ubóstwa, to poetyczny szczyt całego utworu. I wierzymy, że podobne obrazy Kraszewski maluje farbami, które z głębi wnętrzności wydobywa; że ta krew, którą w nie przeléwa, ubywa z własnego jego serca, bo nie sklei, kto zechce, na zimno takich postaci; nie wysnuje takich świateł i cieni, komu one w zachwycie natchnienia, w objawieniu, szczęśliwą koleją nie wymarzyły się! Wierzymy, że Kraszewski jest poetą, że cząstkę po cząstce na pastwę naszą rzuca całe swoje poetyczne jestestwo, że się z nami dzieli sobą, że całego siebie nam oddaje! Wierzymy i wiemy! To jedno samotne życie Marysi, przedstawione bez żadnéj sztucznéj dźwigni, to życie, które samo wystarczyło, by w piersi człowieka przed oczyma naszemi odkryć świat pełen poświęcenia i miłości, to jest łza pocieszyciela uroniona nad straszliwą dolą ludzkości! . . . .

Powiedzieliśmy, że z równą siłą oprzéć się potrafi Ma-

rysia pokusie blasku, jak nędzy i cierpienia. Otóż i tego doświadczenia los jéj nie oszczędził. Tomko Choiński, syn zamożnego zagrodowego szlachcica, względem Marysi zawsze pan i arystokrata, pokochał dziewczynę i radby zbałamucił. Gdy mu się płonne zabiegi nie udały, drażniony przeciwnością, na dobre się w niéj rozszalał, a wbrew woli ojca, któremu cygańskie dziecko oczywiście w domu byłoby zakałą, ucieka za kochanką, gdy ta, za matki przykładem, rodzicielskiego przekleństwa obawiając się, z pojawionemi w porę uchodzi cyganami. Przebaczenie ojcowskie i ślub dwojga kochanków weseléj wieńczy smutną historję.

Trzy to tedy właściwe powieści, które Kraszewski gorzkiém cierpieniem bohaterów tak artystycznie w jedną tu połączył: czasy przedślubne Tumrego i Motruny, ich małżeństwo i życie ich dziecięcia. Zechcążczytelnicy, iżbyśmy im wspomnieli o wykończeniu pojedynczych charakterów, o szczegółowych sytuacjach, o przebiegu akcji w Chacie? Z umysłu jedyną wątpliwość, jaką co do pojęcia całości powzięliśmy, zamieściliśmy niemal na czele, by już późniejszego wrażenia żadna nam sprzeczność nie zatruła. Jest to jednego odlewu posąg, nie wyobrażający wprawdzie olbrzymiego na dzielnym rumaku bohatera, ale przywodzący przed oczy nasze wyobrażenie Larów i Penatów, swojskiego ogniska, żałobnéj ciszy nieszczęścia i tkliwego współczucia. Poeta myśl naszą sprowadza ku niedocieczonéj ciemnicy. Idźmy bespiecznie za nim! Dobrze to użyta władza, którą w ręce jego złożyliśmy.

GAWĘDY I JAN DĘBOROG

Władysława Syrokomli.

Nie zawsze oryginalność jest zaletą, nie zawsze wadą staje się naśladownictwo. W poezji mianowicie, silenie się na nowy pojaw formy, na nową stronę twórczości, częstokroć odbywa się kosztem saméjże poetyczności utworów. Gorąca wyobraźnia, czyste a głębokie uczucie, gust należycie ukształcony, choćby się w przestarzałą nawet, a przynajmniéj nie nową odziéwały szatę, stokroć miléj zwykle do nas przemawiają, od owych dityrambicznych wyskoków samotwórczego ducha, dla którego pięknością jest tylko to co niezwyczajne, choć w sobie nieraz pospolite. Oczywiście, nie chcemy tu do wielce szacownego, do wyższego nawet talentu przykładać téj saméj skali, jaką tylko gienjusze mierzyć wolno; gieniusz bowiem, czyli to dawną rzecz oblecze w nowe formy, czyli starą zewnętrzność do niebywałéj zastosuje treści, gienjusz zawsze jest sobą samym, z każdego bowiem innego dojrzany punktu odmienną okazuje postać. Mówić tu raczéj zamierzamy o najcelniejszym z owych gorliwych, a zdolnością i silną wolą znakomitych

w ojczystém piśmiennictwie pracowników. To téż chętnie czołem bijemy przed zasługą, i gdziekolwiek ona się pojawia, i z jakiémkolwiek nawet wystąpiłaby roszczeniem, chętnie wyznajemy, że nie do nas przynajmniéj ściąga się ów zarzut prowincjonalnéj stronności, jakim jeden właśnie z owego grona pisarz, warszawską krytykę obrzucić usiłuje. Owszem, skromni tam, gdzie idzie o przestrzeń już przez nas przebieżoną, pałający żądzą dotarcia tam, gdzie w odległą i wysoką metę oczy niewzruszenie mamy wlepione, radzi nawet widzimy, żeby nas prześcignięto i chyba wtenczas tylko czujemy się upokorzonemi, kiedy swoją wyższość i tryumf głoszą z owych pracowników najmniéj właśnie do tego powołani.

Ale bądź jak bądź, Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz) po Kraszewskim, który zresztą i kolébką i pierwotném ukształceniem raczéj do nas należy, ze wszystkich owych z młodocianą siłą coraz bardziéj uwydatniających się pisarzy jest najpiérwszym, a bez zaprzeczenia na czele stoi tych dziwnych pseudonymów, których (nawiasem mówiąc) znaczenia i powodu w obecnéj już chwili trudno się domacać. Syrokomla zarówno poważny myśliciel i uczony, jak ogniste serce, a żywa wyobraźnia, w poezji nie goni za czczą zaletą oryginalnéj nowości, ale mistrz formy już zdobytéj, ujmuje w nią owe lśniące perły swojego ducha i z niewymowną łatwością obficie nas niemi obsypuje. Liryczno-epiczna szata gawędy, ta sama jaką Bogdan i Pol z własnego natchnienia wydobyli, umysłowi zaprawionemu na jaśniejących wieczną młodością wzorach starożytnych, koniecznie musiała przypaść do gustu: to téż widzimy, że w tym rodzaju najbardziéj Syrokomla się lubuje.

Mamy przed sobą dwa tomiki (*Gawędy i Rymy ulotne;*



Warszawa, nakładem Zawadzkiego i Węckiego 1853; Gawędy i Rymy ulotne; poczet nowy. Wilno, nakładem M. Orgelbranda 1854), w których opowiadacz dziejowy i bajarz ludu i smętnie uczuciowy liryk dziwnie w jednę wydatną postać są zrośnięci. Owoż o piérwszym zbiorze Michał Grabowski w numerach lutowych naszego pisma wyrzekł już zdanie swoje, jak zawsze znakomite i prawie ostateczne; my jednakże całość sądu naszego o poecie powtórném podciągnięciem tego zbioru uzupełnić pragnęliśmy.

Sama już dedykacja Litwinom i przedmowa do zbioru drugiego są szczęśliwym i wyrazistém odbiciem swojskiego uczucia i namiętnego zamiłowania w prostocie rodzinnéj piękności. Dla jednako też usposobionych umysłów tylko śpiewa nasz poeta, bo

Kogo zamorskie pachnidło przynęci,
Cóż mu aromat naszych sianożęci?
Po śpiewie oper, jak nudną są rzeczą
Ranne skowronki, co na Litwie skrzeczą!

Istotnie świeża ta woń prawdy i natury zalatuje nas z każdego niemal wiersza, z każdéj myśli, którą acz nie zawsze nową, radzi w tém piękném znajdujemy otoczeniu. Wyróżniamy jednakże w gawędach temi dwoma zbiorami objętych, cztery rodzaje: *Gawędę historyczną*, *domowo-szlachecką*, *gminną* i *kontemplacyiną*, a dwa piérwsze tylko podziały jako istotną gawędę stanowiącą uznajemy. Gawędę gminną bowiem *(Pocztyljon, Trzy gwiazdki, Lirnik wioskowy, O chwale Bożéj i chwale Królewskiéj i t. d.)* z kontemplacyjną, *(np. O moim starym domku, Bywało, Żywot poczciwego człowieka)*, właściwiéj podciągniemy pod rubrykę ballady czyli dumki, poematu treścią swoją wprawdzie do gawęd zbliżo-

nego, ale w którym przeważający żywioł liryczny, nie pozwala na ták wydatny i charakterystyczny kolóryt dziejowy, właśnie główną tych ostatnich zaletę stanowiący. Do nich z pomiędzy wielu innych należą: Chodyka, Błogosławiony Sadoch, Hetman Polny, Dyferencja, Zaścianek Podkowa, o Zabłockim i mydle, Laik klasztorny, wyjątki z Kanonika Przemyślskiego i t. d. Otóż nie chcielibyśmy zdania naszego wyrazić zbyt ciemno i dla tego powtarzamy się: we wszystkich tych poezjach Syrokomli poznajemy wprawdzie naturalną barwę swojskości szczęśliwie uchwyconą, ale z tych ostatnich Gawęd, człowiek nawet z przeszłością kraju i literatury zupełnie nieobeznany, byleby umiał czucie w sobie wyrobić z jego mowy, od razu będzie wtajemniczony i w tę rzewność i w tę prostotę, i dziarską zamaszystość, które nieoddzielnym postaci kapotowych i kontuszowych zdają się być udziałem.

Tak samo jak *Gawędy* wybornie utrafionym tonem we wszystkich odcieniach znacząco do nas przemawiają, tak samo w *Rymach ulotnych*, których dań dość obfitą w zbiorach o których mowa znajdujemy, wytworność wysłowienia się w szczęśliwym zostaje związku z naiwną rzewnością uczucia, z jakąś duszewną serdecznością i myślą zawsze poczciwą. Szczerze nas przytém ucieszyły wybryki dobrego humoru, kilka lekkich dobrodusznym dowcipem zaostrzonych poezyjek, z których radzi poznaliśmy, że wesołość czasem osiada na tém pogodném wprawdzie, ale smętném obliczu, które zdobi kartę tytułową zbioru Wileńskiego. Zastraszył nas bowiem poeta, który sam powiada, że w jego piersi

Jest boléść co serce rozdziéra i krwawi
Jest tam zwątpienie duszy, zdala od téj żmije!
Bo wam zniszczy nadzieję i wiarę zabije!

Jest tam nieco doświadczeń okupionych drogo,
Ale tę świętą miłość wyziębić w was mogą!

My dodamy, jest tam święta miłość Boga i ludzi, rzetelne uczucie piękności, szlachetny zapał do dobrego, zacne, a da Bóg! i skuteczne dążenie naprzód.

Urodzony Jan Dęborog (dzieje jego rodu, głowy i serca przez niego samego opowiadane, a rytmem spisane przez Władysława Syrokomlę, Petersburg i Warszawa. Nakład B. M. Wolfa 1854), jest już w większym romiarze powieścią, choć nie na historyczném tle osnutą, ale dziejowym kolorytem czasu i ludzi dziwnie odznaczoną. W téj powieści zresztą, obok obfitych rysów charakterystycznych, znajdujemy także związek i rozwiązanie miłosnéj intrygi, a jakkolwiek w takim dodatku upatrujemy już zboczenie od pierwotnego rodzaju podobnych utworów, przecięż nie powiemy, iżby całość przezeń na korzystném co utraciła wrażeniu. Owszem, pomimo wszelkich Kapulettowskich zawikłań, Dęborog to prawdziwa Gawęda Szlachecka, a jedyny chyba zarzut ważniejszy, któryby można jéj uczynić, jest to bodaj czy nie zbyteczna jaskrawość farb, pewna wadliwa przesadność w uwydatnieniu wszystkich postaci. Każda figura w Dęborogu, występująca na scenę, ma pretensje do bohaterstwa poematu; nie znajdziesz tam cieni ni półcieni artystycznie rozłożonych; jest to prześliczny obraz, ale podług projekcji Merkatora. Węzłem intrygi jest spór o kopiec graniczny, ztąd ojca na syna nieprzyjaźń pomiędzy domami Dęborogów i Brochwiczów. Złe takie nienawiści familijne o przedmioty równie błahe nie były rzadkością w życiu przodków, to jest prawda niestety! i druga prawda, że prywata górę częstokroć brała nad publicznym interessem: ale brak prawdy widzimy w charakterze starego Dęboroga, postaci zresztą

tak wybornie typowéj, że nie umiemy pogodzić téj szlacheckiéj werwy z podstępném tajeniem krzywdy wyrządzonéj sąsiadowi. Wszakże z wyjątkiem tego jednego usterku, który bardziéj do planu powieści się odnosi, jak do charakterystyki figur, stary ten Dęborog jest arcydziełem w swym rodzaju. Wyśmienity jest, kiedy tłómaczy powód sporu między obiema rodzinami, że to aż

. . . . . Póki starczy świata
Nigdy się z Brochwiczami, Dęborog nie zbrata;

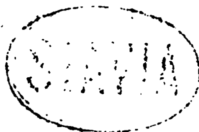
Kiedy wynurza się ze swemi wyobrażeniami o wychowaniu młodzieży, o zasługach jezuitów; kiedy w rozmowie z księdzem definitorem uczucie splendoru szlacheckiego stawia nad łacinę, którą jednak stawia tak wysoko; kiedy wyrostka syna przysposabia do myśliwstwa; kiedy z za grobu ostrzeżenie przodka o zwrot nieprawnie zatrzymanéj sąsiedzkiéj własności najstraszliwszą trwogą go napawa. Xiądz Definitor znowu, „wzór kapłanów" to drugi charakter z niewymównem zamiłowaniem narysowany, a taką zapełniający przestrzeń, że jako wspomnieliśmy, niewiadomo, która z dwóch tych postaci na miano głównéj, a przynajmniéj celniejszéj zasługuje. Jako ksiądz i jako chrześcianin, jako obywatel i jako człowiek, Definitor łączy w sobie wszystkie przymioty, bo i głęboką wiarę i skromną naukę i uczynek świątobliwy. Na siłę wstrzymujemy się od przytoczeń, do których raz na zawsze zakres pisma nas nie upoważnia, ale pewni jesteśmy, że z całéj charakterystyki Xiędza Definitora opuścilibyśmy zaledwie parę wierszy. W nim też umieścił poeta rozwiązanie intrygi, bo kiedy młody Dęborog w czasie wycieczek myśliwskich znajomość zabiera z Zosią Brochwiczówną, kiedy

wnet ztéj miłości, przekleństwem ojcowskiém zagrodzonéj, w niebezpieczną wpada chorobę, w któréj staje mu na oczach czyścowa mara przodka, o zwrot cudzéj krzywdy wiecznie upominająca, wtedy Xiądz Definitor śmiałém pod postacią snu przypomnieniem całéj sprawy, powoli ojca do pobłażania usposabia, aż ten nareszcie:

. . . . . Zalał się łzami, — za rękę go chwyta,
„Błogosławionyś Xiężе, jakby Jezuita!
Nawet proszę aspana, Trocki Wojewoda
Przyznałby że masz słuszność, a zgoda już zgoda!
Niech się młodzi kojarzą, ja sam tego życzę,
Niech się z Dęborogami zbratają Brochwicze."

I tu właśnie upatrujemy wyższość treści naszego poematu nad treścią Romea i Julіety, tak samo jak wyższość narodowego do szlachetnych uniesień skorego charakteru sławiańskiego, nad mściwym i skrytym charakterem włoskim. To pewna, że Wendetta inna jak palestrowa, źle przypadała do usposobienia ojców naszych.

Cóż dziwnego, że mało nas obchodzi, czyli poeta który tak do serca nam przemawia, istotnie jest oryginalnym, czy tylko szczęśliwym naśladowcą? Dla nas jedna myśl, co fantazję naszą podnieca, jedno uczucie, które piersi nam zagrzewa, dostatecznie wynoszą go nad pospolitą tłuszczę, godnie pierwsze naznaczają mu miejsce, po twórcy *Przygód Winnickiego.* Nawet (rozmyślne może) niektóre zaniedbania w niezrównanéj zkąd inąd formie, nawet lekkie usterki językowe, do których nas Syrokomla w swojéj prozie mniéj od wszystkich innych litewskich pisarzy przyzwyczaił, nie osłabią wrażenia, jakie na każdym dobrze usposobionym umyśle czytanie Gawęd i Dęboroga wywołuje.



ZAGON RODZINNY,

ZBIÓR OBRAZKÓW, GAWĘD I FRASZEK RYMOWYCH I NIERYMOWYCH

PRZEZ

Adama Pługa

(3 tomy. — Wilno, Nakładem J. Zawadzkiego 1854 r.)

Zagonem rodzinnym przezwał P. Adam Pług niniejszy zbiór powiastek i różnych prac ulotnych wierszem i prozą, a nie przeczymy, że tą nazwą jednę główną i wydatną stronę swych utworów dość szczęśliwie i wyraziście określił. Istotnie zamiłowanie rodzinnéj strzechy, serdeczna przyjaźń dla ludu, przebijają w każdym ustępie, w każdym niemal wierszu tego zacnego marzyciela i pisarza. Nowa ta generacja litewskich literatów, do któréj i P. Pług należy, w ogóle odznacza się podobną, wprawdzie uznania nader godną, idyliczną, a przynajmniéj rzewną miłością zakątka rodzinnego; ale jednak ubolewamy, że w téj miłości swojéj ogranicza się na prowincjonalnéj jedynie sympatji, że nie rada wznosi się do objęcia ogółu kraju, że owszem, jedne jego części drugim z widoczném dążeniem do wzniecenia jakichś uczuć wyższości i upokorzenia, bezustannie zwykła

przeciwstawiać. Są umysły, dla których jest już rzeczą prawie dowiedzioną, że literatura kosmopolityczna nierównie wyżéj stoi od czysto narodowéj, cóż więc dopiéro powiedziéć by można o znaczeniu téj ostatniéj względem poezji jednego wprost tylko powiatu, albo miasta, albo sioła, albo kolonji czy futoru? Przy znakomitym talencie pisarza, przy artystyczném wykończeniu szczegółów, przy dostatecznéj piękności naturalnéj, podobny utwór sztuki zajmie nas wprawdzie, jako wylew uczuć osobistych do ostatecznych krańców posunięty, jako lubowanie się poety w tém wszystkiém, co bezpośrednio go otacza, dla tego że otacza jego a nie drugich, — zajmie nas, jako ciekawy a częstokroć nauczający przydatek do naszych wiadomości statystycznych lub etnograficznych; ale widokręgu naszego nie rozjaśni, ale do wielkiéj rodziny piśmiennictw europejskich nas nie zbliży, a jeżeli wdziękiem prostoty chwyci nas za serca, tedy samochcąc właśnie niszczy wrażenie, bo przy koniecznym zwrocie do téj lub owéj rzeczywistości, wnet przekona, że ten wdzięk to fantazja, a ta prostota to sielanka i nie więcéj. Wszystko by tak dziać się mogło, bodaj tak i działo, ale jednak ani nie było, ani jest, ani zapewne kiedy będzie.

Otóż i takie jest nasze rzeczy rozumienie. Jeżeli już poetyzować chcą koniecznie, jeżeli potrzeba, dla zadość uczynienia jakim może nowym teorjom estetycznym, ze szlachty robić świętych, albo z chłopów aniołów, to po co na jednym kawałku ziemi ograniczać tę potęgę twórczości? po co te apoteozy i apostrofy, z którychby doprawdy kto pomyślał, że ten ich obwód lub zaścianek to Eldorado cnoty, gdzie złoto poświęcenia i miłości ojcowskiéj dla poddanych i synowskiéj dla panów, na każdym kroku bije w oczy, gdzie tylko aby wyciągnąć rękę, to na nią padnie nagroda

Montjońska? Daléj w ciaśniejszym obrębie zamykając się, już nietylko obczyznę jako ballast niepotrzebny z swéj mowy wyrzucają, ale fundują się wyłącznie w powiatowszczyznę. Naostatek zaś w jeszcze węższe wchodząc kółko, pisarzy innych nie uznają tylko siebie, w sobie widzą i siłę poetyczną i władzę twórczą i rozum krytyczny i czystość językową; a niezłomni w swojém przekonaniu, że wszystko co dotyczy ich, olbrzymów, olbrzymiego także nabiera rozmiaru i nieskończenie obchodzić powinno ogół, taką ich konfidencją zbyt uszczęśliwiony, wyprowadzają przed publiczność prywatną korrespondencję: *Tadeusza do Adama, Adama do Antoniego, Antoniego do Alexandra* i tak daléj i na odwrót. Prawda, że czasem w téj korrespondencji wychodzą na jaw zdania literackie, ależ i te nie zawsze odpowiadają owym szumnym prospektom, w których nam zapowiedziano, że dopiéro się pokaże światu co to krytyka i co rozbiory. Przynajmniéj trudno nam do takich pierwowzorów recenzji zaliczyć np. artykuł o Kraszewskiego *Powieści bez Tytułu*, gdzie między innemi w kilko-numerowém przytoczeniu ujrzeliśmy szczęśliwie dokonany przez p. *Nowosielskiego* przedruk kilku dawniejszych numerów téjże gazety, któréj sam jest współpracownikiem.

Ale czas już wrócić do p. *Adama Pługa* i do jego *Zagonu rodzinnego*, a upewniamy z góry, że ta jakoby gorycz, w któréj mówiąc o zarozumieniu nam antypatycznem, pióro umoczyliśmy, nie jest bynajmniéj wynikiem naszéj jakiéj stronności, czy prowincjonalnéj czy koteryjnéj, w dowód czego przypominamy wyrazy serdecznéj cześci, któremi ostatnie utwory *Władysława Syrokomli* obsypaliśmy. Na sąd nasz o książce p. Pługa żadna téż myśl stronnicza nie wpłynie: o ogólnéj dążności, o krzywém zmierzaniu do celu bez

wątpienia prostego i prawego, mogliśmy powiedzieć co mamy na sercu; ale dla tego kochać i człowieka i pisarza i uznać piękność szczegółów i przejmować się wrażeniem całości.

Nie wchodzimy zaś w tę okoliczność, że niektóre z prac tym zbiorem objętych poprzednio już w różnych pismach były drukowane: — mamy przed sobą książkę świeżo pojawioną i z niéj czytelnikom naszym sprawę zdać zamyślamy.

Najobszerniejsze miejsce w tomie piérwszym zajmuje *Spowiedź, ustęp z życia mego przyjaciela.* Jest to pośmiertny pamiętnik młodzieńca, który nie pobrawszy się ze swoją narzeczoną dla szlacheckich jéj ojca przesądów, po kilku latach znajduje ją żoną drugiego, a do tego przyjaciela, lub przynajmniéj szkolnego kolegi. Przyjęty gościnnie przez teścia kochanki, po bratersku przez jéj męża Adama, który ma tę wielką wadę, że na gospodarstwie się roztył i już tédy nie odpowiada warunkom idealności, wznawia dawne uczucie w niéj i w sobie, aż nakoniec szlachetnością wiedziony, występnego szczęścia się wyrzeka i zamyka się w lesistém siole, gdzie pokutuje za grzech, wprawdzie niewiadomo czy już dokonany, w każdym zaś razie za kilkakrotne życzenia przyjacielowi gwałtownéj lub wreszcie innéj jakiéj śmierci. Zdziczałego w téj samotności zdybuje (¹) autor, z którym się zaprzyjaźniwszy, wpada w suchoty i ustanawia go spadkobiercą rękopismu pamiętników. Z téj treści pokrótce uchwyconéj dostrzeże czytelnik, że spowiedź nie jest artystycznie poczętą nowellą, ani nawet umiejętnie poprowadzonym szkicem; jest to zwyczajna historja miłosna: wypadki

(¹) Obacz nowy Słownik Lindego.

zwyczajne, bohater i heroina ludzie zwyczajni, poczciwi prawda i zacni, ale tracący jednak ową powszedniością, która dla tego samego, że zbyt prawdziwa, nie jest już prawdopodobna.

Wprawdzie i tu są dwie postacie, które jakkolwiek w drugą wpadające ostateczność, bo przesadne i nienaturalne, uderzają nas szczególną wyrazistością. Są to panowie: Sędzia Harbuzek i Porucznik Karabella. (¹) Nie wpływają oni wprawdzie na bieg powieści, nie tworzą bezwarunkowéj całości z innemi figurami także występującemi, są poniekąd nawet mniéj zręcznie przyczepieni i rozwinięcie całego obrazu tu i owdzie tamują, ale są to studja oryginalne, a wystudjowane z zamiłowaniem i dające dobre wyobrażenie o sile autora, który je przyswoić sobie potrafił. Sędzia Harbuzek przypomina wprawdzie gdzieniegdzie Dziadunia z Interessów familijnych, ale ma on i swoję stronę typową, bo pełen facecyjek i dobrodusznego humoru szlachcic, zacny pan domu i wiesak, przedstawia zarazem obraz bogatego dziedzica, który zrośnięty z językiem i baśniami swoich chłopków, w nich tylko widzi dowcip, w nich narodową mądrość i praktyczne pojęcie. Pan Karabella mniéj szczęśliwy jako typ starego wojaka, zajmuje nas swoją dokładnością genealogji szlacheckich, która, przy naturalném rozgałęzieniu rodzin w naszym kraju, każe mu upatrywać

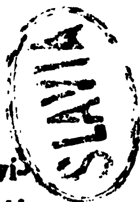
(¹) Protestujemy przeciwko upodobaniu P. Pługa, nadawania osobom swych powieści, dziwnych imion, któreby przypadały może do ramotki humorystycznéj, ale które poważnéj, a przynajmniéj uczuciowéj powieści nie przystoją. Sędzia Harbuzek, Pułkownik Kartacz, Porucznicy Grzmotaiłło, Rąbajło i Spisa, Adwokat Kryminalski i t. d., zbyt boleśnie przypominają nam pewne tragi-komedje z pierwszych trzech dziesiątków bieżącego stulecia.

krewniaka w każdym przechodniu i wabić go do siebie kategoryczném: Chodź waspan tu! — Pani Sędzina i pani Porucznikowa również udatne dwie postacie, szanowne cnotą, małżeńskiém i matczyném przywiązaniem matrony. W ogóle pojedyncze szczegóły zacierają wady ogółu, a obrazowanie tła, tak pod względem miejscowości, jako też charakterystyki ludowéj, jakeśmy to powyżéj wspomnieli, tak wydatne, że przy niém wszelkie inne wrażenie całości z konieczności gaśnie.

Drugą obszerniejszą tego zbioru powieścią jest zawarta w drugim tomie: *Zaraza*, *obrazek obyczajowy*, w którym już myśl artystyczna bardziéj wpływała na układ całkowity, bo i charaktery osób głównie działających więcéj samoistne, i skuteczniéj bieg wypadków przed sobą popychają, i kontrast szczęśliwie uchwycony lepiéj na wspólném tle odbija. Stary pułkownik i trzéj jego rezydenci, to figury żywotne, których szczerze powinszować możemy autorowi; ale najlepszym dla nas podarkiem jest wnuczka, a zarazem wychowanica pułkownika, Kostusia, która tém szczerzéj nas zajęła, iż w ostatnim czasie najcelniejsi nawet nasi powieściopisarze w tworzeniu postaci kobiecych najzupełniejsze zwykli robić fiasko.

Dziwna bo to zaiste cecha charakterystyczna naszych kobiét, ta swobodna pustota, która od obcych niezasłużony ściągała im częstokroć zarzut swawoli, a jednocześnie prawie, albo w bardzo krótkich ustępach, owa melancholijna smętność, zwykle w głębokiéj uczuciowości religijnéj mająca swe oparcie.

Otóż ta główna strona typów żeńskich w najnowszych powieściach zwykle zostaje niepoznaną, albo też nie występuje w żywéj akcji, ale tylko w ckliwych opisach lub roz-



wlekłém opowiadaniu. Kostusia przeciwnie działa, i widzimy ją czynną we wszystkich kolejach powieści. Otóż w téj Kostusi kocha się młody sąsiad, towarzysz jéj lat dziecinnych, P. Jerzy, skłonny do szlachetnych poświęceń, ale zarówno i do powszednich wad młodości. Tego więc młodzieńca, ulegającego słodkiemu wpływowi dawnych przestróg matczynych i dzisiejszéj miłości, radującego się szacunkiem Pułkownika, co go w oczach własnych podnosił, wciągają w swoje sidła Hrabiostwo Ernestowie (albo Ernestostwo, jak mówi Kurjer), którym w oko popadła piękna, a dotykająca ich włości posiadłość P. Jerzego. A jakkolwiek właśnie na wciągnięciu do powieści tego światowego egoisty i samolubniejszéj jego małżonki, polega ów kontrast umiejętnie narysowany, o którym wspominaliśmy, przecież w samém prowadzeniu intrygi zbyt mało jest prawdopodobieństwa, zbyt wielkie środki są w grze na dopięcie zbyt małych celów, iżbyśmy na takie sponiewieranie figur, zkądinąd pięknie i korzystnie pomyślanych, zgodzić się mogli bez restrykcji. Nie powtarzamy nawet, że tu znowu główną rolę grają obrazy tego samego życia wiejskiego, w których częstokroć nawet postrzegamy pewną dążność dydaktyczną, jak np. w opisach całodziennego zatrudnienia Kostusi; nie zamykamy bowiem oczów na poczciwy bez wątpienia, na szlachetny nawet zamiar autora, który jednakże w obec wymagań sztuki, jeden dopiéro, ale nie jedyny najważniejszy spełnić może warunek.

Inne obrazki piérwszego tomu: *Kara Boża*, *Dzieciobójca*, *Gość z grobu* i zawarty w tomie drugim *Marcin Futornik*, są to nic więcéj tylko warjacje na jednę nótę, na poczciwość drobnéj szlachty i chłopków, na bezeceństwo panów zagraniczną oświatą przesiąkłych, a w *Karze Bożéj* nawet znaj-

dajemy jakąś polemikę z pseudo-filozofią, bo filozofią nie nazwiemy stawiania rozumu na pierwszém miejscu we wszystkich stosunkach społecznych, a najzupełniejszego zdeptania wszystkich wymagań uczucia i serca. Najwięcéj zajął nas drobny szkic pod napisem: *Dzieciobójca*, w którym widzimy zacnego wieśniaka, przyprawionego o podejrzenie zbrodni, i bez winy za nią pokutującego, bo go przygniotło położenie towarzyskie. Podobnych obrazów więcéj możnaby nakreślić i pomiędzy różnemi klassami społeczeństwa; to bowiem pewna, że po największéj części złe nie przemieszkuje w człowieku, ale najbardziéj zewnątrz niego i od niego poniękąd niezależnie.

Trzeci tom poświęcony jest samym tylko utworom wierszowanym, z których najobszerniejsze rozmiarem są: *Urywek wspomnień Imci Pana Jakóba N.*; *Szpargał ze skrzyni mojego dziadka i Dziwak*; *Nieco ziemi, nieco ludzi, wiele brudu*; a jakkolwiek ostatni z nich, autor przez skromność nazywa rymowaną prozą, przecież nie są one w niczém gorsze od następnych gawęd, którym nie brak na obrazowaniu poetyczném, choć tam rozwlekłość i powtarzanie się w myślach i w opisach przemagają. Wiersz wprawdzie gładki, z małemi przynajmniéj wyjątkami, ale za to wyrażenia nie zawsze i niekoniecznie poetyczne, jak np. owo przyrównanie oblicza ludzkiego, do zeschłéj kartofli, albo „tulenie chlebów pod pachami.” W ogóle upatrujemy w autorze zbyteczny pociąg do gminności, co w swoim czasie i miejscu może wprawdzie być stosownem, co chwilowo nawet zdolne jest zabawić, ale co się przed prawidłami dobrego smaku nawet tam nie ostoi, gdzie wprowadzone figury gminne jakiekolwiek wpływy na tok wypadków wywierają. Cóż dopiéro, jeżeli poeta nie okrzesanemi prostakami, bez delikatności w uczuciach i mo-

wie, robi nawet swych bohaterów, dla których jednak zajęcie wzbudzić w nas usiłuje, i jeżeli przykrą nieraz gburowatość, jako dziwną zaletę pod postacią rubasznéj dosadności nam przedstawia? Najlepiéj z tego całego tomu wydał nam się *Żukowy Borek*, w którym i koloryt miły i wersyfikacja łatwa przyjemne wywołują wrażenie.

Jeżeli tedy ogół, a bardziéj jeszcze kierunek w mowie będących utworów p. Pługa nie usposobił nas do poglądu zbyt pobłażliwego, tedy zdaniem naszém dowiedliśmy, że na godne uwagi szczegóły nie pozostaliśmy bynajmniéj obojętni. Zresztą, wszakże to da Bóg! nie po raz ostatni witamy się i żegnamy z tym autorem, który oby chciał uznać i przejąć się tą myślą, że nas tu żadne inne prócz głębokich przekonań, prócz serdecznych dla piśmiennictwa i dla niego samego życzeń, nie uwodzi.

PAMIĘTNIKI NIEZNAJOMEGO,

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(2 Tomy. Wydanie drugie poprawne i przerobione przez Autora. Wilno. Nakładem Józefa Zawadzkiego 1854 r.).

W rzeczach wyobraźni, w poprawie których stanowić jedynie może ogłada szaty zewnętrznéj, którość edycji wydaje się bardziéj obojętną. Zajmuje nas wprawdzie w ponowionych przedrukach pocieszająca oznaka czasu, do jakiéj mało jeszcze jesteśmy wzwyczajeni; a temu nawet, co znał *Pamiętniki Nieznajomego* z piérwszego wydania Warszawskiego, powtórzone odbicie, choćby niepoprawne, pożądaną wydaje się nowością, bo przypuściwszy, że umiejętność sztukmistrza od czasu pierwszéj edycji wzmocniła się nieskończenie, zawsze w ludziach téj wagi co Kraszewski, ciekawą jest ówczesna umysłu jego faza, obecnie przez niego samego odkopana i przyznawana za własną i żywotną. Ale w saméj istocie, i względnie rozwoju sztuki mało nas powinno obchodzić, czyli książka, którą obecnie mamy przed oczyma, przed dziesięcią laty, czy teraz po piérwszy raz światło dzienne ujrzała; a nie bacząc nawet na to, że przy

uśpionym właśnie pod owe czasy żywiole krytycznym, prawie żadnemu w chwili wyjścia wnikającemu sądowi nie ulegała, zabieramy się do ocenienia jéj jako dzieła sztuki, to jest jako utworu, do którego każdemu godzi się przystąpić z własném i sobie właściwém rozumieniem, a na które żadne przesądzenie, choćby najpoważniejszych poprzedników wpływu wywrzéć nie powinno i nie potrzebuje.

Przedewszystkiém więc wstępnym bojem zaczepimy o jednę z najwziętszych opinji kilku najzawołańszych sędziów, o opinię, którą przyswoił sobie już ogół czytającéj publiczności, i która do tego stopnia przeszła w krew i soki dzisiejszéj krytyki, że sam Kraszewski nawet ostatnio wystąpił w jéj obronie, a jednocześnie i siebie samego z téj powszechnéj napaści nie wyjmował. Zarzutem tym już nadzbyt ustalonym, ale na żadnéj prawdziwéj ni słusznéj podstawie nieopartym, jest to dziwne pojęcie, że tegoczesna powieść bez wyjątku około jednęgo obraca się punktu środkowego, którym jest sprzeczność wszelkiego marzenia z prawdą, poezji z życiem, idei z rzeczywistością. Z zajęciem wprawdzie czytają oni znakomite płody znakomitych naszych pisarzy i poetów, ale widzą w nich tylko warjacje na jeden temat, i dla tego mniemają, że ta forma poetycznego objawu siebie już przeżyła, że ją wkrótce, że ją zaraz wypadnie zastąpić inną, nową, jeszcze niebywałą. Przeciwko przeważnemu głosowi Kraszewskiego odezwał się drugi, najkompetentniejszy w téj sprawie sędzia, Korzeniowski, ale uczynił to w chwili dobrego humoru, a za główną broń użył ironji, mogącéj wprawdzie w szczęśliwym razie ująć tych, od których zawisło rozstrzygnienie, ale nie mogącéj nigdy rozbroić przeciwnika.

A wszakże odpowiedź na ów zarzut tyle naturalna i ła-

tują! Wszakże uznanie już znaczenie powieści, jako dzisiejszéj epopei, samo w sobie przywodzi konieczność istnienia bohatera, czyli to nim będzie człowiek myśl uosobiający, czyli myśl przedstawiająca człowieka i cały chwilowy kierunek jego ducha. A wyobrażacież sobie bohatera bez walki? W nieustannym ruchu, w nieuchronnie wzajemném przeciwdziałaniu ścierą się siła z siłą, z zasadą zasada. A dla nas, duszących się pod ciężarem materjalnych dążeń stulecia, czyliż jest inna jaka, albo świętsza pociecha nad tę, że mimowolnie tylko człowiek ulega zwycięzkiemu popędowi ogółu? że to odarcie nas z szaty poetycznéj jednakże nie wydarło z serc naszych ognia marzeń, iskry natchnienia? Chcecie życia, potrzeba wam życia, a zdaje wam się, że to życie leży w praktyce codziennych waszych zatrudnień, w powszedniem trybie snu, jadła i napoju? Nie chciéjcież uchodzić za gorszych, niż jesteście w istocie. Jest w was, jaśnieje zaprawdę to słońce młodości i poezji, ale tylko pokryte pyłem egoizmu, ale tylko oziębione chłodnym powiewem zewnętrznego świata. By je oczyścić, by rozniecić, macie waszych piérwszo-rzędnych pisarzy i poetów, owych drogmanów życia duchowego, do których nie przykładajcie skali pożyczanych z was samych lub z waszego otoczenia, bo nie im ubliżacie, nie im szkodzicie, ale sobie!

Nigdy więc nie będzie ich nadto, takich utworów jak *Tadeusz Bezimienny*, jak *Świat i Poeta*, *Pamiętniki Starca*, jak *Koliszczyzna*, albo *Powieść bez Tytułu*. Nigdy nie przestaniemy radować się, że w *Pamiętnikach Nieznajomego* mamy jedno jeszcze równe urodą do téj szlachetnéj familji dziécię, jeden kwiatek jeszcze do tego wabiącego wonią i świeżością wieńca. Formę pamiętników, dla wielu równie antypatyczną jak formę listów, autor nie bez głębokie-

go zapewne rozmysłu na oddanie przedmiotu swego obraz. W prawdzie brak téj formie żywości dramatycznéj, która w szybkiéj akcji przedstawia nam charaktery swoich figur, ale za to lepiéj do niéj przylega tło filozoficzno-reflexyjne, na którém głównie tu efekt całego obrazu jest oparty. Ów nieznajomy Juljusz, to entuzjasta, częściéj spotykać się dający, niż z pozoru by może kto uwierzył, to poeta, nie głowy ale serca, który tém sercem pojmuje obowiązek, a zatém poświęcenie, który w szlachetnym zapale czerpie hart duszy, zwykle tylko udział ludzi zimnych, a rozumujących. Poznajemy Juljusza na początku zawodu uniwersyteckiego, a sądzimy, że ktoby nawet we własnych swych wspomnieniach nie mieścił tego najbardziéj uroczego okresu życia, tego najszczęśliwszego połączenia przedsionku świata i nauki; tego młodzieńczego zapału dla wiedzy i téj płomiennéj młodzieńczości uczuć; ktoby nawet ze słuchu nie znał téj czarodziejskiéj jakby sprężyną otwierającéj się widowni dla nowych sił, które przynajmniéj nieznane w nas dotąd spoczywały, ten z opisu akademickiego pożycia Juljusza i przyjaciół jego dokładne, wyczerpujące niemal o tém wszystkiém poweźmie pojęcie, ten zatęskni za owym jedynym może naszego życia przedziałem, w którym rzeczywistość poezji nie wyklucza, a rojenie wdziera się w prawa codziennego bytu. Po tym obfitym a pełnym uroku obrazie, w goście bogatych pereł rozsadzone są całe dramata kilku serc wybranych, jak *Adama i Rafaela*, drgające ciepłém życiem, wstrząsające prawdą, a obok nich snują się rozliczne postacie młodzieży, w których jak w mikrokosmie przewidujem własną ich przyszłość i przyszłość całego społeczeństwa. Sama treść powieściowa da się zawrzéć w krótkim ustępie. Szarpnięty najprzód w stronę idealną przez młodą wdowę po starym

generale, wnet Juljusz od niebezpiecznéj syreny odwiedziony jest przez ojcowskiego przyjaciela, Wrzoska, wybornego dziwaką, jednę z owych figur Goldoniowskich, któréj typy mimo całéj oryginalności po koniec świata powtarzać się będą. Najskuteczniéj jednakże do takiego odwrotu przyczynia się kochająca dziewica Marja, chociaż w szczęściu miłości przeczuciem nieszczęść trapiąca się, kiedy przeciwnie Juljusz, wesołym wzrokiem wiodąc na około siebie, wierzy w szczęście, wierzy w przyszłość i ludzi.

Ale tu nieufność tryumf odnosi nad naiwną wiarą; krótkie wydalenie Juljusza do matki na wieś, gdzie obok téj zacnéj matrony poznajemy jeszcze dwie piękne postacie: *Podkomorzego* i jego córkę, *Cesię*, wystarcza rodzicom, by zmusić Marję do zawarcia nienawistnego związku ze starym bogatym pretendentem. Wprawdzie ona wkrótce życiem przypłaca to dziecięce poświęcenie, ale Juljusz dopiéro długo po śmierci matki, która od dawna połączenia jego z Cesią pragnęła, dopiéro gdy dług wypłacił powinności synowskiéj względem kraju, co go rodził, w téj ostatniéj kobiécie, na pozór prozaicznéj, płaskiemi życia codziennego potrzebami jedynie zajętéj, lecz dla tego niemniéj silnie czującéj, głęboko kochającéj, upatruje te przymioty, które skołatanemu burzliwą falą uczuć spokojne szczęście zapewnić potrafią. I tu wprawdzie jeszcze, gdy do portu już przybija, los zazdrosny ukazuje mu w przelocie nowy ideał, Izę, — ale i tu świętość obowiązku przemaga w nim żałość serca i żeni się z Cesią, a nie uchyliwszy się przed żadném wymaganiem powinności męża, ojca, i obywatela, spełniwszy do dna czarę żywota, prawie wesoło, mówi autor, z utrapioną rozstaje się pielgrzymką i zapylone szaty zrzuca na progu gospody.

Rzecz, jak widzimy, prosta; tak prosta, że z pierwszego pozoru nie wydaje się możliwém, iżby na niéj osnuć się dało pełne perypetji drama serc i charakterów. Ale w zabytkach sztuki średnio-wiecznéj najwyżéj cenimy owe olbrzymie pomysłem, mistrzowskie wykonaniem ołtarze, z lichego drzewa wyciosane, a częstokroć, a prawie zawsze przekładamy je nad ozdoby karraryjskie, nad bogate złoceniami i ujmujące gracją arabeski. Im jest materjał prościejszy, im przedmiot bardziéj pojedynczy i zwyczajny, tém sztukmistrz większe ma pole do działania, bo materjał, bo przedmiot żadnéj cząstki zasługi sobie nie przywłaszczą, bo wszystko tu zależy od wyobraźni artysty, od sposobu traktowania. Dla tego też talentom pośledniejszym, umysłom mniéj twórczym, wara od podobnych przedmiotów, w które wszystko wkładać muszą wyłącznie swoje, z siebie wydobyte. W prawdzie nietylko częste w ciągu tych Pamiętników napomknienia, ale raczéj pokrewieństwo treści, a bardziéj jeszcze powinowactwo w obrobieniu, pogląd artystyczny, nie bez słuszności może naprowadzają nas na domniemanie, że Kraszewski był tu pod żywém a świeżém wrażeniem utworów Goethego, zwłaszcza *Wilhelma Mejstra;* wprawdzie w bohaterze Juljuszu jest coś, co mimowolnie przypomina *Werthera*, a więcéj jeszcze w Cesi *Szarlottę:* ale chociaż nawet przejęcie się takiemi wzorami mistrzowi nie ubliża, przecież myśl rezygnacji i poświęceń, to co główną téj książki stanowić może zaletę, nie jest ani naśladowana, ani zasłyszana, ale ciepłym strumieniem wypływą z własnéj duszy artysty. Nie czynimy tu porównań, bo te w podobnych razach zawsze na śmieszność zakrawają; ustanawiamy fakt i na tém dosyć.

Co się tyczy refleksji filozoficznéj, a raczéj poetycznéj, w którą autor odział dzieje sercowe swoich figur, jest ona

z rzędu tych, o których na wstępie powiedzieliśmy, że podtrzymują i skrzepiają siły, nieraz zbyt trudną do przebycia walką z światem zewnętrznym nadwątlone. Niejeden umysł dobrze zorganizowany znajdzie tu uformułowane najgłębsze i najtajniejsze swe marzenia, których może tylko w świadomą formę pochwycić nie potrafił.

Styl Kraszewskiego, tak ostro odgraniczoną linją piękności zawsze odznaczony, w *Pamiętnikach Nieznajomego* wznosi się częstokroć do wysokości poetycznego natchnienia. Co do języka, wdzięczni mu jesteśmy za usiłowanie wprowadzenia do toku rozmowy prawdziwie pożądanego *wy*, w miejsce niewygodnych: *Pan* i *Pani*, które jeżeli już w potoczném życiu nieznośne rozwlekłością konstrukcji, pisane dopiéro cały wdzięk częstokroć najlepszemu djalogowi odbierają. W tak czystém zaś otoczeniu zbyt odsłonięta w niektórych miejscach nagość wysłowienia i rzeczy niemile nas raziła: wybornie naprzykład w opisie uczty akademickiéj obeszłoby się bez owego, jak go sam autor nazywa, „głupiego łacińskiego axiomatu." Wiadomo, że nie w tém nieraz sztuka, co się powié, ale w tém właśnie, co zamilczy.

TOMIRA.

MISTERJUM PRZEZ

DEOTYMĘ.

(Warszawa 1855 r.)

Są epoki i zdarzenia, w ocenieniu których krytyka historyczna niezmiernie miewa trudności do zwalczenia. Są pisarze i dzieła przy których też same względy stają na zawadzie beznamiętnéj krytyce literackiéj. W tamtych spółczesność prawie zawsze nieprzebytą ukazuje się przeszkodą; w tych niezwykłość formy, nowość kierunku, a częściéj jeszcze zewnętrzny do innych równoczesnych pisarzy i płodów literackich stosunek, omglewa oczy i mąci spokojność bezstronnego sądu. Sprawa historji w niektórém też odnoszeszeniu trudniejsza, w inném łatwiejsza jest od piśmienniczéj. Trudności dziejowéj nic nie pokona, oprócz jednego tylko czasu, ale czas pokona ją zawsze, a ubiegłe wieki nieodwołalnie w prawdziwém świetle ku nam muszą się przechylić; spór o wartość literacką niekoniecznie przez potomność bez fałszu bywa rozstrzygany, zwłaszcza, jeżeli zrazu fałsz spółczesny wciunął się w wyobrażenia ogółu

i prawem spadku przeszedł do następnego pokolenia; ale ta spółeczność, przy poważnéj chęci i sumiennem wszystkich oznak badaniu, może się z owego błędu otrząsnąć, i gdy zechce, przejąć się niewzruszoném wyobrażeneim objektywnéj prawdy. Dla tego też, jeżeli przy ocenieniu blizkich nam ludzi lub wypadków dziejowych zadowolić się możemy powierzchowniejszym poglądem, głębsze wnikanie późniejszemu zostawiając stuleciu, tém niezłomniejszą jest dla nas powinnością, nie pominąć żadnego spornego zjawiska literackiego, byśmy go wedle siły najdokładniéj nie wyjaśnili i tego mu nie naznaczyli stanowiska, jakie mu w ogólném znaczeniu piśmiennictwa z czysto-wewnętrznéj już wartości przynależy.

Mimowolnie nasunęły się nam te myśli o ważności zadania, do rozwiązania którego dziś przystępujemy, gdy o nowym utworze Deotymy zdanie nasze wynurzyć umyśliliśmy. Rozwiązanie to, jakkolwiek możliwe, niemniéj tyle przedstawia wewnętrznych i zewnętrznych trudności, że podejmując się jego i ze spuszczoną głową w sam środek zdążając bojowiska, wypełniamy tylko obowiązek sprawozdawcy czasopisma, mniéj baczni, czy bohaterstwo nasze się powiedzie, lub też czyli nową tylko jaką fasetę odsłaniając, objęcie ogółu szczęśliwszemu i umiejętniejszemu następcy poruczymy. To tylko o sobie nieazchwiane i prawdziwe mamy przeświadczenie, tę sprawiedliwość oddać sobie jesteśmy zniewoleni, iżeśmy się wyzuli z wszelkiéj uboczności, że nas dawniejsze sądy ani podchwyciły ani uprzedziły, że oczyma duszy widzimy przed sobą fakt czysty, wyjęty z pod wpływów przyczynku ludzkiego, i że się świadomie pod żadne działanie podobnych wpływów naginać nie dajemy. A przecież, gdy zabieramy się po raz piérwszy wypo-

wiedzieć myśl naszą o młodéj pisarce, która, jeżeli nie dla czego innego, tedy tém samém już zasługuje na miano fenomenu, że tyle różnorodnych potrafiła poruszyć namiętności, że kwestję poezji, a nawet kwestję poematu, uczyniła kwestją żywotną miasta i kraju, czyliż wolno nam będzie ograniczyć się na jednym tylko odosobnionym utworze, którego tytuł na czele niniejszéj pracy zamieściliśmy? Czyż godziwém będzie, nie odnieść się do dawniejszych płodów téj zadziwiającéj muzy, która prawie siebie nieświadoma, sypie na świat rój uderzających w najsprzeczniejszym kierunku myśli? Czyliż przedewszystkiém wypada zamilczyć o wrażeniu, jakie ta niepospolitość w czytającém i słuchającém gronie wywołała, o tych dityrambach i peanach zachwytu, o tych szarpaniach się omdlałéj zawiści, o tych ostrych razach jakiemi napuszone Arystarchy w najlepszéj wierze niebiańską dziewicę smagać zaczynali? Co do nas, otwarcie wyznajemy, że ani owe paszkwile zazdrosnych, ani owe surowości Zoilów, taką nas nie przejmowały boleścią, bo do tyla zgubnemi się nie wydawały, ile niewolnicze pełzania kilku zapaleńców, ile mianowicie apoteoza Zygmunta Kaczkowskiego, grzeszna przeciwko zdrowemu poglądowi na całość piśmiennictwa, a zwłaszcza téż na dzisiejsze stanowisko poezji: pretensjonalny zbiór wyrazów uwielbienia, zdolny wbić w przesadzone o sobie rozumienie talent pośledni albo siłę nastrojoną, lecz na szczęście, jak od twardéj stali odbijający się od prawdziwéj zdolności i wysokiego naturalnego daru.

A najprzód, by już raz na zawsze skończyć rzecz z wyobrażeniami ubocznemi, we wszystkiém cobądź o Deotymie objawimy, nie na myśli nam jéj władza improwizatorska, któréj wszakże bynajmniéj nie odmawiamy niezwykłości

i żywości potęgi. Widzimy w niéj jedynie autorkę, co bez względu na sposób tworzenia, utwory śmiało i bez podchwytu pod wyraźny sąd powszechności podaje. Wprawdzie nie przeczymy, że improwizacja swoją szczególną a odrębną cechą wywiera moc, jakiéj żadna inna praca literacka nie posiada, że żywe słowo, głoszone pełnemi usty natchnienia, towarzyszone blaskiem światła, jakie w promiennych oczach jaśnieje, że owa bezpośredniość wysiłku, który w obec słuchacza wydobywa z siebie całe bogactwo myśli i wyrażeń, który jakby niedojrzalną przędzę, wysnuwa cały szereg obrazów i równie niedościgłych oku ludzkiemu powiązań, że ta piorunna burza i ta łagodna na przemian cisza samoistnéj twórczości niewypowiedzianym urokiem opanowują naszą duszę; ale z drugiéj strony, wszystkie te pozorne zalety, są to tylko mniéj rzeczywiste przydatki do istotnéj treści, jest to blichtr, który wprawdzie ułudzi mniéj wprawne oko, ale który o tyle jedynie realnéj nabędzie wartości, o ile posłuży do podniesienia blasku szczerego złota, jakie się tuż przy nim znajduje. Wprawdzie przyzwalamy, że improwizacja jest czémś więcéj jak prostą wprawą, do któréj lada jaki talent wierszopisarski mógłby się przyuczyć, że jest czémś więcéj, jak błahą igraszką, która żadnéj ukrytéj strony umysłu nie odsłania; ale nie przypuszczamy, żeby jako bezpośrednia, najwłaściwszym, ba jedynym była objawem tchnienia, żeby całkowicie już przedstawiała nam tajemnicę, która każdemu duchowemu tworzeniu towarzyszy. Na wszelki wypadek improwizacja jest wyłącznością, którą jednak silna wola i władanie nieskażonemi formami języka przyswoić sobie potrafią. Szybkość aktu wynalazczego, szybkość obrobienia, prawdziwie głębokiemu poetycznemu uchwyceniu przedmiotu raczéj tu na przeszkodzie, niż pomocą. Ta

strona przedmiotu, którą myśl w piérwszym przelocie pochwyci, stawać jéj będzie przed oczyma, z jakiegokolwiek końca do napoczęcia tego przedmiotu się zabierze. Ztąd to, a nie zkąd inąd pochodzą owe nierówne, owe gwałtowne nieraz, a zawsze wewnętrzną logiką niepoparte przejścia, które w utworach wszystkich improwizatorów stanowią jakoby obce domięszanie, jakoby niezbity dowód, że to wysokie natchnienie powstało na zimno i tylko w gorących słowach jest wypowiedziane. Z okazji Deotymy tyle się nagadano o improwizacji w ogólności i o najcelniejszych jéj przedstawicielach w innych narodowościach, że chętnie wyrzekamy się sławy tego rodzaju erudycji, i że szczegółowemi porównaniami nie nadużyjemy cierpliwości naszych czytelników. Pojmując zaś całą potęgę uroku, jakim mowa improwizowana przejąć musi zdumiałego słuchacza, z pod tego uroku rozmyślnie się wyłamujemy, a w *Improwizacjach* i *Poezjach,* tak samo jak w *Tomirze* Deotymy, widzimy tylko książki drukiem uwiecznione, a zatém roszczące sobie prawo do trwałości dłuższéj nad chwilę, wchodzące w obręb dziejów piśmiennictwa, nakoniec w ogólnym rozwoju ducha ludzkiego stanowiące cząstkę nieulotną, ale pewną i wyrazistą oznakę swego czasu.

W ogóle wprawdzie ten czas dzisiejszy nie jest epoką liryczności. Reflexyjne zwracanie się poety do samego siebie, lub przynajmniéj do własnych wrażeń, niknie przy olbrzymich krokach, jakiemi dąży naprzód zdyszałe ciężką pracą stulecie. Ale tu zaraz miejsce wynurzyć się z głębokim podziwem, jaki właśnie liryzm Deotymy wzniecić w nas jest powołany. Jéj liryzm, to nie egotyczny wylew wysmukłych i ckliwych sentymentów, to nie namiętność podrobionym jakimś zapałem podżegana; to raczéj spokojne ujęcie

poetycznego przedmiotu, spojenie go z promieniejącą wyobraźnią, górowanie nad nim do tyla, że sam przedmiot niknie częstokroć w téj jakby ptasiéj perspektywie, naostatek uogólnienie oznak szczegółowych i usamowolnienie ich z pod wpływów otoczenia. Takim liryzmem, do epoki zbliżonym, dowiodła Deotyma, że intuicyjnie czy świadomie pojmuje wymagania wieku, że niedosyć dla niéj stanąć na wysokości momentu, że potrzebuje jeszcze, by ten moment stał się niejako własnym jéj utworem. Wiemy aż nadto dobrze, że taką moc wnikania przypisując poetce, stawiamy ją w rzędzie natur genjalnych, którym jednym nadany jest przywiléj, nietylko zrównania i doścignienia swojéj spółczesności, ale nawet dopełnienia jéj, ale nawet wyjrzenia po za jéj granice. Genialna to koniecznie natura, która krępowana rozlicznemi jeszcze więzami, co ją do ziemi przykuwają, samodzielnie wyrywa się ku wysokości, i pomimo zbyt częstych upadków nie spuszcza z oka jaśniejącéj gwiazdy, która niepewnym zrazu i nieśmiałym jeszcze lotem jéj kieruje.

Powiedzieliśmy, że liryzm naszéj poetki posiada pewne cechy epiczności, a dodamy, że ten przeważający żywioł również odznaczony jest, w obrobieniu zwłaszcza, charakterystyczną stroną dramatyczną. I tak w kilku wyrazach zamknąć możemy szczegółowe oznaki utworów Deotymy: przedmiot zrazu uchwycony w bezpośrednim stosunku do wewnętrznego świata, podciągnięty pod duchowe pojęcia religijne, wydobyty w swéj właściwości z natłoku pojęć ogólnych, a zatém ów przedmiot pomyślany w duchu poezji czysto lirycznéj, przechodzi następnie w opisowość wyraźnie objektywną, przyczém na nieszczęście o oschłą także dydaktyczność potrąca, by naostatek, w uosobieniu żywotnych figur i wyprowadzaniu ich do urojonego, lecz zawsze

mściwego czynu, urozmaicić obraz świeżém działaniem życia, które właśnie charakter dramatu stanowi. W tych przejściach, które zapewne znamionują główną niepospolitość poezji, jednocześnie najważniejszy spoczywa zarzut, jaki poetce kiedykolwiek uczyniono. Kiedy bowiem z jednéj strony każda allegorja, chociażby nawet pod najwdzięczniejszą szatą przedstawiona, w pełném uczuciu czytelnika nie wielką budzić zwykła sympatję, tedy bezwątpienia zbyt widoczna i ciągle i zawsze wracająca się dążność, że tak powiemy dążnościowa, nuży umysł, i chyba tylko jaskrawością obrazów uwagę naszą podtrzymać jeszcze potrafi. Takiemi widzimy najbardziéj chwalone poezje Deotymy, jakiemi są: *Wiosna*, *Snycerstwo*, *Kamienie*, *Ptaki*, *Niedziela*, *Malarki*, a jedna chyba tylko *Miłość Najwyższa*, w któréj istotnie udramatyzowanie wszechświata artystycznie zostało wykończoném, najmniéj podlega owéj wadliwéj wielostronności.

Że sama Deotyma widocznie czuje ów mimowolny pociąg swego talentu do rodzaju dramatycznego, dowodem tego scena fantastyczna pod tytułem: *Tajemnica owoców*, dowodem także wydana na widok publiczny *Tomira*. Nie wiemy, czyli zawarta w téj Tomirze legenda prawdziwą jest legendą, czy téż tylko nową allegorją autorki; wszakże mniejsza o prawdę historyczną, skoro tylko poetyczna prawda działanie swoje na nas ma wywierać. *Tomira*, to rozpaczająca o potędze swoich bogów poganka, któréj świątobliwy węgierski królewicz Emeryk na szczycie Łyséj Góry ukazuje Krzyż i Chrzest, jako nagrodę za krótkie wytrwanie w wywołanéj nadziemskim cudem wierze. Ale ta wiara, wnet zachwiana przez litość, ostatecznie ziemskiéj ulega miłości, skoro wyobraziciel niestałych uczuć ludzkich, wieczny tułacz Ahas-

wer, odwodzi ją od stroméj ścieżki na szczyt góry i w niebo-skie wraz z sobą uprowadza tułactwo. Wprawdzie nie utrzymuje się jego zamiar nieprzyjazny, bo kiedy ona gwałtem wyrywa się z objęcia Krzyża, Emeryk u stóp góry w skałę ją przemienia, co do chwili ostatniego sądu wdzierać się będzie ku wierzchołkowi, gdzie nakoniec po długiéj pokucie chrzest święty grzeszne serce do reszty już oczyści. Legendę tę Deotyma zupełnie przybrała w szatę dramatyczną: osoby są tu już wyrazistsze, bo niekoniecznie wszystkie przedstawiają oderwaną myśl, ale zarazem same siebie. Trudno wprawdzie w tak małych ramach o dokładną charakterystykę figur: *Bolesław Chrobry*, a nawet *Emeryk* naszkicowani są po wierzchu, ale jest przecież i oddzielna właściwość i jędrna siła w *Tomirze;* a bardziéj jeszcze w *Ahaswerze*. Akcja treści dość żywa dobrze zapełnia karty djalogu, i tak w ogóle utwor ten, jako pomysł pierwotnie powzięty, warunkom sztuki szczęśliwie odpowiada.

Ale to, cośmy tu na piérwszy plan obrazu wydobyli, w gruncie rzeczy miało być tylko tłem, na którém głębsza myśl w plastycznéj formie odbijać się była przeznaczona. Myśl ta winą legendy bardziéj może niż własną autorki, nie tyle jest chrześcjańską, jakby się może na pozór wydawało. Przynajmniéj ludzkie pojęcie kazi głębokość wiary, a uczucie staje na zawadzie dopięciu najwyższego celu. Wszakże tu idzie raczéj o poetyczne wykonanie téj myśli, o wyprowadzenie jéj na drogę ostatecznego trjumfu. Owa

Postać kamienna, klecząca, kobieca,
Która ku długiéj pokoleń przestrodze,
Podziw i bojaźń w sercu wieków wznieca;

to nietylko niedoszły chrystjanizm, to wszelka idea, któ-

ra z toru swego strącona, już ostatnią utraciła nadzieję, by się kiedykolwiek w doczesności mogła urzeczywistnić. Owo bluźniercze przekleństwo Ahaswera:

Szalony, kto do szczęścia prawo sobie rości,
Przeklinam cię o wiaro!
Przeklinam cię nadziejo!
Przeklinam cię miłości!....

to przekleństwo, z którém na ustach konają społeczności, kiedy w bezdenną przestrzeń zapomnienia nieubłagany wir dziejów je pociąga. A kiedy wszystko jest stracone, kiedy i godło ruchu, tułacz, i godło spoczynku, skała, do jednego dochodzą kresu, do chwili,

Gdy trąbą wstrząśnięte bożą,
Na gruzach wszechwieków gmachu
Groby się z jękiem otworzą;

wtedy nic nie zostaje, prócz jednych ramion krzyża, które zbawienie swoje rozpościerają na świat.

Szczegóły obrobienia tu jak we wszystkich niemal poezjach Deotymy po wielkiéj części blaskiem kolorytu bogate, w innych znowu miejscach uderzają jakby rozmyślną prozaicznością. Dotknęliśmy już zlekka ten dziwny sposób tworzenia, w którym odrębne cechy poetycznéj treści z tyluż odrębnych stron przedstawiają się duchowi poetki; ale skutkiem czego wewnętrzne ich powiązanie zupełnie niedojrzalne, nawet po prawdzie może całkiem nie istnieje.

W innych utworach brak ten wynagradzają, albo przynajmniéj wynagrodzić mają wysiłki erudycji, o których nawet, jako o rzeczywistym zarzucie, wspomnieć nie mamy zamiaru,— gdyż uważamy je za łatwą do wybaczenia w mło-

dym, a wysoce ukształconym umyśle hypertrofię. Ale w Tomirze i ten nawet surrogat nie zapełnia częstych próżni, tak, iż po znakomitym ustępie pełnym siły poetycznéj, przechodzimy do następnego, równie udatnego szczegółu, przez pospolite słowo lub tyradę na traf szczęścia uchwyconą. O języku to tylko powiemy, że zawsze na równi jest z zapałem, który tak różnie młodą poetkę unosi; raz tedy blady, ciągnie się poziomo przez wytężenie jednoczącéj myśli; wnet powstaje z całą potęgą dźwięku i w błyszczących barwach przesnuwa się przez ogień wieszczki. Co się zaś tyczy zewnętrznéj formy i saméj budowy wiersza, to bez wątpienia teraz już, choć częstokroć w tak niedokładném kole całość się obraca, widzimy zarysy żywotnéj i nadnaturalnéj siły, z którą, gdy ona swój zawód poetyczny dopiéro rozpoczyna, niejeden schodzący z pola, tenże zawód ukończyć za najwyższy sobie uważałby tryumf.

Przy innéj może sposobności (a da Bóg! nieraz jeszcze w naszym Obrazie literackim z tą wschodzącą gwiazdą spotkamy się), przy innéj może sposobności bliżéj się rozszerzymy nad szczegółowemi jéj poetycznego języka i formy zaletami i wadami; dziś szło nam głównie o wykazanie ogólnego znaczenia, jakie do poezji Deotymy przywiązujemy.

Na zakończenie więc w krótkich wyrazach wyciągnijmy summę tego, cośmy ku oznaczeniu właściwego stanowiska dotąd tu wyrzekli. Kiedy bowiem jedni, jak to już napomknęliśmy, korne przed nią schylając czoła, podnoszą ją w dziedzinę ideałów; kiedy zdaniem ich, genjusz zbyt słabém jest nazwaniem na oznaczenie tego cudownego zjawiska; kiedy zapowiadają, że od niéj liczyć będą nową epokę odrodzenia w poezji, przewrót w całém piśmiennictwie, nie tylko krajowém, ale powszechném, europejskiém; — inni znowu

zdzierając świętą zasłonę, jaka na natchnionych skroniach wieszczki jest zwieszona, bezrozumnym uniesieni popędem, obrzucają błotem jasne natchnienie, ścierają barwę i woń żurocznego kwiatu, odmawiają jéj wszelkiego polotu, wszelkiéj bystrości wyobraźni, a upatrują tylko czczą mięszaninę szumnych wyrazów, w którychby sensu nawet trudno się domacać. Powiedzieliśmy już, że mniéj niebezpiecznym dla młodéj poetki uważamy wybryk drugi niż piérwszy,— choćby dla tego samego, że i przesada jest w nim widoczniejsza; zostawiając zaś na boku dwie te ostateczności, które jako ostateczności, prawdy w sobie zamykać nie mogą, gdzież tę prawdę znajdziemy? Czy w pośrodku: czyliby tedy Deotyma, nie będąc ani wysokim genjuszem, ani poślednią słabością, miała być miernotą literacką, jednym z owych niezgorszych talencików, którym nie jeden płodzik nieźle się udaje, a których w każdém piśmiennictwie naliczysz na tuziny i półsetki? W saméj rzeczy, to zdanie leży pośrodkiem obu innych, ale niemniéj dla tego od nich jest fałszywe, a tém niedorzeczniejsze, iż jak każde mniemane *juste-milieu*, i ono także znalazło swoich wyobrazicieli, którzy z pewnym zdradzieckim pozorem bezstronności rozpowszechnić je usiłują. Co do nas, my prawdy szukamy gdzieindziéj. Naszém zdaniem genjusz równie jak talent darem jest nadprzyrodzonym, ale jeden równie jak drugi w początkach swego istnienia od możliwéj im doskonałości są dalekie. Objawiają się one wprawdzie bezpośrednio i prawie bez własnego przyczynienia się; ale te piérwsze objawy, są to tylko wskazówki, które zwrócić mają na nie uwagę przechodniów i samych obdarzonych; to promień wychodzący z morza, a który zdaje się przemawiać: W téj oto głębi spoczywa jutrzenka talentu, słońce genjuszu! Zaprawdę dar poetycki, któryby wyżéj nie

sięgnął nad oznaki niezwykłego nawet talentu, zacząłby od siły stokroć lżejszéj, a skończyłby chyba na tém, co dziś jako pierwiastki niemal Deotymowéj Muzy podziwiamy. Kto zaś takiemi już płodami świetny zawód pisarski rozpoczyna, temu kres ostateczny nierównie wyżéj jest położony; ten z genjalnéj natury, jaką teraz wykazuje, prostą drogą przejdzie w dziedzinę genjuszu, byleby drogi żadnym względom podrzędnym skrzywić, byleby z tego toru żadną przesadą własnych i cudzych pojęć zbić się nie dozwolił. Niełatwo to wytrwać na takiéj drodze; dla tego też powołanych nierównie jest więcéj, niż wybranych: ale im świetniejszy jest cel, co czeka ich przy końcu, tém grzech większy i odpowiedzialność straszliwsza dla tych wszystkich, którzy wpół drogi ustają. To co znamy z utworów Deotymy, dalekiém jest jeszcze od utworów dojrzałego genjuszu, ale wszelkie ku temu zarodki już są w nich złożone i niezłomne też mamy przekonanie, że się we wszystkich zgoła kierunkach jak najświetniéj będą mogły rozwinąć. Inna wprawdzię miara doskonałości przeznaczona jest intelligencjom wyższym, inna umysłom codziennym i zwyczajnym; ale doskonałość jest zawsze i wszędzie, a jesteśmy pewni, że czego nie uskuteczni olbrzymia własna praca, tego dopełni życie, ów mistrz mistrzów; tego dokona głębsze samopoznanie i nakoniec zbawcze otrząśnięcie się z czysto ziemskich żywiołów i domięszań.



PAN STOLNIKOWICZ WOŁYŃSKI,

POWIEŚĆ PRZEZ

Józefa Korzeniowskiego.

(2 Tomy. Nakładem B. M. Wolfa. Petersburg i Mohylew 1854 r.)

Nie jest to powieść historyczna, którą obecnie mamy przed oczyma, lecz nie jest ona także z rodzaju tych, których *Korzeniowski* w naszéj literaturze jednym z najgłówniejszych jest przedstawicieli. Przyzwyczailiśmy się widzieć w tym znakomitym pisarzu, malarza obyczajów i charakterów tegoczesnych, życia upoetyzowanego wprawdzie, ale codziennego, tego samego, na które bezustannie patrzymy; wypadków prawdziwych, tylko w ramy sztuki ujętych, jedném słowem, malarza obrazów, które dla następnych pokoleń przeważnym staną się materjałem, co do kostjumów równie jak co do kolorytu, głównie zaś co do wszystkich wewnętrznych oznak dzisiejszéj społeczności. W jednéj tylko powieści tego autora, w *Kollokacji*, poznajemy społeczność naszą wprawdzie, a jednak nam obcą, która poniekąd do minionego już czasu należąca, przechowała się w swojéj samodzielności i do drobnego zakątka ziemi naszéj

przywiązana, dziwnie od teraźniejszych usposobień, od teraźniejszego nawet jéj ukształcenia odbija. *Stolnikowicz Wołyński* wyraźniéj jeszcze i z widoczniejszym celem cofa nas w przeszłe stulecie. Jest on materjałem dla nas samych, tak samo jak *Emeryt*, jak *Tadeusz Bezimienny* staną się materjałem dla naszych następców. Życie ośmnastego wieku odtworzone tu jest w całéj swojéj sile, ze wszystkiemi zdrożnościami, jakie w niém bezsprzecznie górowały, ale téż z całym owym zasobem gorącéj miłości i patrjarchalnego stosunku między-rodzinnego, który niestety! upadł pod szyderczém samolubstwem dziewiętnastego stulecia.

Wprawdzie autor wypiera się zamiaru sprowadzania przed oczy nasze, owéj przeszłości, nie wieloscią lat, ale wielkością wypadków tak od nas odsunionéj, tak trudnéj do uchwycenia w swéj właściwéj fizjonomji, tak migającéj się coraz to inną barwą i wyrazem. „Chciał nam tylko dać obrazek" téj ziemi, z którą zrósł się i na któréj wychował, tego życia, którego ostatnich pulsów w niejednym dworze i dworku własną ręką jeszcze dotykał. „A dla wiadomości i przestrogi tym, którzy z powołania sądzą pracę pisarskie, z góry zaraz oświadcza, że lepiéj od nich zna wszystkie te trudności, których może pokonać nie zdołał."

Taką więc prowadzeni przestrogą, bez dalszego już wstępu, zabieramy się do przedstawienia treści tego zajmującego obrazu, bliższe o nim uwagi zostawiając ogólnemu wrażeniu, jakiém artystyczne jego wykończenie przejąć nas potrafi.

Opowiadanie o panu Stolnikowiczu Wołyńskim podaje nam autor jako wypadek z własnego swego życia. W r. 1819 z przyjacielem swoim, młodym i bogatym Ludwikiem B. bawiąc w Żytomierzu, zszedł jednego dnia śpiącego nad brze-

gami Kamionki starca, z ubioru nędzarza, ale z miny we śnie nawet okazującego jakąś niepospolitość, jakąś pamięć lepszych czasów i świetniejszego powodzenia. Był to p. *Benedykt Olszański, Stolnikowicz Wołyński*, którego zrazu dla dumy przy ubóstwie szanować zaczynamy, którego późniéj nawet przy bliższém poznaniu kochać widzimy się zniewoleni. Po wielu trudnościach udaje się P. Ludwikowi, młodzieńcowi szlachetnemu niemniéj jak zamożnemu, nakłonić Stolnikowicza do przyjęcia jego gościnności i zapewnienia sobie bytu na starość. Wprawdzie z początku przez chwilę zdaje się, jakoby ta ofiara niezbyt szczęśliwie była umieszczoną, albowiem zaledwie odziany i w pewną sumkę pieniężną zaopatrzony, wraca do domu *Stolnikowicz* w stanie bezprzytomnym, który dwem młodym przyjaciołom powód jego upadku już wyjaśnia. Ale upamiętanie się starca tak jest rozczulające, z taką skruchą udaje się do Boga, a następnie wrąca dane słowo młodemu swojemu dobroczyńcy, że nas ta chrześciańska pokora i to szlachetne zaparcie się jeszcze mocniéj zobowiązują. Łatwo każdy pojmuje, że i p. Ludwik nie cofnął swego słowa i że wnet w towarzystwie dwóch przyjaciół, p. Benedykt znalazł się w staroświeckim wprawdzie, ale z pańskim przepychem urządzonym domu najzacniejszego młodzieńca.

Tu nowe figury występują na scenę: panna *Wiktorja Ostankiewiczówna*, panna wyprawna nieboszczki matki p. *Ludwika* i p. *Marcin Ozdowski*, dawny szlachcic Wołyński, były pajuk i strzelec tego domu, to dwie postacie typowe, w malowaniu których Korzeniowski, co do ujmujących za serce szczegółw, niezaprzeczone dotąd trzyma pierwszeństwo. Patrjarchalne pożycie we dworze młodego obywatela, jakkolwiek nie zaleca się (jak na Wołyńskie zwłaszcza

strony) zbytecznėm prawdopodobieństwem, jednak niemniéj jest rzewne i zatrąca ową przeszłością, któréj obraz autor w tym utworze przedstawiać przedsiębierze. Stolnikowicz niedługiego też potrzebuje czasu, by się wżyć w tę prostotę, a zarazem szlachetność figur, które na taki obraz się składają. Jako wyborny towarzysz zyskuje sobie względy panów, którzy podziwiają w nim delikatność uczucia i głębokość taktu, owego wyniku doświadczeń sercowych i światowych; jako zawołany gospodarz i umiejętny gracz marjaszowy staje się ideałem panny Wiktorji; jako niezrównany myśliwy i mistrz na warcabnicy budzi głęboką cześć p. *Marcina Ozdowskiego*. W takiém kółku schodzą mu dni jedne po drugich, aż nareszcie, ulegając bezustannéj prośbie dwóch przyjaciół, wywdzięcza się dobrodziejstwom p. *Ludwika* i historją życia swojego opowiadać przyrzeka.

Tu właściwie przystępuje autor do jądra swojéj powieści. *Stolnikowicz* historją swoją cofa nas w początki drugiéj połowy zeszłego wieku i poznajamia na wstępie z szanownemi postaciami swych rodziców. Pan *Stolnik Wołyński*, to szlachcic starego autoramentu, który kocha żonę i syna, a oboje trzyma w rygorze, który ma namiętność do koni, ale nie jest z owych dzisiejszych koniarzy jarmarcznych, co to kręcą się pomiędzy Berdyczewem, Łęczną, a Łowiczem i dla których wywieść w pole fryca współobywatela największą wydaje się roskoszą. P. Stolnik miał poważanie i w powiecie i w województwie, a wychowanie jakie dał swemu synowi dążyło do tego, by i jemu drogi ten skarb przekazać w puściźnie. Matka p. Benedykta z równém zamiłowaniem przez autora nakreślona; poważna jéj tkliwość i słodycz wraz ujmują cię za serce. Cały ustęp o wewnętrznėm urządzeniu domu państwa Stolnikowstwa, o znaczeniu sług

i roli, jaka każdemu z nich była wydzielona, o pajukach i hajdukach, w dzisiejszéj już organizacji towarzystwa zaginionych, należy do najbardziéj zajmujących w téj powieści. W dalszym ciągu swego opowiadania p. Benedykt opisuje powrót do rodzicielskiego domu, który w niejednym szczególe tchnie tém samém życiem, co przewiewa do nas z nieporównanych przygód Jmci P. Winnickiego. W czasie tego powrotu, spotkanie i przygoda z JW. Podczaszym Kijowskim staje się zawiązkiem dalszéj intrygi. Poznajemy wkrótce bliżéj i p. Podczaszankę, która dziwnie jakoś p. Stolnikowiczowi do serca przypada. A za owych dobrych czasów, miłość młodzieńcza, to nie dzisiejsza była pustota, bo (jak mówił P. Benedykt), kiedy jaka białogłowa wpadła w oko, kiedy zaszła w serce tak, że bez niéj ani snu ani pokoju, to wtedy innéj nie było myśli jak ta, że to będzie dozgonna towarzyszka życia, która się chętnie i święcie wszystkiém dobrém i złém podzieli. Ztąd żaden nie kochał się na wiatr, byle się bałamucić, jak to się dziś praktykuje; żaden nie nabijał sobie głowy taką miłością, o któréj wiedział dobrze, że ani potwierdzenia rodziców nie znajdzie, ani przy ołtarzu i na kobiercu, bez którego nikt nie pojmował zaspokojenia serdecznych ogni, skończyć się nie może; dla tego to żaden szlachcic nie piął się do wojewodzianki, jeśli był jéj ojca dworzaninem, ale umiłował jaką pannę z rezydentek wojewodziny, albo czekał, aż mu ojciec jaką równą mu szlachciankę wskaże; żadna kasztelanka nie zawróciła sobie głowy dworzaninem swojego ojca, choć był przystojnym, edukowanym, ale czekała aż zjawi się taki, któremu chętnie pan ojciec ją odda i skłonności jéj serca pobłogosławi. — To téż niebawem zawiązał się serdeczny stosunek pomiędzy Stolnikowiczem i Podczaszanką, a zdawało

się, że i matki obojga dość chętném na to patrzyły okiem. Festyn u Podczaszego, którego opis obfituje w najrozmaitsze a wszystkie z życia ówczesnego wyjęte postacie, bardziéj jeszcze młodą parę zbliżył do siebie, choć tu poznajemy i p. Łowczyca, widocznego współzawodnika, na paryzkim świecie wypolerowanego i wszystkich zalet światowych skończonego kawalera. Ale przyjazne słówko Podczaszanki nadzieją przepełnia serce Benedykta, tak iż czując potrzebę ustalenia sobie przyszłości, z radością przyjmuje myśl wstąpienia do dworu JW. *Stępkowskiego*, Wojewody Kijowskiego, znakomitego w owe czasy magnata, o którym powszechnie wiedziano, że młodzież na jego usługach bawiącą niezawodnie do usług rzeczypospolitéj wypromować potrafi. Odwozi tedy Stolnik syna swojego do p. Wojewody, ale w drodze jeszcze obdarza nas autor znakomitym epizodem o kontraktach dubieńskich, których opis pełen ciekawych szczegółów o Księciu Ponińskim i o p. Procie Potockim, zresztą może niezbyt wyraziście barwą swego czasu jest nacechowany. W czasie tych to kontraktów objawia się poraz piérwszy wspomnienie o innéj jeszcze namiętności Stolnikowicza, którą widok złota na zielonych stolikach go przejmuje. Wjazd i przyjazd do p. Wojewody, on sam i cały dwór jego, całe to magnackie otoczenie, owa butność przepychu częstokroć z wschodnim graniczącego, wszystkie te szczegóły, z któremi poniekąd Jmci P. Soplica już nas oswoił, zapełniają ostatnie rozdziały obrazu. Snać autor zamierzył tylko przeprowadzić bohatera swojego przez takie fazy życia, któreby nas obeznały z rozmaitemi w owym czasie stosunkami rozmaitych szczebli szlachty względem siebie i drugich.

Nagle bowiem, ukazawszy tylko w perspektywie pobyt w Lublinie wraz z dworem Wojewody, który to pobyt prze-

ważnie wpłynąć miał na jego losy, znika Stolnikowicz z domu młodych przyjaciół, w tym samym żebraczym stroju i z tą samą sękatą pałką, z którą go po raz pierwszy nasz autor ujrzał śpiącego nad brzegami Kamionki.

Wprawdzie dziękujemy P. Korzeniowskiemu i za to, czém nas w tym Stolnikowiczu Wołyńskim obdarzył, chociaż wyznajemy, że téj pieśni o Aldonie nie tak łatwo tu się kto domyśli, aby ją czuły słuchacz w swéj piersi do końca mógł dośpiewać. Wszystkie tu szczegóły prześliczne, wycieniowane artystycznie, wykończone; ależ właśnie dla tego samego nie pozostają w żadnéj proporcji do całości, bo ta całość, to głowa bez kadłuba. Nie przeto winujemy autora, że nas pozbawił spodziewanych wzruszeń romansowych, że ta powieść pod ręką jego przestała być powieścią. Któż wniknie w tajniki twórczego kaprysu? Kto nakaże kierunek, w jakim się myśl przewodnicząca ma objawić? ale przypuściwszy nawet, że Stolnikowicza Wołyńskiego Korzeniowski tylko przez drogi nam nałóg umyślił przezwać powieścią, że to miał być raczéj szkic do owego romansu historycznego, którego z taką żywością na wstępie się zarzeka, trudnoż nie uznać, że i tu zakrój nierównie był obszerniejszy, i że niepojęta tylko dla nas przyczyna przerwała tok opowiadania, w chwili, kiedy właśnie zdawało się, że na obszerniejsze wychodząc pole, w śmielszych także zarysach zachwyci szerszych podstaw ogólnych. Lublin, Wilno, Warszawa, ileż to cisnącego się na raz materjału dla wykształconego a sprytnego dworzanina magnackiego! ile materjału do prostowania błędnych wyobrażeń o téj najbliższéj naszéj przeszłości, a do których w części nawet jednostronne opowiadanie Stolnikowicza się przykłada. Czyliby tego materjału

13

autorowi zabrakło? wątpimy, bo słusznie powiedział *J. Bartoszewicz*, że prawdziwy poeta, powieścio-pisarz historyczny, jeśli tylko ma *tło* prawdy dziejowéj, wyobraźnią swą intuicyjnie mocen jest utworzyć szczegóły, które prawdopodobieństwem w niczém najbardziéj udowodnionym faktom nie ustąpią.

MĄŻ SZALONY.

POWIEŚĆ SPISANA PRZEZ

Zygmunta Kaczkowskiego.

(2 Tomy. Petersburg i Mohylew. Nakładem B. M. Wolfa 1855 r.).

Zygmunta Kaczkowskiego wielokrotnie nazywano powieścio-pisarzem historycznym, a pod pewnym nawet względem miano to jemu słusznie się należy. Epoka którą opisuje; obyczaj, którego częstokroć arcydokładnym jest malarzem; życie publiczne, które w całéj sile i zbutwiałości przedstawia, wszystko to przeszło już w dziedzinę historji, a odtworzone dla nas w postaciach żywotnych, wydaje się jakby udatnym minionego czasu obrazem, z którego sztukmistrz niderlandzkiéj szkoły przemawia do nas mową i głosem praojców, aż dopóki nas samych, tą naturalnością barwy zwiedzionych, myślą w ową tęsknicę ubiegłych wieków nie uniesie. W saméj rzeczy taki obraz rodzajowy, taki portret wewnętrznego pożycia, nierównie więcéj przejmuje nas złudzeniem, aniżeli uchwycony przez biegłego malarza

i w obszernych rozmiarach oddany jaki moment historyczny, taki zwłaszcza, przy którym fantazja artysty ograniczała się jedynie na grupowaniu faktów i ani znaczenia ich nie uwydatniła własnym pomysłem, ani też (jak to przecudnie w swojéj Bitwie Hunnów uchwycił Kaulbach) zimnéj relacji dziejowéj nie podniósł poetyczném jakiém podaniem do potęgi namiętności. Ale jednak nie zapomnijmy, że taki obraz rodzajowy pomimo wszystkich swoich zalet nie jest jeszcze o wiele obrazem historycznym, że niżéj stoi od niego długim szczeblem, że w takim samym pozostaje stosunku względem malarstwa historycznego, w jakim pamiętniki osób prywatnych względem saméjże historji. Właściwą bowiem cechę historyczności stanowią dopiéro *ludzie* historyczni, pojęci w swoim charakterze szczególnym, w stanowisku względem współczesnych osób i wydarzeń, w żywéj akcji, wpływającéj na ich przebieg i koleje; a jeżeli dozwolono artyście odgadywaniem pojedynczych oznak, których dzieje mu nie przekazały, uzupełnić szczegóły do ogólnego wrażenia trafnie i łudząco przyłożyć się mogące, tedy ta prawda sztuki będzie zawsze prawdopodobieństwem historji, tedy przy głębszém nawet wnikaniu nieraz poznamy, że owa ścisła logiczność twórczości w niczém od rzeczywistego faktu nie zboczyła.

Tak samo ma się rzecz z dramatem i romansem historycznym; im zaś większa zachodzi trudność w wierném odbiciu, a jednak poetyczném pojmowaniu rzeczy danych, tém i rodzaj szczytniejszy, którego wyłącznym celem uchwycenie dziejów ze stanowiska sztuki, przedstawienie ich z poglądem na sztukę, i dopatrywanie się w nich, mistrzach ludzkości, owego tajemniczego węzła, który łączy bezwzględną surowość myśli z wdziękiem piękności. Wszakże i ten

nawet dramat nie będzie historycznym, w którym jak np. *Goethe* w *Egemoncie*, poeta postać dziejową stawia w otoczeniach powszednich, a jéj znaczenia wiekowego używa tylko jakby tła, na którém grę wyobraźni w żywszych barwach uwydatnia. Jedynemi niemal przedstawicielami, nieprzesyconemi po wsze czasy wzorami tragedji i powieści historycznéj są *Shakspeare* i *Walter-Scott*; większe lub mniejsze tedy do nich zbliżanie się nietylko w naszém, ale we wszystkich prawie piśmiennictwach staje się miarą wyższego albo niższego stopnia możliwéj doskonałości. Co do nas, mało albo wcale prawie szczycić się nie możemy dążącemi za pierwszym, to jest dramatykami dziejowemi; na czele drugich powieścio-pisarzy historycznych jaśnieje *Henryk Rzewuski*, autor *Listopada. Zygmunt Kaczkowski* nie staje tu drugi w rzędzie, nie tylko dla tego, że sam bez zaprzeczenia pierwszorzędne wywalczył sobie miejsce, ale i dla tego, że całkiem inny szereg pisarzy rozpoczyna. Boć ten *Ostatni z Nieczujów*, to typ jest wprawdzie, ale zbiorowy, a raczéj uosobienie całego naszego pojęcia o zeszłowiecznéj szlachetczyźnie, — a ów wicher dziejowy, pędzący przed sobą ogromny prąd wypadków, które wpłynąć mają na przeistoczenie przedstawionéj tu społeczności, ów wicher szumi gdzieś daleko za sceną Sanockiéj ziemi i czasem tylko przez niedopatrzoną szparę wydziera się i mąci spokojność powszedniego jéj życia, drobnych namiętności.

Kiedy zatém w powieści historycznéj przemaga żywioł poglądu ogółowego, podstaw szerokich i obszernego rozmiaru, w powieściach Kaczkowskiego sama już szczupłość ramek nie pozwala na rozwinięcie idei dziejowéj i zmusza poniekąd autora do zachwytywania zajęcia z innéj strony, czysto ludzkiéj i sercowéj. Samo się przez się rozumie, że

w takim razie praca historyczna pozostać musi na drugim planie i że częstokroć tak wygląda, jak gdyby służyła tylko za folję do tém wybitniejszéj gry uczuć, do tém skuteczniejszego podniesienia raz rzewnych, raz gwałtownych poruszeń. Takim widzimy *Murdeljona*, bez zaprzeczenia najbardziéj artystycznie wykończoną opowieść Nieczujowską; takiemi *Braci ślubnych*, których również rozbioru dzisiaj nie tykamy; takim przedstawia się oczom naszym *Mąż Szalony*, ostatnie jak na teraz wspomnienie Skarbnikowicza, z którego obecnie łaskawym czytelnikom naszym sprawę zdać przedsięwzięliśmy.

A nie przeczymy, że z takim kierunkiem, jaki się dotąd dostał w udziale talentowi Kaczkowskiego, dobrze jest i jemu i nam samym, kiedy w nim jędrność historyczna równoważy uczuciową tkliwość, kiedy pamiętnikowa jakoby drobiazgowość małoznaczącym z pozoru szczegółom nadaje całą ważność nauczających faktów. Dobrze nam, kiedyśmy z trzech powyżéj wymienionych utworów lepiéj już poznali wszystkie odcienia danéj epoki, danego powiatowego życia i ruchu, aniżeliby to z najbardziéj wyczerpujących ksiąg latopisarskich, biograficznych wiadomości i notatek statystycznych dzisiaj się dało uskutecznić. Dobrze jemu, kiedy nie roszcząc dla prac swoich pretensji do tytułu romansów historycznych, w których trudności do zwalczenia niezawsze się wynagradzają równie przeważnym rezultatem, wstąpił na drogę nową wprawdzie, w licznych już próbach przed nim dotykaną, ale nigdy przed nim tak szczęśliwie od mety do mety nie przebieżoną, nigdy tak znamienitym nie uwieńczoną rezultatem. Poważny to umysł, co z taką siłą wsiąka w siebie zdobycze zasłyszanych wieści; płodna to wyobra-

źnia, co z taką trafnością ledwo dojrzalnym końcom nici dziejowéj tak artystyczne zapewnić umié powiązanie.

Owym tedy *Szalonym Mężem* jest pan *Kitajgrodzki*, Starosta Samborski, z którym nasz opowiadacz p. *Marcin Nieczuja Ślaski*, piérwszą zabiera znajomość na odpuście we wsi Łopiance, dokąd się młodém jeszcze będąc pacholem w towarzystwie swego ojca udaje. Szaleństwo zaś jego z piérwszego wejrzenia na tém tylko się zasadza, że po wiérzchu kontusza na czarnéj wstążce zawieszony na szyi miał duży krzyżyk z kości słoniowéj, który trzymał w ręku, a przy boku zamiast szabli lub karabelli, miał miecz prosty, szeroki na trzy palce, i tak długi, że podczas gdy koniec jego sięgał prawie do ziemi, to rękojeść była powyżéj pasa. Wszakże to było jeszcze dziwniejsza, że tuż za nim o jeden krok tylko szedł kozak pięknie z ukraińska ubrany, z seledcem na głowie i tak długiemi wąsami, że mu aż na piersi spadały; który mając na szerokim pasie przez plecy zawieszony teorban, szedł i grał na nim. „I tak pan szedł pomału naprzód, kozak grający za nim i obadwa nie oglądając się na nic, ni na nikogo, przeszli koło nas i zniknęli gdzieś w tłumie." Tajemniczość tego szaleństwa, które wnet z odwiedzin pp. Ślaskich w Tychowéj, własności pana Kitajgrodzkiego, jako egzaltowaną religijną pokutę za ciężkie jakieś grzechy poznajemy, wzmaga się jeszcze spotkaniem tego ostatniego z p. Michałem Strzeleckim, współdziedzicem Łopianki, który na widok jego w ciężką zapada niemoc i którego obłąkany, jakbyszatana jakiego, poczyna exorcyzmować. A że ciekawość bywa wadą nietylko starych kobiét, lecz i starych i młodych mężczyzn, przeto pp. Ślascy ojciec i syn ledwie nie umierają z ciekawości, jaki też w tém wszystkiém jest związek, i jakie wypadki to dziwne

szaleństwo poprzedziły. Namawia sobie tedy p. Skarbnik poczciwego Samojłę, owego właśnie teorbanistę kozaka, by przy sposobności nawiedził jego dworek, a obeznał go z całą tą arcysmutną zapewne historją. Jakoż wkrótce Samojło stawia się na słowie. Opowiadanie teorbanisty obejmuje drugą połowę pierwszego tomu i przeszło pierwszą połowę drugiego. A jest ona bogata w wypadki nietylko samą powieść obchodzące, ale i w inne, sięgające obszerniejszego nierównie zakresu.

Dowiadujemy się tedy, że ów Samojło, to kozaczek przez p. Kitajgrodzkiego wzięty w niewolą w czasie wyprawy na hajdamaków, których pod imieniem Rudego Sokoła jako pułkownik chorągwi husarskiéj istnym był postrachem; że szczególniéj jakiejś dostąpiwszy u niego łaski, życiem był udarowany i wkrótce najwierniejszą służbą do niego się przywiązał; że pułkownik wojownikiem głównie został z rozpaczy po ucieczce ubóstwionéj małżonki z jakimś niemieckim generałem; że przez względy JW. Mniszcha Marszałka Wielkiego Koronnego, właściciela owéj chorągwi, na Ukrainie taką sławą okrytéj, wnet mianowany Samborskim Starostą, żeni się z córką swojego ś. p. poprzednika; że ta miłość objawia się nadewszystko w niepohamowanéj zazdrości, która jak każda zbyteczna nieufność, niewinną zrazu istotę dopiéro na myśl grzechu naprowadza; że ten grzech popełniła z p. Michałem Strzelbickim, towarzyszem lat dziecinnych i kochankiem młodości, co najprzód daje powód do gniewu i śmierci dwóch ofiar, panny służebnéj *Hendzi* i żyda *Jarwana*, pierwszéj wyświeconéj z miasta, drugiego na stosie spalonego, następnie zaś nieszczęśliwego męża pokutnika o utratę rozumu przyprawia. Pani Starościna osiada w klasztorze w Staniątkach, zaś p. Kitajgrodzki

cofnąwszy się od świata opodal w zakątek Sanockiéj ziemi, czas trawi na praktykach duchownych dziwnie pomięszanych i na ciężkiéj pokucie, która całą skruchę tego skołatanego umysłu okazuje. Aż tu w lat kilka niebawem w czasie przedsiębranego przez poduszczoną szlachtę zajazdu na zamek JW. Wojewody Osolińskiego, ukazuje się ów rycerz z krzyżem kościanym na piersi, za nim kozak teorbanista, a godło Zbawiciela tak skutecznie działa na zaciętych buntowników, że zamiast wyprawy za prywatę, ślubują rzecz dobra powszechnego i przystąpienie do ogółu zawiązują. Zgoda Wojewody z JW. Małickim, kasztelanem Sanockim, głównym jego przeciwnikiem, wieńczy tę piękną scenę, ze skutków któréj o tém już tylko się dowiadujemy, że się w bitwie pod Domaradzem obaj wrogowie: Michał Strzelecki i Kitajgrodzki na jednéj schodzą stronie, że się pierwszy dostaje do niewoli, a zaś drugi wraz z wiernym kozakiem Samojłą legnie pod razami nieprzyjaciół. Traf szczęścia, który na szczęście w ścisłéj bywa przyjaźni z powieściopisarzami, wydarza, że Jmci P. Nieczuja właśnie we dwa lata późniéj znajduje się w kościele w Staniątkach, kiedy Starościna pojednawszy się z Bogiem i wieczny już rozbrat wziąwszy z światem, przystępuje do obrządku obłóczyn, kiedy tę ceremonią przerywa gwałtowne wpadnięcie wracającego z niewoli Michała, kiedy ona już żadną ni prośbą, ni groźbą od nieba odwrócić się nie daje, i kiedy on, ze straszliwym na ustach przekleństwem wybiegłszy z Bożego przybytku, w bliskości jakby gromem rażony umiera. Poetycznie kończy podanie o duchu pokutującego, który przez trzy lata mając sobie wzbronioną za siebie modlitwę, po upływie tego czasu, coraz wyżéj na swoich pacierzach unosi się nad kopcem, na jego grobie przez ręce pobożnych

usypanym, aż kiedy czas jego pokuty się wypełni i modlitwy wyrównają grzechom, nieszczęśliwy rycerz przyjęty zostanie w łono Boga, który mu winy jego zapomni i przebaczy.

Samo się przez się rozumie, żeśmy w téj treści tak pobieżnéj tylko sam wątek powieści uchwycili; o wchodzących więc doń a główne zajęcie stanowiących epizodach, o kolorycie miejscowym i historycznym, o charakterystyce figur przednich i podrzędnych tu jeszcze w krótkich wyrazach napomkniemy. Troista widownia, na któréj opowiadane powyżéj wypadki miały miejsce, troistą téż nastręczyło sposobność autorowi przedstawienia nam trzech owoczesnych, a tak od siebie odrębnych społeczności: Koliszczyzny i Siczy Zaporożskiéj, Warszawy pod Augustem III i Stanisławem Augustem, a wreszcie ziemi Sanockiéj i Sanoczan. Wprawdzie ostatni zawsze górę trzymają w zamiłowaniach, może téż i w gruntowém poznaniu, a zatém w sumienności autora, wprawdzie w świeżéj jeszcze mamy pamięci mistrzowski opis kosza w *Zaporożcu* Rzewuskiego, a porównanie to szkodzi widocznéj niedokładności kozaka teorbanisty; wprawdzie w opisie stolicy radzibyśmy coś więcéj zachwycić ze stosunków dworskich, do których zwłaszcza postać Mniszcha przystęp tak znakomicie ułatwiała, coś więcéj o tymże samym Mniszchu, który dość często występuje na scenę, a jednak zupełnie obcym dla nas pozostaje; coś więcéj o intrygach familji, które i tu i w Sanockiém odzywają się zdaleka, a jednak na tok powieści zachowują pewien wpływ bezpośredni. Może być, iż to wszystko nie dało się włożyć w usta prostego chłopa opowiadacza; ale naówczas winować będziemy błędny plan *Męża Szalonego*, który sam sobie drogę zamyka i dalsze rozwinięcie krępuje. Za to przewyborny ów na wstępie opis odpustu w Łopiance; owo sądowe mor-

dorstwo panny służebnéj i żyda, najprawdziwszy obraz ówczesnéj u nas kryminalistyki, nowy przydatek do czarnéj księgi ludzkości; wyborna owa burda przed kościołem i konfederacja w Lesku na zamek wojewody; wyśmienita postać (oprócz wielu innych, które już z dawniejszych powieści Kaczkowskiego nam znajome) p. Michała Strzeleckiego, prawdziwie rycerska i pomimo błędów prawdziwą czcią miłości przyciągająca nas do siebie. A temuż samemu Samojle, co i kochać umie i bić się i poświęcić, czyż mu brak owego to klejnotu szlachectwa, które mu p. Marszałek Mniszech chciał wyjednać i nawet Król Jegomość skłonny był udzielić, gdyby nie intryga familji stanęła na przeszkodzie? Czyż on nie piękny w téj swojéj wdzięcznéj wierności dla pana, który dwukrotnie życie mu ocalił, i któremu po samą chwilę śmierci towarzyszy z dźwiękiem teorbanu, co jedynie jeszcze wybryki szaleństwa jego łagodzi? czyż nie piękny jako kochanek wyświeconéj Handzi? jak współczujący niedoli nieszczęsnéj starościny? Zaprawdę wdzięczni jesteśmy autorowi za tę przecudną postać chłopską, chociaż to ona jest kozacką, wdzięczni témbardziéj, ile że na dobre już zaczęto formować mu zarzut z dotychczasowego jakoby rozmyślnego zaniedbywania w powieściach swoich wszelkiego życia chłopskiego. My tego zarzutu nie podzielaliśmy, boć zawsze trzymamy, że trudno nakazać piszącemu, w jaką raczéj stronę z talentem swoim powinien się skierować (idzie tylko o to, czy to w powieści będzie piękne, dobre i prawdziwe); ale jednak Samojło ucieszył nas dowodem, że i w tym kierunku możemy się kiedyś po Kaczkowskim spodziewać obrazów równie wyczerpujących i żywotnych, jak obecne szlacheckie; że i tonem niżéj nastroić umié swoją mowę i że ona tak brzmi w ustach jego, jak gdyby całkiem

mu była pospolitą i powszednią. Za to mniéj udatności postrzegamy w figurze głównéj, w samym panu Kitajgrodzkim. Charakter to w każdym razie i przed szaleństwem już mocno excentryczny, a niekoniecznie dla tego tylko nienaturalny, ale charakter sam w sobie sprzeczny, bez fanatyzmu, ba nawet z pewną ambicją, krwi łakomy, mściwy i okrutny. Nie budzi więc w nas takiego interessu, jaki autor widocznie chciał tu zjednać dla swego bohatera, a jego nieszczęście dalekie od wzniecenia litości, owszem zbyt małą na *takie* zasługi karą się wydaje. Starościna, ofiara wściekłéj jego zazdrości, także bardziéj obojętnémi nas zostawia, choć to zapewne i dlatego, że z taką rezygnacją pierwszéj *swojéj* miłości się wyrzeka, i dlatego, że z taką hipokryzją pod niepodzieloną miłość męża się poddaje, i dlatego, że z taką zbrodniczą bojaźnią patrzy na katowanych za nią dwoje istot, i wreszcie a najgłówniéj dlatego, że z tém wszystkiém bardzo po wiérzchu jest naszkicowana. Już to w ogóle wadliwa jest strona talentu Kaczkowskiego, że nie wszędzie równo wykończa, i że obok kolorów najdelikatniejszym pędzlem nałożonych, czasem zaledwie tylko grubym ołówkiem rzucone ukazują się kontury. Otóż ta starościna, ni to kobiéta energiczna, ni słaba i potulna, snać autor wahał się w stanowczém uwydatnieniu rysów, a ztąd wyrosła też postać wahająca się, przynajmniéj niewydatna. Za to w figurach podrzędniejszych, takich nawet, które tylko raz występując, gdzieś tam zostają na boku, ile prawdy, charakterystyki, ile rozmaitości! Wspomnimy już tylko o jednym księdzu Karmelicie Kalasantym, którego przemowa do pijanéj winem i swawolą tłuszczy szlacheckiéj, co do mowy i dowcipu przypomina sławne owo kapucyńskie kazanie w Schillerowskim obozie Wallensteina.

PAMIĘTNIKI LEKARZA POLAKA

Z WYPADKÓW ZA GRANICĄ DOZNANYCH;

SPISAŁ

Dr. T. Tripplin.

(Sześć tomów. Warszawa. Nakładem S. Orgelbranda 1855 r.)

Pamiętniki i opisy, wspomnienia i wrażenia podróży, to pole dotąd w literaturze naszéj bardzo mało uprawione. A jednak jest to jeden z rodzajów piśmiennych, w których głownie pożytek łączy się z zabawą, jest to poniekąd przejście od lekkich płodów wyobraźni do poważniejszéj, zawsze nauczającéj, częstokroć nawet naukowéj treści. Przed innemi narodami celują w tym rodzaju Anglicy, którzy wprawdzie ze wszystkich zapewne najwięcéj podróżują, ale których umysł praktyczny, a jednak wrażliwy na wszelką piękność przyrodzenia, na poetyczne zjawiska ludzkie i rzeczowe, najkorzystniéj usposabia do przejęcia się wpływami otoczenia, do wyciągnienia zeń możliwych rezultatów, a przecież do niewzruszonego zachowania swojéj indywidualności, do utrzymania się na stanowisku, z którego jakby koniecznie na świat zewnętrzny zwykli się zapatrywać. Francuzi przeciwnie, którzy co do pamiętników historycznych

bezwątpienia w literaturze europejskiéj najprzedniejsze zajmują miejsce, bo w wysokim stopniu obdarzeni są władzą wnikania w charaktery szczegółowych osób i uchwycenia najwybitniejszéj cechy ludzi i wypadków, w pamiętnikach podróżnych po większéj części zbyt jawnie wykazują brak zasobów naukowych, a ztąd lekkomyślną powierzchowność, częstokroć nawet naiwną łatwowierność i w ogóle pogląd żadną trwalszą podstawą nieuzasadniony. Z większém już szczęściem Niemcy sił swoich w téj gałęzi lekkiego piśmiennictwa doświadczali.

Wprawdzie w nich myśl uogólniająca tworzy pewne przesądzenie i pod jedną podciągą miarę najróżnorodniejsze zdarzenia i postacie; ale z drugiéj strony, ta systematyczna jednolitość stanowi właśnie nieraz oryginalność całego ich zapatrywania. Przy innéj może sposobności bliżéj zastanowimy się nad szczegółowém znaczeniem tych oznak różnicowych; dziś wystarczy ta wzmianka i wskazówka, bez jakiéj trudnoby nam określić znaczenie autora, o którym obecnie zdać sprawę zamierzyliśmy.

Powiedzieliśmy, że w naszym kraju, ten oddział literatury nielicznych ma przedstawicieli. Podróżują wprawdzie i przesiadują daleko za granicą nasi panowie i łaknie nowości chciwa młodzież: tysiące i krocie, ciężką pracą poczciwego chłopka zdobyte, bogacą świetne magazyny Paryża, Wiednia i Londynu; ale rzadko który z tém zwiedzaniem obcéj ziemi łączy cel poważniejszy i wznioślejszy, rzadki, co jak Ulisses, nietylko miasta i wielu mężów widział, ale poznał zarazem ich umysły! Niepomni, że najcelniejszym przedmiotem ludzkiego zastanowienia jest człowiek, ci nasi podróżni zastanawiają się zwykle nad zaletami téj lub owéj jazdy, tego lub owego handlu, z łaski prawie i dla zaspo-

kojenia wymagań pewnego punktu honoru i dobrego tonu przyglądają się tu i owdzie arcydziełom sztuki, ustawionym w galerjach i muzeach, a w najszczęśliwym razie gotowi nawet unosić się nad wdziękiem krajobrazu, którego piękność wytłómaczył usłużny cicerone. I nie dziw, bo zwykle zielony stolik absorbuje całą ich władzę umysłową, bo wybujały pod wpływem wybujałéj cywilizacji materjalizm obejmuje ich w swoje szpony i żadnego już duchowego dążenia nie dopuszcza. Dla tego zaiste tém większą jest zasługa owego szczupłego grona, co wyrywając się z krępujących więzów powszedniości, potrafiło przystąpić do oglądania obczyzny, a nie wyprzéć się swéj samoistnéj właściwości, co umiało patrzéć na tę obczyznę okiem niezaciemnioném przez materjalne jedynie zachcenia, ani przez przesadną namiętność, ani wreszcie przez bezwarunkowe pierwszym ogromnym wrażeniom uleganie. Rzecz szczególna, że u nas kobiéty najbardziéj odpowiedziały tym z pozoru łatwym, a jednak rzadko spełnionym wymaganiom; pomiędzy innemi i *Łucja Rautenstrauch*. Ich poważne umysły stanowczo przejęły się wyłącznemi cechami téj gałęzi piśmiennictwa, która czytelnikowi zapewnia współudział w doznanych przez pisarzy wrażeniach, w rozjaśnieniu się ich wiedzy, w rozszerzaniu ich pojęć, wiadomości, wyobrażeń. Doktór *Tripplin*, który po nich nastąpił, wzniósł albo raczéj przemienił tę samą gałęź w żywe i ruchliwe działanie wyobraźni, dla któréj wypadki podróży, poznane tu i owdzie figury, dalsze lub bliższe zdarzenia współczesne, stały się tylko jakby punktem oparcia, jakby naciągniętym umyślnie wątkiem, na którym dopiéro bujne swoje, a zawsze jaskrawe obrazy zwykł osnuwać. Rozgłos i popularność, jakich zrazu i w krótkim czasie przez wspomnienia

swoje dostąpił Doktór *Tripplin*, nie mogły też zadziwić nikogo. Wprawdzie u niego Francja, Anglja, Hiszpanja, Skandynawja pozostały tłem jedynie podrzędném, a rzetelne zajęcie budził dopiéro on sam, postać niezwyczajna w sobie wykończona, a jednak ciągle wywierająca się na zewnątrz i wewnętrznych chciwa dodatków; ale nigdy może to połączenie świadoméj siebie osobistości z bezwładném fatum światowém tak szczęśliwie nie było dokonane, jak właśnie przez samego Doktora *Tripplina*. Zarzucono mu nieraz to zbyteczne występywanie jego *ja* na widownię nie mającą bezpośredniego nawet z nim związku; ale zarzut ten błahy i płonny, tém samém już na żaden wzgląd nie zasługuje, że Doktór *Tripplin* dopiéro przez śmiałe na niego narażenie się podbił dla siebie z jednéj strony rzeczywistość wspomnienia, z drugiéj twórczość wyobraźni. Wreszcie, wiedziony wewnętrzną koniecznością dokładniejszego oznaczania stanowiska, w jakiém względem prac swoich zostaje, osobiste ułożył pamiętniki, i te przedstawił swoim czytelnikom, jako usprawiedliwienie poniekąd dzieł dawniejszych, miejscami jako ich dopełnienie, a zarazem jako charakterystykę czasu i dążności, z których powstał i na które dziś oddziaływać usiłuje.

Rzeczone tedy *Pamiętniki* uważamy raczéj za dalszy ciąg *Wspomnień z podróży*, aniżeli za prawdziwe i samoistne *Pamiętniki Lekarza*, sądzimy bowiem, że w podobnego rodzaju dziełach dopiéro długoletnia lekarska praktyka autora, i to na jedném ciągle miejscu, i to najkorzystniéj w kraju własnym, obudzić może rzetelną ważność i zajęcie. W saméj rzeczy rozliczny stosunek lékarza względem swych pacjentów, ich rodzin i całego otoczenia, stosunek spowiednika i powiernika, pocieszyciela i przyjaciela, dopiéro przez

długi ciąg wspólnego pożycia i ztąd nabyte nietylko w nauce, ale i w sercu jego zaufanie, do zupełnego dojść może rozwiązania. W każdym innym razie stosunek ten pozostanie zimny, konwencjonalny i zewnętrzny. Niekoniecznie nawet na to potrzeba, iżby lekarz spisujący swoje pamiętniki, był pierwszorzędną znakomitością w sztuce, owszem sądzimy, że taka znakomitość szkodzi raczéj serdecznemu i spokojnemu przejmowaniu się dobrém klienteli; ale chcielibyśmy ujrzéć Doktora *Tripplina* układającego je kiedyś pod schyłek owego mozolnego zawodu, którego pierwszéj zaledwie dotarł dziś połowy, i od którego jeszcze rozliczna praca literacka bezustannie go odrywa. Chcielibyśmy, by to był istotnie zbiór doświadczeń, nie pod względem medycznym wprawdzie, ale pod względem społecznym i rodzinnym, a doświadczeń nie urojonych, lecz prawdopodobnych i prawdziwych.

Natomiast Doktór *Tripplin* obdarzył nas szeregiem wspomnień do jego życia odnoszących się i urozmaicił go licznemi epizodami, dającemi wprawdzie po części korzystne wyobrażenie o jego powieściopisarskim talencie, bardziéj jeszcze o żywości fantazji, ale nie odznaczonemi ową cechą sumiennéj prawdy, która jedynie podobnemu utworowi nadać mogłaby znaczenie więcéj niżeli literackie, bo społeczne i sercowe. A wyznajemy, że dowcip tak bystry, umysł tak przenikliwy, uczucie tak rozwinięte, jakie w pismach doktora *Tripplina*, dotąd już poznaliśmy, dziwnie pięknie dałyby się zastosować do związku z publicznością, zachodzącego przy praktyce lekarskiéj; dziwnie nauczająca musiałaby być ta charakterystyka osób i stosunków, z któremiby on, jako lekarz, w prawdziwém i bezpośredniém był zetknięciu. Nie przeto mówimy, iżbyśmy obecne pamiętniki, jakkolwiek

naszemu oczekiwaniu o wewnętrznéj ich ważności, bynajmniéj nieodpowiednie, z mniejszą od innych dzieł doktora *Tripplina* przyjemnością powitali. Kto bowiem w tych sześciu tematach potrafi odróżnić prawdę od zmyślenia, ten chętnie wybaczy autorowi zbyt liczne może dywagacje, przez sam wzgląd na wierność i naturalność opowiadań, w których istotne życie się maluje.

Do takich zaliczymy w pierwszym zaraz tomie wspomnienia Uniwersytetu Królewieckiego, szczęśliwie uchwycony obraz tego oryginalnego pożycia niemieckiéj akademickiéj młodzi, w którém rzekłbyś, że naród germański zatopił całą ruchliwość swéj natury, i z którego wyszedłszy, oburącz chwyta za odwieczną tradycję pedantyzmu.

Wprawdzie doktór *Tripplin* w Królewcu najwięcéj przestawał z rodakami, z których kilka znanych nam dobrze figur w pamięci naszéj odświéża; ale i ci wnet przejmują się urokiem zapału, którego każda wszechnica niemiecka najwybitniejszém jest siedliskiem.

Możebyśmy radzi nawet co więcéj usłyszeli o szczegółowéj organizacji uniwersytetu, o jego stosunkach z miastem i z krajem, o jego znaczeniu w rzeczypospolitéj nauk, do którego głównie przyczynili się ludzie nie lada jacy, bo *Kant*, *Herbart* i *Rosenkrantz*. Natomiast chętnie bylibyśmy się wyrzekli długiéj historji o hrabiach Dohna, albo jakiejś wendetty na wyspach podobno Ballearskich. Te bowiem historje, tak jak wszystkie inne w ciągu dzieła tego licznie zamieszczone, w bezustannéj nas zostawiają wątpliwości, czyli to one wynalezione dla nadania większéj wartości praktyce lekarskiéj autora, czyli też ów stosunek lekarski jest zmyślony, by zyskać sposobność przytoczenia jakiego mniéj więcéj prawdziwego wypadku lub opisu. W piérwszym

atoli razie podziwialibyśmy (łagodnie mówiąc) lekką niedyskretność autora, który imiona powszechnie znane, poważne nawet w nauce albo w państwie, przyczepia do jakichś awanturniczych faktów, albo co najwięcéj z ostatecznego jakiego wydarzenia wysnuwa cały szereg poprzedzających zdarzeń, któreby mogły doprowadzić do podobnego rezultatu. Dość tu wspomnieć o awanturach znakomitego malarza *Hübnera*, zawartych w tomie drugim, lub téż doktora *Rejchenbacha*, w tomie piątym tych Pamiętników. W drugim zaś razie, to jest jeżeli w tych legendach istotna się odbija rzeczywistość, a sam autor tylko przyczepił je do siebie, by ich zajęciem urozmaicić i przedłużyć swoje dzieło, témbardziéj tracą na prawdopodobieństwie, skoro po większéj części wydarzają się nie w własnych jego oczach, skoro cofnąć się musi w przeszłość, lub téż kilkoma laty nieznaną przyszłość wyprzedzić.

Pobyt w krajach Skandynawskich bardziéj jeszcze nacechowany jest ową zwyczajnością wrażeń, do doznania których niekoniecznie potrzeba być lekarzem, i które tém samém najdokładniéj dowodzą, że dla zastąpienia brakującego materjału Pamiętników, autor objął to przepomniane dawniej szczegóły, z któremi już to osobiście się obeznał, lub téż które z danych mniéj więcéj dokładnych źródeł wyczerpywał. Szczegóły te po większéj części są ciekawe, choć nienowe; ale u nas znajomość rzeczy obcych zwykła się dotąd raczéj zwracać ku zachodowi i południu, kiedy bliższa nas północ, z którą niegdyś nawet tak ściśle łączyły nas stosunki, pozostała dla nas krajem prawie nieznanym. Wdzięczniśmy tedy za te rozmaite górujące nad innemi postacie z literatury, sztuki i nauki Skandynawskiéj, które tu doktór *Tripplin* na scenę wyprowadza.



Pobyt w Anglji więcéj znowu obfituje w opisy lekarskiéj działalności, choć nie własnéj autora, tedy przynajmniéj znajomych mu doktorów *Costelta*, *Kratza* i innych, a opisy te muszą być prawdziwe, bo przynajmniéj wybornie wyobrażają niski szczebel, na którym w Anglji rzemiosło medyczne raz na zawsze się usadowiło.

Obfitość i urywkowa różnorodność treści tych Pamiętników tak jest wielka, że napróżno usiłowalibyśmy dokładny jéj obraz przedstawić naszym czytelnikom. Ograniczamy się więc na tym ogólnym przebiegu, jakiśmy dotąd tu podali, a wrócimy raczéj jeszcze do niektórych szczegółów, do wydatniéjszych zwłaszcza figur, któremi to niezaprzeczenie zajmujące dzieło od początku do końca widzimy przeplatane. Bez wątpienia najpierwszą, bo najwydatniejszą z tych figur jest sam autor, aleśmy o nim zdanie nasze pokrótce już wyrzekli. Wymienimy tu więc jeszcze professorów: *Sachsa i Dietza*, *Anglika Perceval*, starą babkę baronową *Horn*, duńskiego poetę *Oehlenschlagera*, *Sweedenborgistę Oberstaufen*, a pomijamy tych wszystkich, choć w właściwości swojéj niemniéj zajmujących, z którymi nas doktór *Tripplin* tylko w żywém opowiadaniu osób trzecich obznajmia. Wszystkie te postacie w naturalnym toku oddane są malowniczo i wyraźnie, rzadko kiedy jedna strona charakteru zatarta, kiedy owszem jaskrawość światła, zbyteczna czasem szczerość, szkodzi poniekąd urokowi niejednéj tajemnicy, która póty tylko nas wabi, dopóki ona w całości nie jest wypowiedzianą i zdradzoną. Wielka to jest sztuka, w samą porę powstrzymać się. Gdyby autor tę sztukę posiadał, czyż byłby naprzykład pojawieniem owego bożka z maszyny, Naboba indyjskiego, do podłego kłamstwa poniżył anioła stróża rodziny *Rejchenbach?* Sądzimy także że

doktór *Tripplin* w uznaniu słuszności tego naszego postrzeżenia, że zbytek dobrego najszkodliwszą jest przesadą, wkrótce znakomityl swój talent albo nowym podsyci zasobem wrażeń, albo zwróci go do innych rodzajów literackich, jakto już w swoim Zygmuncie w Hiszpanji uczynić usiłował. Wyczerpuje się bowiem zapas ograniczonéj liczby, choćby najobfitszych doświadczeń, a gdy się wyczerpie do dna, z konieczności powtarza i starzeje; ani tu nawet najbardziéj twórcza wyobraźnia, ani najbogatsze w treści pomocnicze książki, żywego życia i naocznego poglądu nie zastąpią.

WDOWIEC.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

PRZEZ

JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

(Drukowana w odcinku Gazety Warszawskiéj od Nru 304 r. z. do Nru 34 r. b. włącznie).

Znowu o jednéj z celniejszych tegoczesnych powieści wspomniéć nam przychodzi, zanim się ona w oddzielnéj szacie na świat pojawiła. Druk *Wdowca*, rozpoczęty w Gazecie Warszawskiéj, w d. 18 Listopada r. z., ukończony został z dniem 6 Lutego r. b. i przez ten blisko trzymiesięczny przeciąg czasu, licznych owego pisma czytelników w bezustanném a miłém utrzymywał zawieszeniu. Skoro zaś raz na zawsze już stracona dla nas nadzieja, iżbyśmy tak wadliwy sposób publikacji, jakim jest ogłaszanie w gazetach dzieł kilkotomowych, z dziennikarstwa naszego wyrugować potrafili, sądzimy z drugiéj strony, że obowiązek sprawozdawcy raczéj te przed innemi prace do ręki podawać nam powinien, które za pomocą prassy perjodycznéj nierównie większego dostąpiły rozgłosu, o których tedy w publiczności nierównie większa krąży ilość zdań najróżnorodniejszych, między sobą sprzecznych, a zwykle na jednę lub drugą stronę nieoględnie przesadzonych. To bowiem pewna jest, że

przy żadnym innym trybie ogłoszenia, płód sztuki z taką szybkością nie zdoła wcisnąć się w tak gęstą massę, że przy żadnym tak bezustannie i z tak rozmaitych stron nie przedstawia się pamięci czytelników.

Rozliczne więc sądy towarzyszyły Wdowcowi w czasie jego wychodzenia; wynaleść im zasadę tam, gdzie były oparte na słuszności, — prostować je, gdzie zbaczały z właściwego i beznamiętnego toru, — wreszcie własném wiedzeni przekonaniem wypowiedzieć je wręcz i bez innego żadnego względu, wyjąwszy tylko wzgląd prawdy, oto dzisiejsze nasze założenie. Niepodobna nam jednak przystąpić do spełnienia go, nie potrąciwszy poprzednio o dwie bieżące kwestje, które w bezpośrednim zostają związku z rozebrać się mającą przez nas powieścią. Pierwszą z nich, jest to zarzut powieściopisarstwu w ogólności uczyniony przez współprzodkującego w naszym kraju téj gałęzi piśmiennictwa *J. I. Kraszewskiego*.

W liście do redakcji Gazety Warszawskiéj (Nr. 269 i 9, r. z.), głęboko-myślny ten autor ciska rękawicę literaturze powieściowéj, utrzymując, że chorować zaczyna na tik nerwowy, powtarzający się w jeden sposób i o jednéj godzinie, że wszystkie nowo-pojawiające się powieści, to bliźnięta, w dwóch czy trzech sukienkach ukazujące się coraz na scenie, że żadna z nich ani o włos nie różni się od tysiąca pięciuset powieści i powiastek, których obfitość zagraża nam potopem, że w tak zużytéj i spowszedniałéj formie nietrudno już o talent, że na palcach znamy reguły tego rodzaju, ale że wreszcie czytający niedługo zaspakajać się będą temi ładniutkiemi bodaj, a do nieskończoności powtarzającemi się obrazkami, choćby je świeższy nieco barwił koloryt. „Potrzeba nam więc, mówi daléj Kraszewski, myśli roz-

winiętej dobrze, jasno i dobitnie, potrzeba stylu, poezji, potrzeba we wzorach wyboru, potrzeba zastukać do piersi własnéj i z niéj wydobyć coś świeżego, coś, czegoby jeszcze ucho nasze nie słyszało, a usta nie wyrzekły." A w inném miejscu: „nie umiem powiedzieć coby zrobić potrzeba, żeby ten rodzaj już zużywający się odrodzić, odświeżyć i o krok daléj posunąć; bo gdybym wiedział co zrobić, sam bym to pewnie uczynił, ale czuję, że reforma nieuchronna."—W obronie powieściopisarstwa a zarazem *pro domo sua*, z podwójną na ten zarzut odpowiedzią, wystąpił wówczas *J. Korzeniowski*, z wierszem zamieszczonym w Nr. 271 Gaz. Warsz. r. z., a nieco późniéj z samymże *Wdowcem*. W wierszu odpiera zarzut, jakoby kształt dzisiejszych powieści nosił już na sobie piętno przestarzenia:

„Chcecie formę odmienną w nowéj dać budowie?
Nudzicie się, jak wysehłe przesytem panięta?
To nowe jest nie w formie, lecz w sercu i w głowie;
Każda forma jest dobra, gdy życiem natchnięta.
Sprzykrzyła się wam szlachta, sprzykrzyli panowie,
Wszakże ludźmi są kmiotki, grafy i książęta,
Obyczaj, stan, to wernix, co obraz powleka:
Pod frakiem i siermięgą malujmy człowieka!"

W ostatnim liście do téjże Gazety (Nr. 60, r. b.) *Kraszewski* podnosząc spór, sprowadza go na bliższą jeszcze i widoczniejszą arenę. Na jedno niemal kopyto, mówi, odlane są wszystkie powieści nasze: są to warjacje z jednego tematu, niekiedy z talentem pomyślane, odgrywane prześlicznie, ale warjacje w końcu męczą i nudzą; na Boga! trzebaby się przynajmniéj o swój własny temat postarać. Potrzeba być nowym, nawet napisawszy *Kollokację* i *Tadeusza Bezimiennego*, a tém bardziéj gdy się ich nie napisało. Dru-

ga *Kollokcçja*, drugi *Tadeusz* muszą być już słabszę, a cudze odbitki tych pierwotworów będą „wyglądać jak kompozycje sławnych malarzy, litografowane na chustkach od nosa.” Dalecy jesteśmy od pretensji, iżbyśmy jakiekolwiek stanowcze słowo wyrzec mogli tam, gdzie dwom koryfeuszom spodobało się z wysokości tworzenia zstąpić na pole teorji; ale sądzimy, że kwestja zbyt jest ogólną i żywotną, byśmy ją bezkarnie w naszych obrazach ruchu literackiego pominąć mogli zupełném milczeniem. Wielu już, i rozmaicie rozprawiało o znaczeniu dzisiejszéj powieści; co do nas, dosyć często powtarzać nie możemy, że widzimy w niéj tylko dalszy ciąg, że tak powiemy następcę bezpowrotnie już dla nas zaginionéj epopei. Liryzmowi w każdéj literaturze bardzo niskie, bo bieżące tylko i przemijające gotowi jesteśmy naznaczyć stanowisko, a zaś erę właściwego jéj narodzenia i wstąpienia w szereg zjawisk pomnikowych, skłonni jesteśmy datować dopiéro od owych olbrzymów-epików, których każde żywotne piśmiennictwo jako świętych patronów swoich przynajmniéj po jednym albo dwóch przechowuje. Wprawdzie szczytem tych piśmiennictw zawsze być musi dramat, owo zjednanie myśli z czynem, alež różne są drogi, któremi duch ludzkości do jednakowych dąży rezultatów. U starożytnych przejście z epopei do dramy uznamionowane było historyografią; u niektórych nowszych przeskok ten był jeszcze bezpośredniejszy; w tym zaś wieku, przetwarzającym raczéj niż twórczącym, próżne dotąd były zabiegi o wydobycie pierwotwornego dramatu, a po części nawet podobne kuszenia się podejmowane są na szkodę ogólnéj myśli i postępu. Gdzież nam myśléć o działaniu, skoro piersi nasze ściśnięte ciężarem egoizmu, skoro myśl przyciemniona mgłą chciwości, a uczucie do poświęceń nie-

zdolne? Gdzież nam dramat, skoro czysta ludzka natura, owo jądro chrystjanizmu, wyżéj ust jest pogrążona w kale materji, a z niego otrząśnięta utraciłaby razem przyrośniętą doń epidermę i ciepłéj krwi pełne włókna, i pozostałaby tylko obrzydłym nagością swą szkieletem? Zanimbyśmy takie postacie w nowoczesnéj oglądać mieli dramie, postacie duchowo umarłe, a galwanicznym tylko ożywione prądem, wolelibyśmy raczéj zarzucić kir żałobny na piśmiennicze dążenia, wolelibyśmy, by głos poetów umilkł dla nas na zawsze. Dobrze więc, że powieść współczesna wzięła na się rolę przeprowadzenia sztuki przez to strome bezdroże, które od narodowéj mety oddziela, bo nas samych obrazując, może przyczyni się do głębszego samopoznania, które jak wiadomo, jedyném jest źródłem wszelkiéj poprawy i postępu. Tak jest, a jesteśmy pewni, że mówiąc to, zyskamy przytwierdzenie samego szlachetnego autora. Takim powieściom jak: *Kollokacja*, jak *Garbaty*, jak *Interessa familijne* i *Powieść bez Tytułu* dzisiejszemu rodzajowi dobrze pojętemu, przypisujemy wysokie cele oczyszczające i moralne. Byleby cele te na chwilę z oka nie były spuszczane, byleby do nich pisarz umiał zastosować grę wyobraźni i prawdę kolorytu, byleby przytém obudzone artystyczném obrobieniem przedmiotu zajęcie podtrzymywało ów rodzaj w zamiłowaniu publiczności, po cóż nam troszczyć się o nowy, którego przed czasem, niezmienną koleją przeznaczeń nakazanym, żadne pojedyncze usiłowania na jaw nie wydobędą? Literatura, to nie odosobniona w sobie nauka, to nie przemysł, gdzieby dosyć być obdarzonym pewnym zmysłem kombinacji, dość zażądać wynalazku, dosyć czasem przypadkowego tylko naprowadzenia i wskazania, a wynalazek już gotowy, który przewrót zdziałać może w całéj dziedzi-

nie wyobrażeń. Literatura wyradza się z saméj siebie, albo raczéj z przebiegu dziejów, któremu bez przerwy towarzyszy. Skoro ów czas się spełni, nowy rodzaj ukaże się bez niczyjego przyczynienia, a ukaże się tém świetniejszy, ile że niewymuszony, nie gwałtem sprowadzony i naciągnięty.

Czyli tym nowym rodzajem znowu będzie dramat, czyli genjusz ludzki zrazu w inną a nieznaną dotąd koléj przeskoczy, któż to zechce przepowiedziéć? Jak na teraz ustanawiamy fakt, że znakomici nasi myśliciele i kapłani sztuki własnym swym wymaganiom nie czynią już zadosyć. Ale i temu faktowi nie przypisujemy zbyt wielkiéj ważności, gdyż bodaj czy nie oparty on na zbyt naturalném uczuciu obrzydzenia, które w każdéj wyższości sprawia widok niedołężnych karłów, skrzętnie uwijających się około nieprzejrzanego dla nich piedestału, nadymających się własną nicością, a jednak liczebną siłą massy mogących nieraz nadwerężyć boską równowagę pierwotwornego pomnika. Owo *pecus imitatorum,* jak ich nazywa już *Horacy*, oto wrogi naszego powieściowego piśmiennictwa, ależ zaprawdę, oni nie warci, by się dla nich zniechęcać mieli niezrównani mistrze. Gładko się czyta ten lub ów romans i powiastka, widoczny w nich i talencik, widoczna pewna wprawa, czasem i myśl poczciwa albo niepoczciwa przyszyta do jakiegoś dosyć ożywionego obrazku, a jednak któż z nas... (boć tu *nomina odiosa)* przyrówna do *Chaty za wsią*, do *Tadeusza*, do *Listopada*, do *Murdelia?* Powiedzieliśmy raczéj, że te wszystkie tuzinkowe powieści bez planu służyć owszem mogą za wielobarwną folię, przy któréj blask kilku wybrańców tém świetniéj się wydaje.

Piszcie tedy powieści, starzy i młodzi, mistrze i uczniowie! Piszcie, nie troszcząc się, czy pisać wypadnie jutro,

skoro dziś piszące spełniacie wasze przeznaczenie! Być może, że kiedyś pod własném waszém piórem rozmiary dzieł waszych zolbrzymieją w nieskończoność, że te ramy współczesnych charakterów lub wydarzeń przeszłości zbyt szczupłemi będą na pomieszczenie myśli, która przyszłości aż dosięgnie, że nowy świat formy odkryje się waszemu oku, i że uchwycicie go silną dłonią i podbijecie pod wyłączne swoje władztwo! a znowu bezrozumna tłuszcza naśladowców rzuci się w wasze ślady, i znowu szukać będzie taniego natchnienia w wyziewach waszéj atmosfery, i znów rozpaczać będziecie, żeście samych siebie przeżyli, żeście daleko gdzieś zostali za dążeniami swéj epoki! A tym czasem świat daléj posuwać się będzie na niewzruszonych posadach i literatura, ów mikrokosm, ani dla przedwczesnéj jeremjady swego biegu nie przyspieszy, ani siłą bezwładności kilkunastu podobnych między sobą niedowiarków powstrzymać nie dozwoli.

Druga kwestja, o któréj na wstępie wspomnieliśmy, ściąga się już tylko wprost do powieścio-pisarzy i jest zarzutem bardziéj osobistym; niemniéj jednak sądzimy obowiązkiem naszym podjąć ten zarzut i wykazać tu całą jego płonność. Wielokrotnie bowiem obwiniano naszych autorów, że figury do powieści swoich zbyt nieoględnie żywcem chwytają z rzeczywistości, że każdą postać odwzorkowaną malują z przerażającém podobieństwem, ba że nawet zdarzenia do zakresu tych utworów wchodzące wzięte są wprost z życia dalszych lub bliższych osób, tak iż każdy w te charaktery lub zdarzenia wtajemniczony, pozna je jakby miał na dłoni. Zarzut ten ostatnio szczególnie spotykał *Włóczęga*, *J. Korzeniowskiego*. Samo tło opisanego tam wypadku, figury główne, a bardziéj jeszcze niektóre podrzędne, nawet

miejscowość, nawet nazwiska, wszystko to chciano przyczepić do jakichś znanych i prawdziwych miejsc, imion, figur i wypadków. Nie wiemy, jakie pod tym względem są wyobrażenia autora, ale nam się zdaje, że w każdym razie zarzut ten przemawia na jego raczéj korzyść niż szkodę. Jeżeli bowiem wodze puszczając fantazji, w dobréj chwili tworzenia wspomniał rozliczne owe typy i rozliczniejsze jeszcze ich odcienie, na które w życiu codziennem napotykał, i którym przyglądał się nie z zimną obojętnością światowego bywalca, ale z badawczym wzrokiem głębokiego postrzegacza, czyż to nie tryumf sztuki, skoro w tych typach upiększonych urokiem poezji taka pozostała naturalność prawdy, taka prawda natury, że wyobraźnia znika obok rzeczywistości, że zda się czerpała w ciepłym zdroju życia ludzkiego?

O pojedyncze drażliwości, o drobnostkowe zapatrywanie nie pytaj się; płaska powszedniość zawsze lubi do swojéj prozaicznéj skali przykładać wszystko co piękne i niezwykłe. Z drugiéj strony nawet nie wiemy, czyli za przestępstwo godzi się poczytać, jeżeli pisarz tu i owdzie uchwyci jaką odznaczającą się, czy w śmieszności czy w zdrożności osobistość, jeżeli ją na swój sposób odleje, czasem i skarykaturuje, aby tylko dokładniejsze wskazanie nie uwieczniło wzorów tym sposobem przejętych. A nawet tak uwiecznione wzory miałyby zasługę brzydkiego pająka, który w przezroczystym bursztynie się uchował. Któż nie wié, że ten sam zarzut, jaki dziś naszym robią powieściopisarzom, czyniono również *Fenelowi*, autorowi *Telémaka*? a nie wspomnimy już nawet o charakterach *La Bruyèra*, w których każda figura to portret, każdy ruch to kopja, każdy wyraz to powtórzenie. Ileż to różnych pod ówczas po-

twarzy i zawiści, ile było w grze namiętności, ile obaw i zemsty! Jednakże *Fenelon* i *La Bruyère* przetrwali dwa stulecia, a o ich detraktorach, o tych wszystkich, którzy w ich typach siebie poznawali, dziś już zaledwie ze słychu nam wiadomo. Da Bóg, podobnież się stanie i z dzisiéjszemi naszemi wzorkami. Przeminą i pogrążą się w przepaść zapomnienia, prototypy Iglickich i Ciemięgów, Szambelanowych i Sroczyńskich, ale podówczas ich obrazy będą już ciekawym materjałem dla badacza dziejów życia społecznego, a trudno zaprzeczyć, że podobne figury i tę mają własność wspólną z udolnemi odległéj przeszłości portretami, iż kto na nie spojrzy, zrazu poweźmie przekonanie, że wzory do nich istniéć musiały w naturze i że nadzwyczajnym tylko talentem w takiém do przemówienia podobieństwie zostały utrafione.

Po takiéj dygressji, która jak na wstęp do zwykłéj pracy rozbiorczéj, zapewne wyda się nieco przydługą, przystępujemy do treści *Wdowca*, téj drugiéj części odpowiedzi, którą *Korzeniowski* niesłuszność zarzutu *Kraszewskiego* wykazać usiłował.

Nad wszystko drogą zdawała się pamięć pierwszéj żony p. *Tomaszowi Łuniewickiemu*. Święcił ją życiem, święcił wspomnieniem, a najbardziéj święcił ją miłością dla jedynaczki swéj *Bronisi*, która ku pociesze serca ojcowskiego pod czujném jego okiem wzrastała. Piękny ten obraz pożycia *Wdowca* w stanie jego wdowieństwa, obznajmia nas z trzema postaciami: starym plebanem X. *Studzińskim*, Ciotką *Bronisi*, panią *Mikoszewską* i jéj synem *Michasiem*. Może to i leżało w zamiarach autora, ale pomimo całéj szanowności pana *Tomasza*, szacunek u nas budzi tylko póty, dopóki w saméj rzeczy jest wdowcem. Odkąd zaś odurzony powa-

bem, oszołomiony kłamanemi cnotami Hieronimy, jako nową panią do domu swojego ją wprowadza, na zbyt utartą wstępuje koléj onych mężów, którzy drugim żonom powierzają losy pierwszych dzieci, i którzy słabością charakteru zbyt leniwy stawiać umieją opór zimnym wyrachowaniem przebiegłéj kobiéty. Temat to wprawdzie obfity i na rozmaite strony łatwo wyginać się dający; to téż niezbyt licznemi organicznemi odmianami, traktował go już poprzednio *Korzeniowski* w *Drugié Żonie.* Z dniem wejścia *Hieronimy* do domu pana *Łuniewickiego*, zaczyna się dalekowidząca, głęboko pomyślana intryga, któréj celem jest wyrugowanie *Bronisi* z serca ojca, a późniéj jeszcze, gdy przybywają własne dzieci macosze, z jego domu i majątku. Z innéj jeszcze strony poznajemy całą potwórność téj powabnéj grzesznicy. W mistrzowskim epizodzie, opisującym życie aktorskie na prowincji, widzimy *Edmunda*, duszę ognistą, przez niegodną *Hieronimę* z pierwotnéj czystości do brudnego kału strąconą, a jednak o własnéj sile wyrywającą się z przepaści.

Tego Edmunda naprowadza pani *Tomaszowa Bronisi*, poetce równie jak on, żyjącéj przeczuciem, ową bronią kobiety, przeczuwającéj niegodziwość matki pomimo całéj hypokryzji, któréj wszyscy inni głęboko uwierzyli. Lgnie więc do kochającéj duszy młodzieńca, a któż był wówczas szczęśliwszy od *Hieronimy*, któréj najśmielsze zamiary tym sposobem uwieńczone zostały? Przedstawić ojcu, że córka jego obrała sobie niegodny przedmiot miłości, że przestróg rodzicielskich nie słucha, było to rozerwać do reszty wyziębione już poprzednio stosunki, było to zmusić córkę do poszukiwania sobie schronienia za progiem rodzicielskiego domu. Wszystkie życzenia *Hieronimy* spełniają się: ojciec odpycha zobojętniałą na pozór córkę, ta ostatnia wstępuje do zacisza

domu Bożego, i w praktykach duchownych szuka pocieszenia. Ale Nemezys, przybrana w maskę starej Szambelanowej, złośliwej weredyki, z którą także nie po raz pierwszy w Korzeniowskiego powieściach się witamy, i która, jeśli nas pamięć nie zawodzi, w *Tadeuszu Bezimiennym* zwała się panią *Pokrzywnicką*,—otóż ta Szammbelanowa, upatrująca zadanie życia swego w zdzieraniu zasłony z każdej kłamanej cnoty, od dawna już doszła tajemnicy zbrodniczego stosunku, spełnionego czy zamierzonego pomiędzy panią *Tomaszową* a hrabią *Franciszkiem*, magnatem pustego serca i głowy, któremu siły współdziaławczéj na bieg powieści dodaje godzien pogardy satellitą, pan *Cypryan Sroczyński*. W stosowną porę zdradzona mężowi tajemnica, w stosowniejszéj jeszcze porze obłudną żonę i matkę w zasłużoną śmierć przyprawia. Ale trzy serca na zawsze już były złamane: pan *Tomasz Łuniewicki*, który, jak mówi autor, „sam sobie przyrządziwszy kielich goryczy, naturalnym rzeczy porządkiem, skoro pić zaczął, pić musiał póty, póki go nie wychylił do dna,"—*Bronisia*, której opis obłóczyn ostatnią tworzy scenę w tym obrazie, i poczciwy *Michaś*, którego miłość dla ciotecznéj siostry gorąca i szczera, na szczęśliwsze zasługiwała uwieńczenie, aniżeli niém było poruczenie mu duchownéj assystencji przy onym świętym obrzędzie. Treść tego romansu, jak widzimy, nie grzeszy zbyt gwałtownem nastrzępieniem faktów ani zawikłaną intrygą; jest ona zwyczajna i prosta, taka, jaką w życiu codziennem częstokroć niestety! napotkać się wydarza. Boć w tém powszedniém życiu, ile dusz ukrywa się głęboko ranionych, ile trawionych żarem serca własnego? O! gdyby się komubądź udało zedrzeć wprost ową zasłonę, jaka spoczywa nad wewnętrznemi tajniami ludzkości, czyliżby najognistsza wyobraźnia nie bladła przy

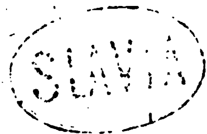
tych drgających ciepłém życiem bólach, jakie się pod najpogodniejszém nieraz czołem, pod najsłodszym z pozoru uśmiechem przechowują! Nie przeto więc winujemy powieść, o któréj tu mówimy, że w naturalnych obraca się granicach, że pozbawioną jest owéj wysokiéj tragiki, co tak łatwo w napuszoną wyradza się deklamację; owszem, brak ten równie *Wdowcowi*, jak innym tego autora utworom za nader ważną poczytujemy zaletę. Ale obok naturalności w wypadkach, potrzebną jest inna jeszcze naturalność w zarysach figur i ich charakterystyce. Pojedynczym szczegółom w tych postaciach nie ujmujemy wprawdzie, że napiętnowane są cechą odwiecznéj i żywotnéj prawdy; ale złączenia tych szczegółów, ale summy ich nie zostają w rzeczywistéj naturze ludzkiéj, bo zostawać nie powinny i nie mogą. Przedewszystkiém upominamy się za Hieronimą. Wprawdzie być może, iż autor chcąc tém zgubniejszém wystawić dla mężczyzny powtórzenie związków małżeńskich, skoro po pierwszéj żonie zostały córki sieroty, potrzebował drugą żonę wystawić w tak jaskrawych kolorach, w świetle ohydniejszém. Być może, iż tego potrzebował, chociaż nam się wydaje, ze skuteczniéj, a przynajmniéj tańszym kosztem dopinał swego celu, jeżeli owszem nieszczęścia całéj rodziny zależnemi czynił od drugiéj żony, najmożliwiéj nawet szlachetnéj i cnotliwéj; ależ w każdym razie owa potwora nie człowiek, jaką tu poznajemy w pani Tomaszowéj: kobiéta młoda i krew gorąca, umiejąca żar swój tłumić pod pozorami lodowéj oziębłości, osoba nienawidząca i gardząca, te najgłębsze w kobiétach uczucia tuląca pod kłamaną miłością, kobiéta która wszystkiém pomiata, nawet i matką, któréj cnocie swém małpowaniem jakoby urągała, czyż to nie posuniona do zbyt wysokiéj po-

tęgi allegorja? Nie za wieleż to zachodu na tak małe rezultaty? W nas przynajmniéj postać Hieronimy nie tyle wzbudziła oburzenia, co niesmaku. Niezupełnie to samo powiemy, ale jednak niedostatecznem uznajemy prawdopodobieństwo w drugiéj głównéj postaci, w panu Łuniewickim.

W saméj rzeczy, mężów zawojowanych przewielu jest na świecie i pod tym téż względem nic obrazowi pana Tomasza nie mamy do zarzucenia. Ale jeżeli w tym stosunku górującéj nad mężem żony, zniknąć może w piérwszym powaga mężczyzny, czyliż zaprze się kiedy uczucia kochającego i czułego ojca, jakim go w czarującym początkowym okresie téj powieści poznajemy? Albo nie należało nam odmalować w tak cudnych kolorach rozkosznéj zażyłości w rodzinie Wdowca, albo téż trudno było spodziéwać się, że czytelnik na wiarę przyjmie tak niezgodny z istotą serca ludzkiego przewrót, jakim jest poświęcenie dla własnego spokoju ukochanéj całą duszą dzieciny. Są to wszakże w naszém rozumieniu usterki nie tyle układu ile wykonania, bo wykonanie widocznie porywało tu swym zapałem poetę i jaskrawa ognistość farby tu i owdzie zmieniała artystyczniejsze pierwotne założenie. Za to, równie w szczegółach tych dwóch celniejszych figur, jako też w innych, licznie przed naszemi oczyma przewijających się postaciach, jakże sowicie chwilowe to niezadowolenie się opłaca! Któż z nas nie znał i nie uwielbiał choć zdaleka podobnéj *Broniśi*, owéj w każdym zakątku serca tak wybornéj i konsekwentnéj kobiécości, któréj dusza, jakkolwiek w przeciwnościach się hartuje, jednak z pojednaniem korzy się i bez szemrania przyjmuje na się brzemię niedoli. Któż z nas nie znał i nie kochał podobnie świątobliwego kapłana, jakim tu przedstawia się czcigodny X. *Studziński?* Jakże ujmuje za serce za-

cny *Michaś*, zdrowy rozum i serce zdrowe, uczucie im cichsze na pozór, tém głębsze i ognistsze! Albo ów *Edmund*, i cały ten perjod jego życia pomiędzy aktorami, o którym już wspominaliśmy, jakże wybornie odszkicowany i z jaką siłą odnawia w pamięci naszéj podobną, a jednak tak odrębnie oryginalną scenę *Wilhelma Mejstra* Goethego? Daléj całe towarzystwo Warszawskie, z jak delikatnym zmysłem spostrzegawczym uchwycone! Toż w każdéj najpodrzędniejszéj figurze widno, że mistrz studjował z życia, i że studjując przewidywał, jaki mu z téj pracy wypadnie uczynić użytek. Szambelanowa naprzykład, czyż to nie istnie ta sama, z którą i wczoraj może rozmawialiśmy. Sroczyński, ten sam Sroczyński, którego jutro możę zobaczymy? A w podobnych, jak te dwa ostatnie charakterach, i przesada nie stoi na zawadzie, bo do efektu się przyczynia i myśl, jaka w ich malowaniu autorowi przewodniczyła, dokładniéj uwydatnia.

Dobrze zdaniem naszém wypełnia swoje powołanie powieścio-pisarz, który nie zapuszczając się w roztrząsanie socjalnych teorji, dążności politycznych, stosunki ludzi do ludzi za główny przedmiot swych malowideł obiera. Nieprzebrane to źródło, z którego tu czerpać może póty, dopóki w jednostajném przerabianiu nie ustanie się owa burzliwa powierzchnia, nie złożą do spokojnego składu żywioły, które nią tak gwałtownie przerzucają. Pracy téj wystarczy na więcéj jeszcze niż na jedno życie ludzkie, a jeżeli się kiedykolwiek wyczerpnie, naówczas literaturze i sztuce może inna już przeznaczona będzie missja, niż ta, którą dziś w niéj uznajemy: sprowadzania błędnéj ludzkości drogą piękna do dziedziny prawdy, która ze wszystkich jest najszczytniejszém pięknem, jak nateraz, niestety! dla nas jeszcze niedoścignioném.



COKOLWIEK O PIŚMIENNICTWIE PERJODYCZNÉM,

I O NASZÉM KSIĘGARSTWIE W OGÓLNOŚCI;

W SZCZEGÓLNOŚCI O WARSZAWSKICH CZASOPISMACH I O BIBLIOTECE WARSZAWSKIÉJ.

Prassa perjodyczna jest sercem literatury, a jako w tym głównym ciała ludzkiego organie, wszystkie żyły się schodzą, wszystkie arterje początek mają i koniec, tak téż i w piśmiennictwie czasowém wszystkie żywioły życia publicznego wyobrażone są ile można najdokładniéj, wszystkie zjawiska literackie przedstawione. Jeżeli tak zawsze nie jest, tedy przynajmniéj być powinno; a wina ztąd nie tyle spada na sam rodzaj publikacji, ile raczéj na obrabiających go, po części nawet na publiczność czytającą. To przynajmniéj pewna, że w najbłędniejszém nawet zastosowaniu, przy najfałszywszém pojęciu, prassie perjodycznéj niezmiennie towarzyszy ów urok, którego literatura książkowa przy największym nawet rozgłosie nigdy nie dostąpi. Urok ten, oparty na głęboko wkorzenionym w naturze ludzkiéj pociągu do nowości, chciwego tych rzeczy nowych czytelnika zawsze radziéj zwraca ku utworom piętnem efemerycznem nazna-

czonym, chóciażby w rzeczy bynajmniéj owéj cechy czasowéj na sobie nie wykazywały, aniżeli do płodów tchu dłuższego, którym w samym zaraz zarodzie trwałość niekoniecznie chwilowa zda się być przeznaczoną. Bo, że już pominiemy przedmioty zajęcia wprost obecnéj chwili i wiadomości z dziedziny polityki i postępu ludzkiego w sztuce i nauce, każda inna nawet praca piśmiennicza, bądź to powieść, bądź badanie dziejowe, bądź filozoficzne, bądź wreszcie językowe, zawarta w szpaltach czasopisma, pewną może zawsze być poznania, czasem nawet uznania, gdy przeciwnie, w publikacji oddzielnéj jedno lub kilkotomowéj, pleśniałaby na półkach księgarni, albo w tece autora.

Jako więc z jednéj strony szczerze i całą duszą współczujemy z życiem literatury perjodycznéj, jako w niéj upatrujemy ciepłodawcze ognisko, którego promienie do wszystkich zakątków ogólnego piśmienniczego gospodarstwa przenikają, tak z drugiéj strony niepodobna nam nie uznać wysokiéj anormalności w zbytniéj przewadze téj jednéj gałęzi piśmiennictwa, która kosztem drugich do niesłychanego u nas wzrosła rozmiaru. Mówimy: u nas, bo stosunkowo stan ów anormalny w żadnéj innéj literaturze do tyla się jeszcze nie powtarza. Nasze czasopisma pochłaniają siły żywotne wszystkich znakomitych i nieznakomitych pisarzy, są więc nietylko wiernym obrazem ruchu, ale są samymże ruchem i postępem. Powiadamy to ogólnie i myśli naszéj nie zwracamy do żadnego przed innemi czasowego wydawnictwa; ale niechże nam kto zaprzeczy, że przy uporném trzymaniu się raz poczętéj drogi, bliżéj jesteśmy zupełnego wyrugowania wszelkich wydań książkowych, które przecięż jedynie w oczach potomności wyobrażać będą stanowisko dzisiejszéj epoki i ludzi, którzy ją zapełniali? Biorąc rzeczy najmate-

rjalniéj, ileż to kompletnych zbiorów czasopismów przechowanych zostanie późniejszéj pamięci? ile raczéj zdrowych pomysłów, świetnych kombinacji, pięknych treścią i formą zapatrywań nie rozpryśnie się o tę nieubłaganą skałę jednodniowego istnienia i nie powlecze się na zawsze zapomnienia falą? Czyliż wreszcie więcéj drobiazgowym, albo mniéj prawdziwym jest zarzut, że jeżeli to piśmiennictwo czasowe stanie się kiedyś materjałem, będzie to materjał dla arcywielu niedostępny, a bardziéj jeszcze trudny do wydobycia z pośród ogromu przedmiotów niepotrzebnych i w żadnéj z nim nie zostających styczności.

W inném już miejscu, podobno z okazji drukowanéj w odcinkach gazetowych *Powieści bez Tytułu*, wynurzyliśmy zdanie o tém, czém według nas kolumny pism czasowych przedewszystkiém zapełniać się powinny. Missja ich wielka i szlachetna, a tém większa i tém szlachetniejsza, im szczerzéj w zaparciu siebie saméj, zostanie tylko wskazówką, niejako summarjuszem wszystkich zajęć umysłowych współczesności. Łaskawych czytelników odsyłamy więc do owego rozwinięcia jedynego odpowiedniego programu czasopisma, a wspomnimy tu raczéj o powodach, co ową hypertrofię tyle ważnéj, a na długo już u nas skrzywionéj gałęzi wywołały. Otóż głównym według nas, jeżeli nie jedynym powodem, jest wadliwa organizacja naszego handlu księgarskiego.

Trudno zaiste, iżby nasza literatura w całéj świeżości swéj zakwitła, dopóki jéj dźwignia najsilniejsza tak daleko zostanie w tyle za wymaganiami teraźniejszéj chwili; — księgarstwo, które niezaprzeczenie jest kupiectwem, jednak z jedną tylko gałęzią tego rodzaju przemysłu da się porównywać. Księgarz jest kupcem, tak samo jak kupcem jest ap-

tekarz; to jest: *towar za tańszą cenę nabyty, przedawać usiłuje za cenę droższą i w tém widoki zysku swojęgo upatruje*. Ale na tém też kończyć się powinna spekulacja obudwu przemysłowców. Zdrowie ciała i zdrowie duszy zbyt kosztownym są darem niebios, iżby stać się mogły przedmiotem pojedynczych chciwości, albo ważyć na szali ciężarem podłéj tylko mamony. Księgarz, któryby przedmioty handlu swojego albo wzłym tylko wystawiał materjale, albo wygórowaną ceną nieprzystępnemi je uczynił dla większéj publiczności, równie byłby nagannym jak aptekarz, coby korzystając z wyłącznie służącego mu przywileju, korę dębową sprzedawał zamiast chiny, lub rumianek na wagę złota żądał mieć opłaconym. Cóż dopiéro, jeżeli winą fałszywéj kombinacji, kupiec, — księgarz większéj korzyści nad zwykłą ztąd nie odniesie, jeżeli bogaci się nią tylko pośredniczący handlarz, figura podrzędna, lub całkiem niepotrzebna, i jeżeli traci tylko publiczność, traci zawsze i wszędzie, albo zupełnie się zniechęci i od wszelkich już, choćby najzacowniejszych przedsięwzięć ze wstrętem się odwraca.

Zwyczajem w księgarstwie naszém uświęconym, księgarze z dzieł nakładowych ustępować sobie zwykli rabat pięćdziesiąty, czyli pięćdziesiąt procent od ceny przez nich za sklepową nałożonéj.

Wniosek ztąd prosty, że połowa téj ceny wystarcza na najśmielsze nawet wymagania księgarza, i że drugą połowę przeznacza na wyłączną korzyść współprzedającego z nim kolegi. Wszakże ta korzyść nawet jest prostém tylko złudzeniem, bo ów kolega, równie jak piérwszy nakładca swoje dzieła nakładowe z tymże samym pięćdziesiątym rabatem jemu znów odstępować jest zmuszony. I tak naprzykład: księgarz A. nabywa od księgarza B. dzieło, ce-

ną rubli sześciu nałożone, za rubli srebrem trzy, lecz natomiast wkłada nań obowiązek nabycia od niego dwóch egzemplarzy własnéj nakładowéj książki, które razem także za cenę sześciu rubli sprzedają się, a za które również tylko trzy ruble srebrem mu zapłaci. Zysk księgarzy A. i B. jest więc czysto-illuzoryjnym, a rzeczywistą jest tylko strata publiczności, która za książkę wartującą trzy ruble, zapłaci sześć, za wartującą złotych dziesięć da dwadzieścia. Wyrodził się bowiem ztąd systemat tak zwanych zamian i nader rzadki to wypadek, iżby jeden nakładca drugiemu cobądź dopłacał gotowizną, kiedy owszem przymusza go, iżby za taką samą summę, jaką on drugiemu jest dłużny, ten ostatni nabywał od niego odpowiednią ilość własnych jego książek nakładowych.

Jakiż jest piérwszy i najszkodliwszy wypadek tego systematu? Oto solidarność pomiędzy księgarzami, którzy przez to poniekąd stają się współnakładcami jednego i tegoż samego dzieła. Ponieważ każdy w cenie swego nakładu odebrał tylko nakład obcy, przeto bez względu na własne przekonanie o jego pożyteczności lub płochości, starać się musi o spieniężenie, gdyż tym tylko sposobem zwróci sobie kapitał wyłożony, oraz zyski, jakie z pierwotnego swego nakładu osiągnąć raz zamierzył. Wiadomo, że księgarstwo sortymentowe jest u nas wyłącznie w rękach antykwarzy; oni więc tylko jedni korzystają ze służącego im prawa nabycia książek za pół ceny, a sprzedania ich za całkowitą. A przypuszczaliśmy w powyższym wywodzie, że choć ta połowa ceny sumiennie obliczona, że zgodna jest z kosztem nakładu i z uczciwym zyskiem, jakiego godziwie domagać się powinien.

Tymczasem rzecz ma się inaczéj. Drobny tomik w dwu-

nastoe lub szesnastce, złożony z kilkunastu arkuszy tłustego druku, z marginesami o dwa kwadraty szerszemi od miejsca czcionkami zajętego, a to jeszcze tomik powieści najpopularniejszych, więc i najpokupniejszych pisarzy, kosztuje co najmniéj ośm do dziesięciu złotych; przynosi więc nakładcy cztery do pięciu, a zatém dwa razy tyle, ile według cen zagranicznych taka książka kosztować by powinna. Pomyśléćże sobie teraz jeszcze, że publiczność tę cenę opłaca w czwórnasób i że żadne ztąd na nią beneficjum ani spływa, ani spłynąć nie jest przeznaczone.

W żadnym zapewne kraju handel księgarski tak organicznie nie jest rozwinięty, ile w Niemczech. Głównie do tego przyczynia się jeden punkt środkowy, Lipsk, w którym się cała żywotność téj ważnéj gałęzi przemysłowéj skupia; ale oprócz tego inne jeszcze są warunki, co się do owego rozwoju szczęśliwie i równemi siłami przyłożyły. Do tych warunków przedewszystkiém zaliczymy ustanowienie jednéj trzeciéj rabatu księgarskiego, czyli procentu trzydziestu trzech i jednéj trzeciéj. W Niemczech, równie jak we Francji i w Anglji upowszechnione oddawanie się księgarzy jednéj wyłącznéj specjalności, niepodobny czyni zarazem systemat zamiany, a z odstąpionego na korzyść współksięgarza rabatu w większéj połowie, bo zwykle w dwudziestu od sta, korzysta jeszcze publiczność, każdy prywatny stale w jednéj księgarni w małą czy wielką ilość książek się opatrujący. Otóż doświadczenie dowiodło, że pomimo znacznie niższych cen stosunkowych, obok wartości wewnętrznéj dzieł ogólnie znacznie większéj, zysk tamecznych księgarzy nieledwie w trójnasób przechodzi zyski naszych bibliopolów. W obec takiego doświadczenia płonnym wyda się zarzut, jakoby massa publiczności czytającéj, o tyle była

znaczniejszą tam niż tutaj; boć i massa wychodzących książek w tymże samym stosunku jest obfitsza, i samych księgarni ilość stosunkowo bez porównania liczniejsza. Prawda, że ci panowie jednę jeszcze znamienitą posiadają zaletę, któréj naszym księgarzom po większéj części nie dostaje.

Bez wątpienia złe wyobrażenie mielibyśmy o drwalu, o kramarzu korzennym, o winiarzu, z którychby piérwszy nie znał wszystkich dobrych i złych przymiotów różnego gatunku drzewa, jego miąższości i ciepłodajności; drugi nie potrafił ocenić dobroci produktów natury lub przemysłu, któremi się w handlu swym zaprząta; trzeci z koloru, ze smaku i z bukietu nie umiał oznaczyć roku, gatunku i czystości ożywczego swego towaru. Księgarz tylko uważa za rzecz mniéj potrzebną dokładną znajomość przedmiotu swego handlu. Jaka taka umiejętność prowadzenia ksiąg kupieckich, może nieco bibliograficznych wiadomości, w których zresztą katalog zwykle gra rolę główną, a już księgarz ze wszystkiém gotowy, któremu jednak nigdy na dobrém o sobie rozumieniu nie zabraknie, bo w ocenianiu trafiających się nakładów polega na instynkcie, na wziętości jakiéj książki za granicą, skoro własnéj opinji wyrobić sobie nie jest w stanie. Wolałby raczéj przepaść, aniżeli się poradzić *Człowieka fachowego, człowieka nauki, literata;* nikt zdaniem jego, tak dobrze jak on nie poznał gustu publiczności; choć przekonanie o tym guście oparte nieraz na żądaniach jakiéj pokojówki, która wchodząc do jego czytelni, tego raczéj a nie innego tytułu, tego a nie innego autora się domaga. Owóż w Niemczech, we Francji i w Anglji księgarzami bywają mężowie wysokiego ukształcenia, z sądem o rzeczach, a zatém i o książkach dowodnie wyrobionym, zarazem ludzie

skromni, którzy ślepemu instynktowi losów własnych i całéj literatury nie powierzą; którzy stosunek ze swemi autorami zawiązują i zachowują ścisły i serdeczny, ale za to przy każdéj sposobności wierną znajdują w nich pomoc i poradę. Być może, że upowszechnienie u nas podobnych mężów, na długi czas jeszcze do rzędu pobożnych życzeń zaliczyć nam wypadnie; dziś, gdy zaledwie jeden czy dwóch w podobnym rodzaju księgarzy u nas się pojawiło, już przynajmniéj powziąść mogliśmy przekonanie, że rola nie jest tak niewdzięczną, iżby się w niéj dobre ziarno nie przyjęło i z lichwą bujnego nie wydało kłosu. Bądź jak bądź, owéj to tylko wadliwéj organizacji księgarstwa, bardziéj aniżeli własnym zachceniom, przypisać powinniśmy zbyteczne wdzieranie się u nas pism perjodycznych w dziedzinę handlu księgarskiego. W odcinkach Gazety to szukamy kilko-tomowych powieści, które wyłącznym prawie są dzisiaj objawem twórczości literackiéj; — w odcinkach Gazety poetyckich gawęd, w odcinkach historycznego badania, ba nawet grammatycznych rozstrząsań. Że się piszący ze swojéj strony najbardziéj ku takiemu rodzajowi publikacji skłania, nic w tém zapewne dziwnego, skoro i rozgłosu przezeń najsilniejszego dostępuje, i dopiéro przez wywołane skutkiem tych publikacji współzawodnictwo, jakim takim rezultatem ujrzy swój talent i trudy uwieńczone. Że umiłowała podobne wydawnictwa publiczność, również zadziwić nas nie winno, bo za kwartalną np. cenę jednego rubla kopiejek ośmdziesiąt, obok innych rozlicznych wiadomości politycznych i literackich, otrzymuje jeszcze też same trzy tomy powieści, za które w oddzielnym przedruku, częstokroć (zwłaszcza w Wileńskich edycjach) nieestetycznie wykonanym, przynajmniéj trzy ruble zapłacić jest zmuszona. Ale że redaktorowie pism perjody-

cznych w należytém ocenieniu dobra piśmiennictwa nie starają się czytelników swoich na prawdziwszą sprowadzić drogę, że nieraz ckliwemi obrazami współczesności, które do miana powieści prawo sobie roszczą, sprawiają przesyt i niesmak w niezbyt wybrednéj nawet publiczności, że wreszcie zaniedbują tę sposobność rozwijania i kształcenia, jaką Opatrzność w ręce ich włożyła, i że raczéj nie używają jéj na rozpowszechnienie wiedzy o wiedzy we wszystkich jéj kierunkach, że wpływając tą drogą na wrażliwe umysły czytelników, nie oswoją ich z obowiązkiem uczestniczenia we wszystkich objawach ludzkiéj umysłowości, gdziekolwiek one się ukażą, zamiast w ciasném kółku własnéj chwalby poruszać się, oto, co nas nietylko w słuszne wprawia zadziwienie, ale o rzetelny nawet smutek przyprawia.

Otóż wiemy, że dobry ptak własnego swojego gniazda kalać nie powinien, ale godzi się zrzucić z siebie wszelką szkodliwszą nad nieudolność pychę i na cztery oczy, tak, żeby nikt obcy nie zasłyszał, wypowiedzieć sobie prawdę, suchą, gorzką, kolącą: bo ta prawda, to może ziarnko gorczyczne, które w tysiącoro wejdzie na godzinie Sądu Boskiego, bo to może jedyne ocalenie z więzów własnego zadowolenia, które nas niedościgłém zrządzeniem czy dopuszczeniem Opatrzności w ostatnich kilku latach jakby nie swoich opętało. Jesteśmy tak przeświadczeni o swojéj, już nie mówimy równości, ale o istotnéj wyższości nawet nad umysłowością innych narodów europejskich, że nie masz np. dziś u nas wyrażenia wzgardliwszego nad te słowa: czyta romanse francuzkie! kocha się w tragedjach niemieckich! bawią go keepsaki angielskie! Przebóg! cóż im przeciwstawicie, onym książkom francuzkim, niemieckim i angielskim? parę powieści *Kraszewskiego*, parę komedji *Korzeniowskiego*,

parę pamiątek *Rzewuskiego*, i zawsze to tylko *Korzeniowski*, *Rzewuski i Kraszewski!* A jeśli rękę na sercu położymy, czyż nie wyznamy zawstydzeni, że podobnych nawet tym trzem pisarzom i nie wielu innym jeszcze, z rzędu większych i wybrańszych, w literaturach obcych napotkamy niemal w każdym katalogu; ale takich jak *Walterskott i Bulwer*, jak *Grabbe*, *Immermann i Gutzkow*, jak *Wiktor Hugo*, *Sue* i *Dumas*, czyż napotkacie u nas aby jednego? Nie chcielibyśmy tu dotknąć nikogo, a najmniéj owych pisarzy, których znakomitością my zarówno ze wszystkiemi chlubimy się; ale jeżeli na tém polegać ma miłość narodowości, albo jak bądź inaczéj nazwać to zechcecie, tedy wyznajemy, że niepilno nam o zaszczyt z takiéj miłości pochodzący. Znać siebie samego, oto piérwsza powinność pod względem moralnym chrześcianina, pod względem intellektualnym oświeconego człowieka. Trudnoż nam nie wiedziéć, że historja, ta matka wszystkich nauk, u nas jeszcze w kolébce, że się może nawet i nie narodziła; że w naukach ścisłych bieżącego stulecia żadnym prawie przyczynkiem nie przyłożyliśmy się do świetnych jego rezultatów; że nowsza poezja, ów okrzyczany romantyzm, tak samo jak dawniejszy klassycyzm, w naszéj literaturze z arcymałemi wyjątkami obraca się jedynie w błędném kole mniéj więcéj szczęśliwych naśladowań. Trudnoż bo nie powiedziéć, że badania językowe, do których bezwątpienia Słowianin przed wieloma innymi przez naturę tak hojnie jest usposobiony, u nas nie sięgają nigdy po za najbliższy zakres działania praktycznego, a i tam nawet nigdy za wierzchnią jedynie skorupę. Bo pomijając już, że z pomiędzy np. orjentalistów jeden tylko *Skorochod Majewski* na trwalsze u nas zasłużył wspomnienie, czyż aby jednego posiadamy gruntownego badacza wszystkich w ogó-

le narzeczy słowiańskich, takiego, coby każde z nich po szczególe zgłębiwszy, porównywał je i w stopniowym rozwoju i w ostatecznem już usadowieniu? Czyż aby jednę mamy logiczną, zdrowo pomyślaną i dowodnie wykonaną grammatykę choć własnéj naszéj mowy? Wszakże jesteśmy przekonani, że ani dziwolągów umysłowych *Feliksa Żochowskiego*, ani zbawczych marzeń *Radwańskiego*, nikt za takową nie poczyta.

A jednak prassa to perjodyczna, która najbardziéj publiczność naszą w tém upodobaniu siebie saméj utwierdza, schlebia miłości własnéj, schlebia namiętnościom, a powié nie jeden, że z tém jéj dobrze i do twarzy. Wszakże ktoby czytał niewinnego *Kurjera*, a nie znał dokładnie Warszawy i całego kraju, ten przysiągłby, że z latarką dniem i nocą szukając od domu, do domu nie znajdzie pomiędzy naszemi kobiétami ani jednéj, już nie mówimy brzydkiéj, ale żadnéj nawet ładnéj, bo wszystkie nibyto piękne i śliczne. Otóż tak samo w innych czasopismach rzecz ma się z całą publicznością. W korrespondencjach z Mińska i z Kijowa, z Włocławka i z Zasławia ukazują się przed oczyma naszemi owi wielcy ludzie powiatowi, których karłowate częstokroć postacie jakby w świetle latarni czarnoksięzkiéj do olbrzymich umieją wzrastać rozmiarów; będzie to raz niezrozumiany przez niewdzięczną Europę muzyczny kompozytor albo koncercista, raz genialny autor niedrukowanych towarów poetyckich, raz pseudo-humorystyka piérwszego lepszego sąsiada Pawła czy Jakóba, będzie to zawsze nic, ale czytająca massa przywykłszy do tego, że jéj podają nic zamiast czegoś, do drobnych rzeczy uczy się wielką przykładać skalę i cieszy niebaczna, że i ją stać na tyle znakomitych indywiduów, któremi aż długie szpalty całych Gazet obficie dają się za-

pełnić. Wprawdzie treści ztąd nie wyciśnie żadnéj, wprawdzie ogólna oświata nic na tém nie zyszcze, ale zyskają nawet nasi koryfeusze, których prace obok tych ramot bywają umieszczone, boć to, powié świat, nie każdemu być takim lub owakim.

Gdyby raz nareszcie nasze pisma Warszawskie przejąć się mogły przekonaniem, że przy owém lichém urządzeniu czynności księgarskiéj, na nich główny ciąży obowiązek obznajmiania nas z ruchem nietylko spółecznym, ale i literackim i artystycznym i naukowym całego rodu ludzkiego, że one zastąpić nam winny i obfite księgozbiory i zwichnięte w samym zarodzie książkowe wydawnictwa, że więc niknąć powinna jednostka piszącego, tam gdzie całość publikacji na jedności myśli zarazem się zasadza. Natomiast nasze pisma, zaledwie nieco z letargu zbudzone, już na dobre powtórnie zasypiają, a przynajmniéj zakołysują się w owym zachwycie własnych wielkości, których nawet pozorem wprawnego oka nie ułudzą.

Z pomiędzy dziennych pism Warszawskich, tak pod względem ustalonéj już wziętości, jakotéż zasadnéj dążności wyczerpywania wszystkich w kraju naszym żywotnych zasobów literackich, bez wątpienia *Gazeta Warszawska* piérwsze miejsce trzyma. Przyznajemy nawet, że pod pewnym względem nie rozminął się z prawdą felietonista *Czasu*, który w artykule zkądinąd na *Gazetę Codzienną* niesłusznie napastniczym, w ten sposób specjalności trzech głównych tutejszego miasta efemerycznych wyobrazicieli określił, że *Gazecie Warszawskiéj* przyznał prym w belletrystyce, *Dziennikowi* w naukowości, *Gazecie Codziennéj*, w sztukach pięknych i w archeologji. *Gazeta Warszawska* ścisłemi stosunkami związana ze wszystkiemi prawie pisarzami, których imię

pewnego dostąpiło już rozgłosu, i pracom ich zawsze szpalty swoje stawiająca otworem, wprawdzie zwykle każdym numerem obudzić potrafi zajęcie publiczności, ale zarazem koniecznem następstwem wyzuć się musiała z niezłomności własnego sądu, bo ci pisarze rozgłośni to *genus irritabile*, lada zmiana, lada przypisek ich obruszy, drukować więc trzeba to i owo, czém ich łaska obdarzyć skazanych na najrozmaitsze nieraz strawy czytelników. Ztąd téż częstokroć się wydarza, że redakcja *Gazety Warszawskiéj*, zrazu bez własnego zamiaru, przez współpracowników swoich stawianą bywa w położeniu fałszywém, z którego późniéj wybrnąć już prawie niepodobna, w które zatém grząść musi coraz głębiéj. Takim przynajmniéj widzimy naprzykład powód polemiki z *Czasem*, która bez żadnéj dla prenumeratorów korzyści w obudwu pismach niemałe już zajmowała kolumny, a któréj nabawił *Gazetę Warszawską*, nie własny bezwątpienia popęd, ale zmarły niedawno *Hilary Męciszewski*, którego żółć i zła wiara literacka w Warszawie tak samo jak w Krakowie stała się była przysłowiową, którego tedy zapewne dobrze znały Redakcje, tak *Czasu* jak *Gazety*, chociaż obudwóch (wyrażenie *Czasu*) płatnym był współpracownikiem. Miejmy nadzieję, że z życiem głównego motora ukończą się także te gorszące spory, które na każdy wypadek zaszkodzić tylko mogą dobréj a wspólnéj sprawie piśmienniczéj.

Oprócz działu powieściowego, który, jak to już wspomnieliśmy, najobficiéj w *Gazecie Warszawskiéj* jest reprezentowany, liczne w niéj znachodzą się rozbiory dzieł nowszych, co na pozór ważną tego pisma stanowićby powinno zasługę, zaś w saméj rzeczy odbiera mu właśnie całą energię odrębnego charakteru. Rozbiory literackie w piśmie perjodyczném są, lub przynajmniéj wydają się, jeżeli nie

wprost wynikiem sądu samějże Redakcji, tedy przynajmniéj zdaniem jéj pośrednio wyrażoném; a zatém koniecznie wyrażoném albo przez organ jednego tylko sprawozdawcy, albo kilku umysłowo solidarnie pomiędzy sobą połączonych. Tymczasem w Gazecie, o któréj mówimy, sądy o jednéj i téj saméj książce lub téż przy jakiéjbądź sposobności o jednę i tę samą kwestję tykające, albo w ustach pp. *Karola Witta* i *Antoniego Nowosielskiego*, urzędownie uznanych recenzentów Gazety, dáléj w ustach *J. I. Kraszewskiego*, *Wł. Syrokomli*, *Ad. Pługa*, *Tad. Padalicy* i wielu innych, jako krytyków korrespondentów, brzmią sobie tak dyametralnie przeciwnie, że biedny czytelnik błąka się pomiędzy dwiema lub trzema ostatecznościami, podobny do rozbitka, którego, gdy przybić chciałby do jednego brzegu, gwałtowne prądy w przeciwną stronę porywają. Wprawdzie sprzeczność opinji, ścieranie się zdań, to życie i postęp idei w piśmiennictwie; ależ każda opinja, każde zdanie mieć powinny zasadę gruntownie wyrobioną, punkt oparcia niewzruszony, co przy rozliczności piór krytycznych w jednym i tym samym organie nigdy się uskutecznić nie da.

I tak pan *Witte*, którego wysłowienie nader sympatyczne i jasne, wychodzi wprost tylko ze stanowiska zdrowego rozsądku, pomimo braku trwalszéj podstawy najczęściéj trafia w właściwie jądro rzeczy; p. *Nowosielski*, którego wewnętrzna prze potrzeba by na każdym kroku okadzał nas wonią swojéj erudycji, który naprzykład chcąc mówić o *Tomirze*, rozbiera *Edypa w Kolonie*, zwykle się zachwiewa, skoro praktyczne postrzeżenia przyczepić mu wypadnie do teoretycznego wywodu. Żal nam wprawdzie, że z sądami *Kraszewskiego* w mistrzowskich jego listach do Gazety zbyt rzadko spotykamy się, ale i tu sąd ten, dla saméj już

formy w jaką bywa przyodziany, wyczerpującym być nie może. *Władysław Syrokomla*, zarazem poeta i historyk literatury, bezwątpienia mógłby najwłaściwiéj wprowadzać czytelników do tajemnicy processu tworzenia; *Pług* sądzi uczuciem i sercem poczciwości pełném, kiedy przeciwnie *Padalica*, częstokroć unosi się goryczą antypatji. Oprócz tu wymienionych, spotykamy się jeszcze ze zdaniami krytycznemi w pogadance tygodniowéj pod gwiazdką *(p. Niewiarowskiego)*, któréj pewnéj dozy dowcipu odmówić nie możemy, a jednak wszystkiemi temi recenzjami sąd Gazety takiego jeszcze nie dorosł znaczenia, jakie niegdyś posiadało zdanie jéj o scenie Warszawskiéj,—szczerze téż nad zawieszeniem tych pełnych życia artykułów, których autorem był sam p. *Lesznowski*, już nieraz ubolewaliśmy. Ważne miejsce w *Gazecie Warszawskiéj* zajmują jeszcze dwa działy: jeden *lingwistyczno-historyczno-literacki*, głównie sławiańskich rzeczy dotyczący, w artykulikach pod znakiem trójkąta (p. *Leona Rogalskiego)*; drugi, poważniejszy już obszernością fejjetonu, pod nazwą *Gawęd naukowych* (p. *Żyszkiewicza)*. Te ostatnie, widocznie obrobione na wzór *Kroniki zagranicznéj* w *Bibliotece Warszawskiéj*, częstokroć nawet z niéj pożyczające przedmiotu i treści, niemniéj jednak odznaczają się życiem i sztuką w zajmującém przedstawieniu rzeczy na pozór oschłych i nudnych. Są one arcyważnym nabytkiem dla Gazety, albowiem w jednym przynajmniéj kierunku wypełniają niezbędną potrzebę publiczności, pragnącéj obeznać się z dzisiejszym stanem i postępem całego obszaru nauki; radzibyśmy tylko, by te *Gawędy* nie zwracały się tak wyłącznie do wiadomości pierwotnego przyrodzenia, a zgłębiały je także w pożyteczném stosowaniu, to jest w technologji.

O saméj części literackiéj, o materjale powieściowym Gazety, nie wiele tu powiemy, bo każdy prawie z drukowanych w jéj odcinku utworów, jako taki, specjalnemu sądowi krytyki ulega. Imiona: *Korzeniowskiego*, *Kraszewskiego*, *Chodźki*, nie potrzebują téż dłuższéj wzmianki nad samo wymienienie, skoro obszerniéj nad niemi w téj chwili rozpisać się nie zamierzamy. Niektórzy jeszcze pisarze, którzy w tym feljetonie w ciągu ostatniego roku pojawili się: pp. *Alex. Niewiarowski*, *Józefa Śmigielska*, *Gustaw Wołowski* i t. d., należą do rzędu onych współdążących, których legja niedawno tak mocno *Kraszewskiego* zastraszyła; któż wié, może który z nich kiedyś wypłynie nad powierzchnię i dosięgnie swego wzoru? może wszyscy grzęznąć będą w poziomie? Bądź co bądź, w każdym razie nie za małą liczymy to zasługę redakcji, że poparcia swego rozgłosu nie odmąwia imionom mniéj uznanym i na widownię zaledwie wstępującym. Niemniéj szczęśliwie od czasu do czasu Gazeta wprowadza w swe kolumny dłuższe czy krótsze utwory poetycznne *Syrokomli*, *Deotymy*, *Odyńca;* dobrze to chwilami pokrzepić się przy zdroju poezji nawet dzisiaj, kiedy gorączka życia fatalną prozą całe nam usta już zapiekła.

Dziennik Warszawski, którego narodzenie stanowi erę w nowszéj historji naszego dziennikarstwa, mniéj szczęśliwy w doborze materjałów powieściowych (jakkolwiek i tu kilkakrotnie pojawiały się utwory, acz nieco słabsze, owéj *Trias* powieścio-pisarskiéj), za to pod innym względem niezaprzeczone i wielkie ma zalety. Bez silnego i skutecznego poparcia ze strony wydawcy, dwaj młodzi redaktorowie, pp. *Juljan Bartoszewicz* i *Wacław Szymanowski*, prawie jedni dźwigają ciężar tych kolumn, a rzec można, że kolumny te zapełniane bywają z całą energią szczerych chęci, z całém

zamiłowaniem sprawy piśmienniczéj. Nie zawadzi tu jednakże raz jeszcze potrącić o jednę anomalję naszéj prassy perjodycznéj, któréj bezwątpienia największą winę ciż utalentowani i rzutni, ale czasem zbytecznie przerzucający się redaktorowie Dziennika ponoszą. Mówimy tu o wychodzącéj częstokroć z granic przyzwoitego tonu polemice, o téj nieomylności i zadowolonéj z siebie pewności w zdaniach, które naturalném następstwem równą żółć i gorycz w innych także współzawodnikach wywołują. W *Gazecie Warszawskiéj* podobna wina spada na korrespondentów; — w *Dzienniku* właśnie na przypiski przez redakcję do korrespondencji domieszczane; piérwsza więc znajdzie pewne tłómaczenie w odległości miejsc zamieszkania autorów, którym trudno odséłać artykuły do zmiany albo do poprawy, a których jednakże wcale nie drukować, przez wzgląd na wygórowaną zwykle drażliwość tych panów, redakcja nie może brać na siebie. Podobny téż wzgląd *Gazecie Codziennéj* stanąć powinien za usprawiedliwienie, kiedy grzeszne przeciwko prawidłom dobrego smaku i tonu listy z Kijowa nie Dołęgi, ale raczéj jakiegoś tam plwającego pana Jakóba drukować bywa zniewoloną. Przy bliższym rozbiorze *Chaty za wsią*, wytkniemy rażące fałsze w jego pojęciu tego arcydzieła, ale trudno nam raz i drugi powstrzymać się od wykrzyknienia pfe! i pfu! skoro żakowski dowcip tego jegomości zasadza się na przekręceniu pseudonymu Syrokomli; na twierdzeniu, że *Kraszewski* ukazał czytelnikom „zadnią część nowéj idei powieścio-pisarskiéj;” na zrównaniu *Prusinowskie-*z pokornym studencikiem, którego dyrektor z dyscypliną w ręku z izby szkolnéj wygania.

Otóż w Dzienniku Warszawskim, jakkolwiek nie tak mało szlachetne, tak gminne, ale zawsze zaprawne pewnym

jadem przycinki i docinki częstokroć ukazują się, a przyznajmy, że nie godzi się dla podobnych djatryb wysilać talent, zabierać w swych szpaltach miejsce rozprawom poważniejszym i ważniejszym, zapominać o szacunku należnym sobie, współpracującym na literackiéj niwie i całéj publiczności. Boli nas to tém bardziéj, ile że pomijając tę jedną stronę wadliwą, właśnie *Dziennik* odznacza się żywiołem poważniejszym i ściśle naukowym. Pyłki historyczno-literackie *Bartoszewicza*, po wielkiéj części zajmujące treścią i oryginalnym nieraz poglądem; *Listy z Redakcji W. Szymanowskiego*, nawet *Mozajka*, sprawozdanie tygodniowe, na które pod przewództwem jednego z redaktorów podobno pięć czy sześć młodych talentów się składa, wszystko to nosi na sobie cechę żywotności, popędu naprzód, serdecznych usiłowań. Z reszty współpracowników, oprócz kilku zabużańskich, którzy od czasu do czasu i to pismo zasilają, przed innymi na wzmiankę zasługują: *Prusinowski*, którego zwłaszcza poezje niektóre pełne są wdzięku formy i głębokości myśli, *Wieczorkowski*, *Zapolski*, *Waliszewski*; mniéj udatne zaś korrespondencje z Włocławka rażą główniе pretensjonalnością wystąpienia i nieusprawiedliwioném dotąd jeszcze dobrém o sobie rozumieniem.

O różnych ludziach, przezacnéj i prawdziwie sympatycznym talentem obdarzonéj powieściopisarki, pani *Pauliny Wilkońskiéj*, jako o pracy w oddzielnych już tomach pojawionéj, o napiętnowanym niepomierną zdolnością *Uśmiechu losu* p. *Włodzimierza Wolskiego*, jako dotąd jeszcze nieukończonym, wynurzenie bardziéj szczegółowego zdania na późniéj odkładamy.

I o *Kurjerze* choć pokrótce tu wspomniémy, o tym ulubionym, okrzyczanym, uznanym i zapoznanym Kurjerze,

o którym każdy Warszawianin przyznaje, że stał mu się potrzebą powszednią, a któremu jednak nie przyganić, z którego nie natrząsać się, miałby za dowód zbyt wielkiéj płytkości umysłowéj. Wszakże zalety i przywary tego pisma nie są bynajmniéj jemu wyłącznie właściwe; owszem, każde pismo lokalne nacechowane jest i być musi tą samą naiwnością miejscowych zamiłowań, tém samém jednego miasta lub kraju optymizmem, jeżeli chce sobie drogę utorować do serca większéj publiczności. Boć ta publiczność, do któréj zarówno liczy się mieszkanka złoconych pałaców, ze swoim smakiem wykwintnie ukształconym, i urzędnik, na życie ze strony prozy zwykle zapatrujący się, i kupiec, który w każdym objawie umysłowym śledzi wzrost lub upadek sprawy przemysłowéj, i pracowity rzemieślnik, który przywykł wszystko co drukowane za prawdziwą brać monetę; cała ta publiczność wielce podobna do owéj żony, która sama biédnemu mężowi przygania we wszystkiém i chwili spokojnéj mu żałuje, ale która, gdyby kto inny chciał pójść za jéj przykładem, gotowa się rzucić na śmiałego napastnika i oczy bezwstydne mu wydrapać. Otóż co wolno publiczności, to nie wolno pismu czasowemu, które z niéj żyje, które pochlebiać jéj musi, albo wyrzec się swojego istnienia. Wyobraźmy sobie na chwilę *Kurjera* z tą samą barwą miejscową, jaką ma dzisiaj, ale z goryczą na ustach i z uśmiechem ironji w oku, — wyobraźmy sobie zamiast przysłowiowéj jego galanterji dla dam, jakiegoś karcącego kaznodzieję, zamiast dobrodusznych pochwał o lada *Kontrymowiczu* lub *Rozbickim*, jakiego zrzędnego krytyka, zamiast szumnéj reklamy, odsłonięcie brudnych tajemnic niejednego wydrwigrosza; a możemy być przekonani, że kto teraz najjawniéj z podobnym sądem się wynurza, rzuciłby gniewny pismo,

co drugiemu złudzenie, cząstkę własnéj całości ohydzić usiłuje.

Główny przeto zarzut, tylekrotnie Kurjerowi czyniony, że u niego wszystko co nasze jest dobre, co Warszawskie niezrównane, upada sam przez się, bo ten właśnie zarzut stanowi najważniejszą cechę pisma lokalnego. To téż wciągając obecnie Kurjera w obraz literacki naszéj prassy perjodycznéj, nie zamyślamy nadać mu przez to znaczenia piśmienniczego, do którego i sam zapewne pretensji żadnéj nie rości. Na tym stopniu ukształcenia duchowego, na jakim my obecnie stoimy, literatura i praktyczność są to jeszcze dwa bieguny sobie wprost przeciwne: nauka i sztuka jeszcze do tyla w naszą krew i soki nie wsiąkły, iżbyśmy je uważać mieli prawie za niezbędny warunek naszego istnienia, iżbyśmy bez nich życie nasze bezżywotném uznawali. — *Kurjer*, pomimo wszystkich swoich błędów, kto wié czyli nie dla tychże samych błędów, stanął w pośrodku pomiędzy dwoma temi kierunkami; nie godząc jeszcze ostateczności, wskazuje im drogę do zbliżenia się. Mniejsza o usterki historyczne, o niedokładne wiadomości z nauk przyrodzonych, o filologiczne pomyłki, dosyć, że najbłędniejsze nawet objaśnienie zawsze ma na celu przyczepienie pojęć naukowych do codziennego zdarzenia, że w każdym najobojętniejszym na pozór szczególe, czytelnik poznaje choć zdaleka punkt wyjścia poważniejszy i prawdziwszy.

Najbardziéj przyciąga nas do *Kurjera* naiwna jego dobroduszność i potulność. *Kurjer* jest to pismo bez żółci. Na wszystkie zasłużone lub niezasłużone napaści, na które od czasu do czasu ze strony większych dzienników bywa wystawiany, albo nie odpowiada wcale, albo odpowiada łagodnie, i bez żadnego uniesienia; owszem pomny częstokroć

na zasadę: *kto na ciebie kamieniem, to ty na niego chlebem!* nie pomija żadnéj sposobności, by zwrócić uwagę czytelników na tę lub ową pracę, właśnie w szpaltach innego, choćby najnieżyczliwszego mu pisma pojawiającą się. Wprawdzie jest w tém także nieco utajonego o sobie zarozumienia, boć wychodzi to na jedno, co użyczać współzawodnikom wysokiéj protekcji własnego rozgłosu; — ależ mało bo takich jest w istocie, co nic oprócz *Kurjera* nie czytają, dla których tedy podobne wskazówki w samej rzeczy mogą być pożądane, równie jak pożytek przynosić artykułom przez siebie wzmiankowanym? Przeciwnie, a mówimy to bez śladu ironji, raczéj z szczerém uznaniem korzyści, która z podobnego wydawnictwa spłynąć musi na ogół czytelników, *Kurjer* wielką ma missję do spełnienia względem tych właśnie, których zajęcia literackie ograniczają się na czytaniu tego jednego pisma, dla których on jest Alfą i Omegą wiedzy i dobrego smaku, którzy gotowi są przysięgać na jego słowa, jakby naprawdę ustami mistrza wyrzeczoną.

A missja im większa, tém świętszy obowiązek zadosyć uczynienia jéj, bo każda chyba nie jest już zboczeniem, ale cofnięciem,—każdy usterk olbrzymich dosięgnie rozmiarów, skoro tysiące czytelników przejmą się nim w zupełném zaufaniu. Postęp tedy na raz obranéj drodze bez względu na krzyki, jakiemi źle zrozumiana gorliwość lub zawiść go obrzucą; ale zarazem baczność i sumienne uznanie swéj ważności, oto godło, którebýśmy w szczeréj życzliwości p. *Kuczowi* i innym jego współpracownikom, na czele *Kurjera* dla ciągłéj pamięci położyć byli radzi.

Z innych pism codziennych, już tylko dla dokładności wymienimy przedewszystkiém *Gazetę Rządową*, ze wszyst-

kich najpoważniejszą i pod względem wysokiego znaczenia urządzeń i wiadomości krajowych najcelniejszą, oraz *Gazetę Policyjną*, pismo dla mieszkańców Warszawy pod wieloma względami nader ważne i ciekawe; a w którém od niejakiego czasu literacka część: *Rozmaitości*, zaleca się starannym doborem zajmujących i nauczających artykułów. Przejście między publikacjami codziennemi a miesięcznemi pismami, stanowi *Tygodnik Lekarski*, pismo pod główną redakcją doktora *Natansona* wychodzące, wyłącznie medycynie poświęcone, bezustannie pracami uczonych lekarzy zasilane, chociaż i tu, w odcinku zamieszczane bywają, to oryginalne artykuły samego redaktora i innych, to tłómaczenie wykładu *Hygieny*, Professora *Fleury*, które wszystkie ogólniejszym także interessem literackim w wysokim stopniu zalecają się.

Pamiętnik Religijno-Moralny, pismo miesięczne, dobiegające już końca czternastego roku swojego istnienia, również specjalnemu celowi oddane, nietylko dla naszego duchowieństwa, ale i dla licznych tych laików, co w wiedzy szukają pomocy ku Wierze, nader ważną i pożyteczną jest publikacją. Artykuły oryginalne w *Pamiętniku* po większéj części bywają treści historycznéj, pióra proboszczy, owych najkompetentniejszych sprawozdawców o dziejach naszych świątyń i klasztorów; daléj życiorysy znakomitych w przeszłości naszéj duchownych, oceny ich prac, kazania celniejsze jak ich, tak współczesnych nam homiletyków, listy pasterskie naszych biskupów, wiadomości o ruchu administracyjnym, o zmianach osób w składach kościoła; przekłady zaś dobrane z najstaranniéj redagowanych w tym rodzaju pism zagranicznych, opisy ludów missjonarskich po obcych

20

ziemiach: wszystko to najzupełniéj odpowiada założeniu, i z *Pamiętnika Moralno-Religijnego* czyni jedno z przedsięwzięć najsympatyczniejszych poczciwą dążnością i rozumném, a od wszelkiego fanatyzmu wolném wykonaniem.

Pamiętnik sztuk pięknych, redagowany przez *B. Podczaszyńskiego*, jakkolwiek nie w regularnych przestankach pojawiający się, zawsze jednak z pobieżnego swego zakresu, do rzędu perjodycznych publikacji zaliczyć należy.

Nie umielibyśmy wprawdzie powiedzieć, czyli *Pamiętnik* ten w istocie zapełnia jaką próżnię, jak mu to inne pisma uprzejmie przyznawały, wątpimy bowiem, czyli w saméj rzeczy potrafi zastąpić podobne przedsięwzięcia zagraniczne, mianowicie francuzkie i angielskie, w których i dobór i umiejętne obrobienie tekstu na równi stoją z wykonaniem przydatków artystycznych, w których nawet zewnętrzna, wprost typograficzna szata wrażenie piękna w oku naszém wywołuje. *Pamiętnikowi p. Podczaszyńskiego* brak jeszcze i tych zalet zewnętrznych i głównie żywotnéj wewnętrznéj wartości, brak może dla tego, że u nas sztuka w ogólności dopiéro się budzi z długiego uśpienia, że drażliwość artystów, a pobłażliwość krytyków sztuki w każdym prawie bazgraczu każe nam podziwiać *Leonarda* lub *Tycyana*, — dosyć jednakże to pismo przedstawia wierny obraz owéj rozpaczliwéj drobności, w któréj sztuki plastyczne podziś dzień jeszcze u nas zostają.

Do historji *Biblioteki Warszawskiéj*, która już rok piętnasty w nieprzerwanym ciągu i w jednakiém prawie założeniu wychodzi, poniekąd przyczepićby można historję całego naszego w tym przeciągu czasu piśmiennictwa. Nie przeto mówimy, iżbyśmy *Bibliotekę* uważać mieli za rzeczywistego i wiernego wyobraziciela naszéj umysłowości, którymby

być mogła i powinna,—ależ wszystkie rozliczne, a do siebie tak niepodobne i tak szybko po sobie następujące koleje, którym literatura u nas w owym krótkim okresie podlegała, w téj Bibliotece wewnętrzną koniecznością najzupełniejsze zwykły znajdywać odbicie!

Jakież to młode i jędrności pełne życie towarzyszyło piérwszemu po dziesięcioletnim śnie przebudzeniu się, owéj regeneracji sił duchowych w pamiętnym dla nas roku tysiącznym ośmsetnym czterdziestym i pierwszym! Grono młodych literatów, wsparte powagą kilku imion dawniejszéj już zasługi, zawiązało się dla założenia organu dążnościom naukowym czasu, jego celom spekulatywno-przemysłowym, jego objawom krytyczno-historycznym. Organem tym była *Bibljoteka Warszawska*. Garnąc do siebie wszystkich ludzi zdolnych, przekonywając publiczność czytającą, że od jéj to głównie współdziałania zawisła możność ożywienia sił drzémiących, najbardziéj zaś powołując tu i owdzie do pracy umysły zdolne wysokiém ukształceniem, których talent pisarski dla nich samych niejaką był jeszcze tajemnicą: wnet przodkować zaczęła *Bibljoteka* owemu rozwojowi postępu, który się jakby pod laską czarodziejską prawie jednocześnie objawiał w *Przeglądzie naukowym*, *Jutrzence*, *Pielgrzymie*, *Rocznikach krytyki* i innych. Piérwszy ten perjod życia *Bibljoteki* pod sterem p. *Szabrańskiego*, byłego redaktora *Panoramy*, bez wątpienia był najświetniejszym, kiedy na jéj widownie występowały jeszcze imiona *Antoniego Czajkowskiego*, *T. Lenartowicza*, w ściślejszéj nauce *Aleksandra Kurca*, *Ignacego Rychtera*, *Feliksa Zielińskiego*, przed wszystkiemi zaś *Augusta Cieszkowskiego*, jednego z najgłębszych w naszéj epoce myślicieli. Wnet i *Bibljoteka Zagraniczna* staraniem redakcji *Bibljoteki Warszawskiéj* wydawana,

obeznajmiała publiczność naszą z poglądem estetycznym *Schillera* historycznym *Guizota*, ekonomicznym *Blanquiego*; i tym sposobem byłaby bez wątpienia przyswoiła powoli wszystkie obce arcydzieła w dziedzinie nauki moralnéj i politycznéj, gdyby jednoczesny przewrót w opinji publicznéj nie ohydził prawie bez wstępu ni przyczyny, wszelkiego dążenia filozoficznego, nie poczynał obracać go w śmieszność i nie zwrócił się raczéj do ogólnego bożyszcza wieku: do przemysłu. Odtąd w Bibljotece Warszawskiéj pojawiają się prace z matematyki czystéj albo stosowanéj, z nauk mechanicznych i chemicznych (¹), teorje bruków i ogrodownictwa,—pojawiają się obok rozpraw naukowo prawniczych, obok ścisłych badań językowych, z których każda bez zaprzeczenia wysoce zająć mogłaby ludzi w zawodzie swym specjalnych, ale które trudno iżby zajęły: prawna inżeniera, albo filologiczna obywatela ziemianina. Trudno nadewszystko, iżby wszelkie podobne szczegółowemu badaniu poświęcone artykuły, zająć mogły piękniejszą połowę czytającéj publiczności, któréj przecież wpływy są u nas tak przeważne, która zresztą bynajmniéj zamiłowania w przedmiotach wznioślejszych nie zapiera się, ale któréj trudno jednak zstępować do oschłych wywodów i nieestetycznego częstokroć poglądu, kiedy dla niéj najgłówniejszą częścią nauki są wypadki, bez względu na sposoby, jakiemi umysł ludzki je zdobywa.

Powiedzieliśmy wyżéj, że owa zmiana głównéj treści

(¹) Nie mówimy tu o perjodycznych artykułach, np.: Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych, które jako powierzchownie szkicowe, w podobnéj publikacji sprawiedliwe znajdują pomieszczenie.

w *Bibljotece Warszawskiéj* była następstwem przewrotu, jaki w lat kilka po piérwszém wyjściu tego pisma ustanowił się w opinji publicznéj: ale czujemy, żeśmy myśl naszą niedosyć dokładnie tém orzekli. W saméj rzeczy, ciągłość ruchu najbezwzględniejszym i najbardziéj zatrważającym jest spoczynkiem; ona bowiem wyłącza z siebie wszelkie ustanowienie mocnych podstaw, dopatrzenie się świetniejszych punktów, któreby odskakiwały od tła ogólnego, i któreby zarazem służyły za punkta oparcia w powszechném umysłów ludzkich rozwinięciu.

Otóż ten ciągły ruch najsilniéj pochwycił nas pod koniec piérwszéj połowy stulecia, ruch idei uzmysłowionéj, jako przeciwnik wrażeń zmysłowych zidealizowanych, ruch myśli, dążącéj do coraz to gwałtowniejszego rozprzestrzenienia i rozpierania materji, jako przeciwnik téj materyi, z któréj dotąd spekulatywna filozofja wysnowała treść myślenia. Nie było nikogo, coby nie uczuł tak olbrzymich wstrząśnień, a odbijały się one najprzód w zastosowaniach praktycznych; ale jedynie nieznajomość drogi, którą się wielkie zmiany w pojęciach narodów przygotowują i odbywają, mogła chcieć je od razu wprowadzić do dziedziny literatury, wypierając z niéj wszystkie strony ogólniejszego smaku, piękna i sercowe. Krążenie takich pojęć przyspasabia się powoli, od środka prze na zewnątrz, a redaktorowie *Bibljoteki* sądzili, że obowiązek im nakazuje najpiérwszymi być ich składnikami, ba nawet przodkującemu popędowi poświęcić ową wielostronność, która najgłówniejszą może stanowić cechę podobnéj publikacji. To też za tak błędnym kierunkiem w trop postąpiła kara, kiedy jedynie znakomite ze strony właścicieli tego pisma ofiary, niemniéj dla tego mające prawo do powszechnéj całego kraju wdzięczności, potrafiły

wstrzymać je od zupełnego upadku, którym wzrastająca każdodziennie obojętność publiczności już mu zagrażała.

Obojętność ta stała się klątwą, z pod któréj niestety! *Bibljoteka Warszawska* po dziś dzień jeszcze uwolnić się nie może. Wszelako interess publikacji otworzył oczy redaktorom, — odkąd zwłaszcza i w książkowém i bardziéj jeszcze w codzienném piśmiennictwie sprawa dobrego smaku doczekała znowu do dawnego uznania, a dążności utylitarne czasu po jednéj lub w kilkoro składają się na wydatniejsze, bo powabami wyobraźni ubarwione przedstawienie nowéj fazy ludzkości. Od dwóch czy trzech lat tedy, Bibljoteka powróciła do tego stanowiska, z którego oby nie wyszła była nigdy! — do obrazów cywilizacyjnych ludzkości i narodu, do żywotnéj, bo o styczności z teraźniejszością nigdy nie zapominającéj przeszłości, do zasadnego, na gruntownéj filozoficznéj podstawie opartego sądu literackiego, do poezji i innych objawów sztuki, jako do szczytu, na którym się boska strona umysłu ludzkiego uosabia, a uwydatnia tém bardziéj, im mniéj rozmyślnie stroni od czysto ludzkich, a zatém nieraz w sobie błędnych, ale zawsze za serce chwytających, głębokością czucia ujmujących domięszań.

Na czele prac dziejowych w Bibljotece, w ostatnim okresie przez nas wymienionym, mianowicie zaś w upłynionym r. 1854, postrzegamy przed wszystkiemi imiona: *W. A. Maciejowskiego*, *Alexandra Przezdzieckiego*, *Edwarda Rastawieckiego*, *Juljana Bartoszewicza*, *Tymoteusza Lipińskiego*, i zbyt wcześnie zniklego z widowni naszéj literatury, pełnego szczerych i serdecznych zamiłowań *Seweryna Gołębiowskiego*. Wprawdzie p. *Maciejowski* nowym kierunkiem szerokiéj swéj i bystro badawczéj nauki od niejakiego czasu zwrócił się raczéj do roztrząsań historyczno-literackich,

a i w tym oddzielnym kierunku zasady swoje lubi czerpać najbardziéj w dziedzinie starożytnego naszego prawnictwa, w któréms piérwsze sobie wawrzyny wywalczył, — ależ przyzwyczailiśmy się już oddawna, w tym najcelniejszym, żadną utopią nie unoszącym się, ale raczéj za surową prawdą historji w najznakomitszych jéj szczegółach pilnie śledzącym pisarzu, upatrywać jędrny pogląd na całość wielkiéj nauki, wykazywanie logicznego związku pomiędzy zewnętrznym przebiegiem dziejów, a objawami wewnętrznego życia ludowego. Oddział archeologji krajowéj najsilniejszych ma przedstawiaczy w pp. *Przezdzieckim*, *Rastawieckim* i *Lipińskim*, których dwóch piérwszych ogromne zasługi rosną jeszcze z każdym zeszytem oddzielnego wydawnictwa: *Wzorów sztuki średniowiecznéj*, przedsięwzięcia u nas dotąd niebywałego, więcéj nawet powiemy, bo i niemożliwego, a którego niezmierny pożytek dzisiaj już trudny jest do obliczenia. W monografiach historycznych, najczęściéj czerpanych ze źródła, i gdzieniegdzie tylko noszących na sobie piętno kompilacji, odznacza się *Bartoszewicz*, którego imię od niejakiego czasu połączone jest ze wszystkiemi prawie badaniami z dziejów pojedynczych epok i ludzi, oraz *Gołębiowski*, może w poglądach swoich mniéj gruntowny, ale w którym artyzm obrobienia wyższego natomiast doszedł wykończenia. Jest to więc w *Bibljotece Warszawskiéj* dział, uprawiany z całém pojęciem potrzeby pisma zbiorowego, niekoniecznie oschłą specjalnością odstręczający, ale raczéj przyciągający rzeczami zajęcia ogólnego i sympatyczném wykonaniem. *Belletrystyka*, która przez cały ciąg trwania owéj przewagi strony przemysłowéj, prawie zupełnie w *Bibljotece* leżała odłogiem, obecnie reprezentowana głównie przez *J. I. Kraszewskiego*, obdarzyła nas prześliczną jego powieścią z ży-

wiołu ludowego (*Chata za wsią*), któréj rozbiór, jako wyszłéj już na widok publiczny w wydaniu oddzielném, na oddzielny téż artykuł sobie odkładamy. Tu także należy się wzmianka pełnemu życia obrazowi *Wilczyńskiego*, p. t.: *Kłopoty starego Kommendanta*, w którym talent malarski równoważony jest przez głębokość uczucia, a przyjaskrawe nieraz farby łagodzone całym urokiem serdeczności; oraz powieści *Wojcickiego*, p. t.: *Dworek i Pałac*, w któréj wszystkie zalety tego znakomitego pisarza, na polu dla niego prawie nowém i od niedawna dopiéro przezeń obrabianem, najświetniéj zostały zjednoczone. Poezja ważniejsze przybrała rozmiary w utworach p. *Seweryny Pruszakowéj*, któréj *Zagroda Domowa*, *Dwa Dwory i Powiśle* odkryły nam talent równéj siły co rzewności, i w których tylko wzorowa czystość formy niekiedy razi zbyteczną jednostajnością. I o tych pracach, których wydanie od *Bibljoteki* niezależne w krótkim już czasie zostało nam zapowiedziane, szczegółowego sądu naszego przedstawić nie zaniedbamy, co wszelako bynajmniéj nie uwłóczy zasłudze tego pisma, które pierwsze publiczność z utworami znakomitéj pisarki obznajmiło. Mniéj stosowną w perjodycznéj publikacji wyda się poezja dramatyczna, którą i oryginalną (*Apollina Korzeniowskiego*) p. t.: *Komedja* i tłómaczoną *Corregio* przez *Oehlenschlägera*, przekład *Bolesława Wiktora*, Bibljoteka przyswoić sobie usiłuje. Z tłomaczeń wspomnimy jeszcze o pięknym przekładzie poematu *Walter Scotta: Pan dwóchset wysp* i o przełożonym przez mistrza formy, *Łucjana Siemieńskiego*, ustępie z Perskiego poety *Firdusego*. W ogóle uważaliśmy, że jak w życiu powszedniém, tak w *Bibljotece Warszawskiéj*, poezja czysto liryczna nielicznych już ma przedstawicieli i zwolenników; nowoczesne epos i dramat uwijają się pod tysiączne-

mi postaciami, a każdy utwór nacechowany, jeżeli nie oryginalnością piérwszego pojęcia, tedy przynajmniéj wykończeniem i dążnością która co najmniéj zdolną jest wyrwać umysły czytelników z pod oziębiającego wpływu tegoczesnych materyalnych zamiłowań. W pamiętnikowéj literaturze, która w każdéj epoce przejścia z natury swojéj znakomitą rolę odegrać bywa przeznaczoną, *Bibljoteka Warszawska* podaje nam zajmujące prace Dra *Tripplina*, o których ogólne zdanie nasze niedawno w niniejszém piśmie wynurzyliśmy; daléj udzielone przez *Kraszewskiego* ciekawe: *Notatki Generała J. L.*, naostatek: *Opis wyspy S. Domingo* przez *Luxa*, który jednak zbyt widocznie i żywcem wydaje się czerpany z dzieł *Büschinga i Rittera; L. Zejsznera o Spiżu; Wspomnienia H. Połujańskiego z podróży nad Wołgą;—Notatki Wł. Wieczorkowskiego*, oprócz kilku innych, również ogólném zajęciem odznaczonych. Przejście ztąd najnaturalniejsze do Kroniki zagranicznéj literackiéj, naukowéj i artystycznéj, celującéj gruntownością treści, bystrością dowcipu, żywotném wykonaniem, jakiéj dotąd w literaturze naszéj podobnego przykładu nie mieliśmy, i jaka, śmiało powiemy, dziś jest okrasą Bibljoteki. Szkoda, że podobnych jak owa Kronika Paryzka, pismo to nie posiada jeszcze korrespondencji przynajmniéj z Berlina i z Londynu, któreby dokładny przedstawiały obraz całego życia umysłowego, w tych trzech najgłówniejszych ogniskach zagranicy. Zawszeż i to już wielki krok jest uczyniony na jedynéj możliwéj drodze postępu, jedna kto wié, czy nie najważniejsza próżnia zapełniona.

Kronikę literacką, czyli *krytykę* w Bibljotece, co do książek treści historycznéj, prawie wyłącznie pracami swemi podtrzymuje p. *Bartoszewicz;* co do filozoficznych i belletrystycznych utworów p. *Aleksander Tyszyński.* Głęboka nauka

i rozwaga, oraz sumienne przejęcie się stanowiskiem podsądnego dzieła, następuje szczere śledzenie prawdy, które się żadnéj uboczności z toru zbić nie pozwala, czynią tego ostatniego pisarza najkompetentniejszym sędzią w naszéj nowszéj literaturze. Oby ten słaby głos uznania towarzyszył mu przy wydaleniu się z naszego grona, oby mu był oznaką, że i z odległéj jeszcze strony z serdecznym udziałem, każde jego odezwanie się usłyszéć będziemy niecierpliwi!

Inne działy, bardziéj już wyłączne, pozostały się w Bibljotece Warszawskiéj, jakby żywym zabytkiem niezbyt odległéj i niefortunnéj przeszłości. W roku bieżącym także raźno postępuje ona naprzód na nowo obranéj drodze, a że i ogół naszych dążeń i zamiłowań piśmienniczych, coraz wybitniejszém najpiętnowany bywa znamieniem ducha twórczego, a twórczego nie w praktycznych tylko objawach, ale w pojęciach czysto umysłowych, przeto nie traćmy nadziei, że i pismo, o którém dziś mówiliśmy, i czytelnicy którzy jego usiłowań niekoniecznie zasłużoném wynagradzają uznaniem, zejdą się wnet w pół drogi, a obie: Bibljoteka i publiczność, wspierać się będą i dźwigać zobopólnie a potężnie!

JADWIGA I JAGIEŁŁO

PRZEZ

Karola Szajnochę.

(Tom I, Lwów. Nakładem Wilda 1855 r.).

Kto w należyty sposób pisze historją, choćby najodleglejszéj nawet przeszłości, jednocześnie przedstawia nam materjał do dziejów własnego swego czasu; przykłada się on bowiem do rozwinięcia idei, które kierują teraźniejszą chwilą, a w których łonie nieznana jeszcze nam przyszłość spoczywa. Każdy nawet pojedynczy rozdział szczegółowego życia narodowego, tak jest w sobie obfitym nieskończenie, że nie we wszystkich swoich objawach może być jednako oddanym, że raczéj historyk w swém odbiciu przeszłości, zmuszonym bywa pewne strony owego życia przed innemi w jaśniejszym wykzywać świetle. Jakie zaś są owe strony, to przedewszystkiém zależy od głównych skłonności i zajęć czasu, które tym samym badaniom i zapatrywaniu historyka odrębniejszy nadawać zwykły charakter i kierunek.

Przed końcem wieku zeszłego we wszystkich prawie państwach nowoczesnych, najprzedniejszemi, ba nawet wy-

łącznemi czynnikami historji, bywały osobistości pojedyncze, względem których martwa bierność narodów przyjmowała jedynie rolę wosku, jakiemu z łatwością dowolne i coraz to odmienne wciskać się daje piętno. Dla tego też historja polityczna zwykle oschłą tylko bywała historją kilku wysoko postawionych ludzi, a w najszczęśliwszym razie, obok właściwego życia publicznego, zamkniętego w opisach aktów gabinetowych albo wojen, uprawiano już tylko dziedzinę sztuki wyzwolonéj, w któréj jednéj duchowość indywiduów swobodniejsze dla siebie miała pole. Z historją polityczną tedy łączyła się tu i owdzie obfitsza historja literatury i sztuki, ależ i ta nie stanowiła jeszcze właściwego opisu życia ludowego. Dopiéro w późniejszym czasie historjografja całkiem odmiennego nabrała charakteru. Znaczenie pojedynczych osobistości, górujących dawniéj przed innemi, czy to w bitwach, czy w gabinecie, znaczenie celniejszych filozofów i uczonych, artystów i poetów, coraz bardziéj gasnąć poczęło w obec pytań głównych, na jakie się nowsze czasy zdobywały: jaki też w rozmaitych okresach był duch konstytucji państw i ich prawodawstw? Jakie były urządzenia wojska i finansów, od których zawisła ich potęga w zobopólnych między sobą odnoszeniach? Jakie były stosunki spółeczne, podług każdorazowego stopnia kultury umysłowéj i moralnéj, oraz według różnicy majątkowéj i stanowéj? Otóż i p. Szajnocha w dziele powyżéj z tytułu przytoczoném, nie zapierając się wprawdzie wysokiego znaczenia pojedynczych osobistości, w których przeważne kierunki czasu najwyraźniéj się zwykle odbijają, najbaczniejszą uwagę swoją zwraca na rozwiązanie onych kwestji głównych i niemi najradziéj się zajmuje. Dla tego też jego *Jadwiga i Jagiełło* jest dziełem wysoce zajmującém i nauczającém, tu i owdzie

nawet, gdy mu się przypadkowa nadarzy gdzie sposobność, porównywa stosunki ówczesne z późniejszemi i niejedną pożyteczną wskazówką pojęcie wielkich wydarzeń, innego choćby okresu, rozprzestrzenia i ułatwia.

Nie jest to tedy zwyczajna monografja, tém mniéj żyeiorys dwojga lub kilku znakomitych ludzi; książka p. *Szajnochy*, to żywotna karta, wydarta na próbę z dziejów całego kraju i narodu, wyczerpująca w tym okresie wszystkie objawy ówczesnéj polityki, prawodawcze i ludowe, odsłaniająca tajnie wewnętrznych impulsów, wykazująca konieczność całego historycznego powiązania. W piérwszym tomie nawet, zaledwie zdaleka upatrujemy przesuwające się przed nami postacie przyszłéj pary królewskiéj, ale za to jakież bogactwo obrazów, tam gdzie idzie o ucharakteryzowanie podstaw, po których ten okres stąpać ma sobie przeznaczono: społeczności polskiéj, węgierskiéj, krzyżackiéj i litewskiéj! W początkowym zaraz opisie miejscowości, poznajemy głębokie uczucie poety, uczucie piękności we wszystkich jéj odcieniach, tam gdzie na pozór spodziéwać się należało, zimnego tylko postrzegacza i badacza. A nie sądźcie, żeby na artystyczném pojęciu i oddaniu przedmiotu traciła ścisłość i sumienność historyka! Mnogie i szczegółowe cytaty, których dokładność nie przez niedowierzanie, ale dla własnego zadowolenia tu i owdzie sprawdzaliśmy, świadczą o pracowitości pisarza, którego nieraz krótka tylko wskazówka albo wzmianka opiéra się na całodniowém zbadaniu, na mozolném wertowaniu rozlicznych ksiąg i źródeł, które tylko podobnemu jak on adeptowi do podobnych rezultatów dadzą się skierować. Charakterystyka Wielkopolski i Małopolski po wstępnym owym obrazie całéj ziemi, przygotowywa nas do wprowadzenia w nie rodziny, w Europie podówczas naj-

świetniejszéj i najwykwintniejszéj: Ludwika z domu Anjou, słynnego już swoim braterstwem z Kapetyńską rodziną świętego króla Ludwika, a który zasłynął głośniéj jeszcze swém odosobnieniem się od niéj. Opis rządów Ludwika i trójkoronne jego plany, wpływ Elżbiety i istnienie szlachty i ludu w stosunkach pomiędzy sobą, albo wyżéj siebie, całe życie rządzonych, administracja sądowa i finansowa kraju, we wszystkich swoich szczegółach, obok tego poglądy na dwa inne przeważne w owéj epoce europejskie domy: Luksemburgski i Rakuski, przygotowują nas nawzajem do wyprowadzenia na scenę młodocianéj Jadwigi, która w siódmym roku życia zaślubiona siedmioletniemu Wilhelmowi Habsburgskiemu, na dworze rodziców swego oblubieńca piérwsze dziecinne lata przepędzała. Nie była to wprawdzie wówczas jeszcze przyszła polska królowa, bo wbrew wyrokom księgi przeznaczeń miała ona zasiąść na węgierskim tronie, a po śmierci nawet ojca jéj, Ludwika, młody margrabia Zygmunt, mąż Marji, spokojnie na polskim się sadowi; ale piérwsza Wielkopolska, oburzona hardém przez Zygmunta odrzuceniem trzykrotnéj prośby o złożenie Domarata z starostwa Wielkopolskiego, zachwiała najprzód sprawę Zygmunta w Polsce, a następnie całą potęgę teutonizmu nad Wisłą. „Dopiéro to Wielkopolskie usunięcie Zygmunta i Marji, wyprowadziło narodowi na widok młodszą królewnę Jadwigę. Bez Wielkopolan, bez ich oparcia się Zygmuntowi, bez ich podniesienia broni przeciwko Grzymalistom, (stronnikom Domarata), nie miałaby Polska Jadwigi. Bez Jadwigi, bez Jagiełły i Litwy, cała historja Polski odmienną brała drogę i postać. Nieskończenie tedy ważną przysługę wyrządziła wówczas Wielkopolska dziejom ojczystym."

Na tém ukazaniu nam w perspektywie *Jadwigi*, dotąd je-

szcze z samą Polską żadnemi bliższemi stycznościami nie związaną, kończy p. Szajnocha, piérwszy oddział swojego dzieła. Powiedzieliśmy już, że i społeczność litewska i pogańskość Kiejstutowa, w starciu z zakonem niemieckim, i uleganie mu Jagiełły przesuwają się w tym oddziale przed naszemi oczyma. Cały ten przewrót, jaki wprowadzenie żywiołu litewskiego na losy, a bezpośrednio już nawet na uczucie siły i wyobrażenia ówczesnéj Polski wywierało, dopiéro w następnych rozdziałach wyczerpująco widzimy rozwinięty, a następuje to z tym samym talentem, z tym samym głębokim poglądem na ogół otoczenia, z tą samą łatwością przejęcia się właściwemi oznakami epoki, z tą samą bystrością wnikania w najskrytsze jéj szczegóły i tajniki. Gruppowanie faktów, ustawianie ich i nadanie im kształtu, jaki najlepiéj do ogólnego tła obrazu i do każdorazowego oświetlenia go przypada, czynią pana Szajnochę znakomitym artystą, któremu i z estetycznego stanowiska, najniewątpliwsze należy się uznanie. Żadna téż nauka, tyle co historja, tak wielkiego nie ma powinowactwa z sztuką; żadna swoim kolorytem i jędrnością tak wybitnie nie określi wszystkich wewnętrznych oznak, wszystkich zewnętrznych objawów ludzkiéj natury i Boskiéj Opatrzności.

W samym stylu p. *Szajnochy*, jedna nas tylko, może przesadna, może mimowolna, w każdym przypadku rażąca uderzyła niewłaściwość. W zwięzłości perjodów, w dosadném streszczeniu kilku postrzeżeń w jednym ucinanym, co chwila zwrocie myśli, upatrzyliśmy gonienie za pięknościami Tacytowskiego języka. Tam gdzie zapał autora unosi, zapomina się wprawdzie w swojém założeniu i potoczystszą posuwa się mową, ależ to właśnie dowodzi, że owa uryw-

kowość nie jest natusalną, skoro go tam głównie napada, gdzie jako sztukmistrz chce tworzyć objektywniéj, gdzie lubuje się swoim przedmiotem, jak nadewszystko w opisach przyrodzenia lub w ogólnych obrazach epoki. „Tylko kilkanaście mil (mówi autor) przedziela Wielkopolskę od morza. Niegdyś miał Baltyk jeszcze bliżéj dosięgać jéj granicy. Wiadome jest zdanie uczonych o ciągłém widoczném zniżaniu się jego powierzchni. Silono się nawet obliczyć miarę stopniowego baltyckich wód opadania. Otóż przed wiekami, przy najwyższym stanie zwierciadła morskiego, pokrywały te wody całą przyległą ziemię pomorsko-pruską. Po dziś dzień zachowała się u Polskiego ludu tradycja, jako niegdyś morze baltyckie rozciągało się aż po Grudziąż. Zgodnie z tą wieścią, nazywają dziejopisowie kraj pruski jednym z najnowszych lądów ziemi. Przeszło dwa tysiące jezior pokrywało do niedawna szczupłą przestrzeń Pruss Krzyżackich." I tak daléj, w perjodach równie porąbanych, znużeni nieraz tém gwałtownie włożoném na nas wytchnieniem, choć go w saméj rzeczy nie potrzebujemy, idziemy karta za kartą i mimochętni wyznajemy, że świeżość myśli i mowy, że siła wyrażeń, że obfitość obrazów i rysów charakterystycznych nie zawsze zdolne są zatrzéć niemiłe wrażenie, jakie ta z istotą naszego języka niezgodna maniera częstokroć w nas tu wywołuje.

MARGIER,

POEMAT Z DZIEJÓW LITWY

PRZEZ

WŁADYSŁAWA SYROKOMLĘ.

(Wilno. Nakładem Rubena Rafałowicza, 1855 roku).

Przed niezbyt dawnym czasem cieszyliśmy się, gdy z szczerém uznaniem niepospolitego talentu p. *Syrokomli*, o jego Dęborogu i innych Gawędach sympatyczną sprawę zdać potrafiliśmy; tém sympatyczniejszą, ile że tło tych utworów, jakkolwiek bynajmniéj nienowe, jednakże równą odznaczało się prawdą, jak osnute na nich wypadki i postacie siłą i rzewnością. Dzisiejsza *Gawęda*, (bo sam autor w przedmowie wyraźnie zwie ją powieścią wierszowaną i najuroczyściéj wypiera się dla niéj miana i znaczenia epopei, chociaż jego zdaniem jednoczy w sobie wszystkie potrzebne ku temu warunki i najlepszém jest z dzieci jego ducha), w saméj rzeczy nie posiada wszystkich tych ujmujących za serce zalet, jakie starszym jéj siostrom przyznawaliśmy.

A najprzód dalecy wprawdzie i teraz jesteśmy od bezwarunkowego upatrywania wady w naśladownictwie albo

chluby w oryginalności; toż nie każdemu jest dano w tylokrotnie już i tak rozmaitych kierunkach przebieżonéj dziedzinie ducha nowe sobie wynaleść tory, któremiby żaden z poprzedników nie stąpał; ależ to naśladowanie, jeżeli ma być czémś więcéj jak prostą reminiscencją płaskości, wyłącznie tylko tyczyć się winno formy, a nie ducha, szaty, a nie treści. Otóż w *Margierze* wzgląd ten nie jest zachowany należycie. Czytając ten poemat, proportions gardées, i z odliczeniem ile wypada na stosunkową znamienitość twórców, czasem by się wydało, jakobyśmy czytali ustępy z innych znanych litewskich poematów. A nietylko pojedyncze ustępy, ale i pojedyncze postacie *Margiera*, witają nas jakby dobrze i oddawna znajome twarze; wszystko zaś co p. *Syrokomla* w tę powieść włożył, swojego lub historycznego, w następujących krótkich da się zamknąć wyrazach.

Niosącym na Litwę mord i pożogę Krzyżakom, jeden tylko zamek Pullen opiera się. W czasie bohaterskiéj tego zamku obrony, dowódzca jego *Margier* bierze w niewolą młodego rycerza niemieckiego *Rausdorfa Wernera*, któremu zdjęty dziwną jakąś litością, ocala życie i gościnne u siebie gotuje przyjęcie, ale którego w kilka niedziel stara Sybilla *Marti*, wskazuje jako konieczną ofiarę, na przebłaganie Poklusowego gniewu zabić się powinną. Acz mimochętnie, jednak ulega temu wyrokowi *Margier*, lecz nie ulega mu jego córka *Egle*, najpiękniejsza z Litwinek, która dla *Rausdorfa* wzajemną zapała się miłością, i która za pomocą starego *Wajdeloty Lutasa* przez podziemne lochy zamkowe, wiodące aż do brzegów Niemna, szczęśliwą ułatwia mu ucieczkę. Wprawdzie *Lutas* każe przysięgać młodzieńcowi, że tajemnicy tych lochów nie zdradzi, ale gdy zebrana Krzyżacka Kapituła nową wyprawę przeciw Litwinom uchwala,

Rausdorfa dla tego właśnie mianują dowódcą oddziału, że wiadomemi podziemiami najłatwiéj swoich do zamku Pullen doprowadzi. Szlachetna myśl młodziana wzdryga się na takie żądane odeń wiarołomstwo, jednak przeważa myśl o *Egli*. *Egle* tymczasem przez nieubłaganą *Marti*, wybrana zostaje na zastąpienie *Rausdorfa*. *Margier*, jak drugi *Agamemnon*, sam córkę swoję chciwemu ludzkiéj krwi bóstwu poświęcić postanawia.

Ale w tém przed murami Pullen ukazują się Niemcy, sroży się bitwa, Litwini się cofają. Za wałami zamku, we wszystkie środki obrony obficie opatrzeni, uważają się już za bezpiecznych; gdy *Rausdorf* swoich tajną drożyną do wnętrza doprowadza. Krzyżacy sieją mord i pożogę, gwałcą i rabują, lecz *Rausdorf* jednéj tylko szuka *Egli*. Znajduje ją uwięzioną, a jednak miłość Litwy przemaga w jéj sercu miłość kochanka, odpycha go od siebie, i dopiéro zemdloną, bezprzytomną, wniesioną zostaje do pobliskiéj łodzi, zkąd ją Niemiec do kraju wrogów ma zapędzić. A prorokini *Marti* okropne ma widzenie: żadnego już ratunku dla Litwy, oprócz śmierci! Więc *Margier* ostrzy topor, i sam jednego po drugim swą załogę trupami kładzie przed świętym ołtarzem, późniéj zwraca oczy ku Niemnu, postrzega rycerza który mu córkę uwozi, i dwiema z pewnego łuku wypuszczonemi strzałami przebija serca nieszczęśliwych kochanków. Potém:

szerokim mieczem własną pierś przeszywa;
Oczy wlepił w niebiosa i trupem się ściele.
Skonał ostatni Litwin na bratnim popiele!

Chyba mimowolnie w téj, jakkolwiek przebieżnie skreślonéj treści, opuściliśmy jaki rys charakterystyczny, jaki wypadek do wyświetlenia całości skutecznie przyłożyć się

mogący. Jednakże wyznajemy, że treść ta wygląda więcéj na treść piérwszego lepszego z początku bieżącego stulecia romansu, jak na poemat historyczny. Wszelkie podobieństwo z utworami innych wieszczów na wstępie wspomnianemi, nie zatarło pierwotnéj wady założenia: *Margier* nie jest *Margierem*, ale jest *Rausdorfem* i *Eglą*, czyli nieszczęśliwą miłością dwojga czułych kochanków. Sama postać *Margiera* stoi na drugim planie, a i tu jeszcze charakter jego w tak niewyraźnych i chwiejących się oddany zarysach, tak nie wygląda na pogańskiego bohatera, który w walce za bogów poświęca siebie, lud swój i rodzinę, że jeżeli istotnie prócz owéj miłości inna jeszcze myśl jaka przewodniczyła poecie, była nią chyba obrona zamku Pullen, którą to myśl, jak się również z przedmowy dowiadujemy, nasunęła mu p. *Paulina Wilkońska*, nie zaś uosobienie téj obrony w jednéj figurze typowéj. Cała rodzima siła książęcia Litewskiego zamyka się w scenie morderczéj; zresztą, ani płaczliwe jego usposobienie, nie wzrusza, ani pogańskie niedowiarstwo nie pociąga szczególnym urokiem filozofii: sama przesada idyllicznego kolorytu, rozlanego tak po *Margierze*, jak i po reszcie otaczających go postaci, przeszkadza wrażeniu, jakie podobnie czułe bohaterstwo przy innych towarzyszących danych może w nas by wywołało.

W saméj rzeczy przedmiot był wielki i piękny: chrystjanizm i pogaństwo w zajadłéj pomiędzy sobą walce, to nie dwie narodowości odrębne, którym brak szczęśliwszéj tylko chwili, by z wrogów w bratnich się zmienić sprzymierzeńców: wiara religijna tkwi głębiéj od sympatji miejscowości, od przywiązania szczepowego. Ogólna strona ludzka głośniéj tu brzmiewa w sercach nieokrzesanego tłumu, od strony dopiéro egoistycznie coraz bardziéj wytężającéj się:

od narodowéj. Dla tego poeta, któryby dobrze pojął znaczenie takiéj walki, nigdyby jéj nie zniżył do prostéj kwestji zdobywczéj, a w takim razie, jakież dla niego pole do wyprowadzenia nam przed oczy całéj przeszłości Litwy, wszystkich jéj pojęć umysłowych i zewnętrznych oznak, wszystkich odcieni szczegółowych charakterów, jakie na walkę podobną wpłynąć potrafiły! Natomiast tutaj widzimy wodza litewskiego, który w sobie nietylko zapału pogaństwa nie odbija, ale owszem podobniejszy raczéj do staréj daty polskiego szlachcica, w sentymentalnych swych napadach w sprzeczności staje z własną rolą: widzimy Wajdelótę Lutasa, który przedsiębierze niszczyć a ocala; który nawet uznaje cudzego Boga, skoro przysięgać nań każe. Zkąd inąd ten Wajdelota, dzielny starzec, ujmie pewną tajemniczością swéj postaci; najwydatniejszą wszakże ze wszystkich litewskich figur jest stara sybilla *Marti*, jedyna prawdziwa poganka, ztąd jedyne w téj powieści zjawisko oryginalne i typowe.

Szczęśliwiéj udało się autorowi odmalować Krzyżaków i pojedyncze z pomiędzy nich odznaczone bardziéj charaktery. Sam wielki mistrz i główni komturowie utrafieni z prawdą w kolorycie, z prawdą w każdym szczególe dziejowym; scena z poselstwem polskiém wykazuje wysoki talent w oddaniu tęgiego polskiego wojownika, jakkolwiek życzylibyśmy sobie widziéć przeprowadzoną konsekwencją tego poselstwa w sposób bardziéj z logicznym związkiem całości zgodny, w sposób rozmiarom téj całości więcéj odpowiedni.

Powiedzieliśmy już, że Rausdorf i Egle, to według nas główne osoby tego poematu. Piérwsza z nich istotnie uchwycona z talentem, wyobraża duszę ognistą i szlachetną; druga, religję swoją gotowa poświęcić dla miłości, nie pozba-

wia się jednak więzów, jakie łączą ją z krajem i rodziną. W podobnych czysto sercowych obrazach p. Syrokomla zawsze jest mistrzem.

W saméj rzeczy poznanie się kochanków obojga, ocalenie Rausdorfa przez Eglę, ich rozmowa w więzieniu i ucieczka, to światłe punkta w téj jak na gawędę nieco przydługiéj, bo monotonnością swoją nieraz nużącéj gawędzie. Oprócz tego odznaczają się jeszcze ustępy modlitwy obu wojak przed bitwą, kazanie, opis śmierci Lutasa, który to mianowicie ostatni, jako w sobie samym nie wielą wierszami skończony, obok wymienionych uchybień stanowić może próbę energicznego i ożywionego stylu p. Syrokomli, który, gdyby ciągle na jednéj utrzymywany wysokości, z tego poematu wojennego, równie jak z innych erotycznych lub z szlacheckich powieści, byłby uczynił zajmujący i prawdziwie zaletny utwór naszego piśmiennictwa.

Kończąc z umysłu obecne sprawozdanie wskazaniem stosunkowo szczupłéj, korzystniejszéj, bo malowniczéj przynajmniéj strony poematu, chcieliśmy przedewszystkiém uniknąć powtórnego popadnięcia w porozumienie stronniczych jakich uprzedzeń, o jakie już niesłusznie przed niedawnym czasem p. Adam Pług nas posądził, i powtarzamy, że bynajmniéj krytyka zdaniem naszém nie polega na jednostronném wynajdywaniu wad i usterków, że owszem i dobrą także część całości, choćby z wysileniem nawet wydobyć na jaw należy, lecz że im autor rozbieranego dzieła znakomitszéj i rozgłośniejszéj już używa sławy, tém surowiéj zapatrywać się należy na zboczenia jego, jako przynoszące uszczerbek jemu samemu, ogółowi czytelników i całemu na przyszłość piśmiennictwu. Nic tu nie stanowi, że P. Syrokomla sam Margiera za najlepszy ze swoich utworów uważa; dzieli on

podobną słabość z wieloma znakomitymi różnych czasów i narodów pisarzami, którzy częstokroć o własnych dziełach najfałszywsze objawiali zdanie: dość przytoczyć *Wiktora Hugo*, który potwornych Burgrawów za najlepszy ocenił płód swéj muzy dramatycznéj. Zresztą dosyć częste i nieszczęśliwe potykanie się w formie, którą zwykle tak znakomicie włada Syrokomla, dostatecznie dowodzi, że to podrobione było natchnienie, w którém autor utworzył Margiera, wywołanego pobudką zewnętrzną; szukania przedmiotu na poemat, choćby usposobieniem własnego talentu niezgodnego. Te usterki formy, już to w budowie samego wiersza (monotonnych trzynastozgłoskowych aleksandrynów), już też w niewłaściwych i nieczystych rymach (jak np. posłyszycie, bicie,—najżywszy, poślubiwszy, — życzę, zbrodnicze,— znakomitą, wyryto, i t. p.), już nakoniec w zwyczajnych grzechach językowych (jak np. na strzesie zam. strzésze, 7 przyp. wyrazu: strzecha,—serce kobiécie zam. kobiéce,— płomyk sini, zam. siny, — kapłani starszy, zam. starsi i t. p.) wiele jeszcze ujmują i tak już niezbyt obfitemu wdziękowi tego poematu.

Z upragnieniem tedy czekamy innéj jakiéj, choćby w większym nawet rozmiarze pracy p. Syrokomli, byleby ta obracała się w ramach właściwych, nie zapuszczała w malowanie epoki, któréj ducha zgłębić wprawdzie można przez intuicją, ale któréj zewnętrznych oznak samą tylko siłą woli odgadnąć niepodobna.

Piękność wydania (druk Brejtkopfa i Hartla w Lipsku) przynosi zaszczyt staranności księgarni nakładowéj, jakkolwiek sądzimy, że i w Petersburgu, w Warszawie i Wilnie podobnie czyste odbicie z niejednéj wyjść by mogło officyny.

POWIEŚCI POETYCZNE

SEWERYNY Z ŻOCHOWSKICH PRUSZAKOWÉJ.

(Cztery tomiki. Warszawa. Nakładem W. Rafalskiego, 1855 roku).

Powieści poetyczne! Niedawnoż to ten rodzaj, przynajmniéj na większą skalę, w literaturze naszéj się pojawił, a tak dziwnie widać przypadł do usposobienia u nas czytających i piszących, że pierwsi z coraz to większém zamiłowaniem garną się do każdego wychodzącego w tym gatunku utworu; ostatni całą swą wenę poetycką w tę stronę działalności najradziéj obracają. Zastanówmy się tedy na chwilę, czyli na takim zwrocie w dzisiejszém pojęciu artystyczném, samo piśmiennictwo istotnie zyskuje jaki skuteczny do wewnętrznego rozwoju swego przyczynek, czyli przezeń rozprzestrzenia się zrozumienie piękności, czyli nakoniec myśl dzisiejsza wiernego znajduje w nim przedstawiciela? Jako bowiem z jednéj strony liryczność najniższym wydaje się szczeblem czynności poetycznéj, a w stosunku do niéj nierównie wyższe zajmuje miejsce epopeja, tak rodzaj między niémi pośredni, sam w sobie niezaokrąglony, ale ra-

czéj z liryzmu zaczerpujący powszedniejszych namiętności, z epiki formy, a po części nawet i treści, hermafrodycznem swojém jestestwem zbyt łatwo podpada wadzie mniéj stanowczego ustalenia, mniéj wydatnych, a jednak zbyt szczupłych granic.

Wprawdzie, mimowolnie już do miana takiéj powieści poetycznéj, albo, jak ją powszechniéj nazywają: *Gawędy*, starano się przywiązać jakoby oddzielne zupełnie znaczenie, które poniekąd odróżnić się miało od *Ballady* albo *Dumy*. I tak naprzykład: *Gawęda*, pole swego działania obiéra prawie wyłącznie w drugiéj połowie zeszłego stulecia; przedmiotem jéj zwykłym kontuszowość, albo przynajmniéj walka podgolonéj czupryny z peruką, a w sprzeczności z dawniejszemi, nieraz poetycznemi opisami przeszłości, które wysilały się na przedstawienie jéj strony najujemniejszéj: *Gawęda* owszem wykazuje stronę dodatnią i stary obyczaj praojcowski w całym blasku czystych cnót wyobraża. Cóż dziwnego, że tak uchwycona przeszłość do serca nam przemawia, i że oparta na niéj Gawęda w tak krótkim czasie, tak wielkiéj dostąpiła popularności? Ależ ta Gawęda, która się poczęła z Soplicy i którą rozprzestrzenił autor *Winnickiego*, więcéj może od wszystkich innych rodzajów poetycznych wystawioną bywa na pewne rozwodnienie, dla tego właśnie, że jéj zakres tyle jest ograniczony; że jéj figury obowiązkowo tak są wiecznie jednakowe, albo przynajmniéj do siebie podobne. Zawsze to i koniecznie stary Stolnik, albo Cześnik przy kominku pokręca siwego wąsa i z zapałem unosi się nad tém wszystkiém co było, i gdera na to wszystko, co jest teraz. Zawsze poważna matrona w milczeniu znosi kaprysy swojego mężulka, który po prostu mówiąc jest sobie ni mniéj ni więcéj, nieznośnym tyranem domowym.

Zawsze młodzieniec dziarski i dziewica wstydliwa, zawsze Kapuletowskie niezgody, albo idylliczne sąsiedztwa; a im obrobienie jest gładsze, im wątek wysnuty porządniéj i logiczniéj, tém mniéj taka Gawęda wygląda na utwór poetyczny, tém bardziéj wydaje się tylko powiastką lub nowellą, bez wewnętrznéj konieczności, i tylko dla dziwnego jakiegoś zachcenia w szaty rymu przybraną. Po Wincentym Polu, najwięcéj może tylko Władysław Syrokomla w swoim Dęborogu i innych pomniejszych Gawędach, tak niebezpiecznego szkopułu szczęśliwie uchronił się. Już i on w Margierze i inni gawędopisarze (których liczba jest legionem), obdarzyli nas wierszowaną prozą, pociesznym czasem obrazkiem, ale zawsze rzeczywistością idealną wprawdzie, a jednak nieidealizowaną. Przecież rzecz najidealniejsza nie będzie poetyczną, tylko chyba mieć będzie cechy dobrodusznéj idylli lub zmyślenia, jeżeli ów ideał nie zrośnie się z *pojęciem* piękności, ale raczéj potrącać będzie o jakieś cele dydaktyczne. Indywidualność poetyczna, gorące uczucie, zapał dla wzniosłych końców człowieczeństwa, nieraz wprawdzie podnoszą tam, gdzie powszednia realność ściąga umysł w głębokość prozy; ale kto wie, czy ztąd znowu inne nie grozi niebezpieczeństwo? czy się z takiéj idylli codziennego życia nie wyrodzi idylla utopii, któréj postacie ani w żywą krew i ciało, ani w blask niebiańskiego światła nie są obleczone?

Otóż i te *Powieści poetyczne* pani *Pruszakowéj* nie utrzymały się wolnemi od zarzutu, z jakim już nasyceni, już i przesyceni przeciwko całemu rodzajowi Gawędy wystąpić nie wahamy się. A jakkolwiek we wszystkich tych powieściach autorka umie poruszać strunę sympatyczną, jakkolwiek serdeczna miłość piękna i dobra (co razem Grecy nazywali prawdą) w licznych jaśnieje ustępach, co wszystko sa-

méj poetce poczytujemy za zasługę, jednak nieszczęśliwą wadliwość gatunkowa niejednokrotne budzi w nas pytanie: dla czego te powieści zowią się poetycznemi? dla czego te obrazki wiązaną mową zostały przedstawione?

Zaraz pierwsza naprzykład, pod tytułem: *Dwa Dwory*, to poczciwy opis pożycia dwoch poczciwych rodzin. Sędzia i Major, Sędzina i Majorowa, dzieci swoje wychowują w bojaźni Boga i w miłości ludzi, a nawet cały ten rozdział opisujący poranne lata tych dzieci, wybornie udatnym byłby ustępem w książce młodemu wiekowi poświęconéj, bo i przypomina i przewyższa nawet najlepsze w tym rodzaju utwory zasłużonego naszego Jachowicza. Późniéj, gdy umierają rodzice, dwie sieroty: Stanisław i Halina, każde ze swojéj strony, przez różną jeszcze przechodzą pokusę, ale przechodzą zwycięzko i szybkim krokiem zdążają do ostatecznego celu, do małżeństwa. W *Zagrodzie Wiejskiéj*, zacny pan Stolnik, stary kawaler, synowca swego Marcina gwałtem prowadzi na żeniaczkę; ale burza, co ich w pół drogi napada, niespodzianie otwiera im podwoje szlacheckiéj zagrody, w któréj przemieszkuje kochanka lat młodych Stolnika, dziś babka Maryni, która panu Marcinowi lepiéj przypada do smaku od przeznaczonéj dlań od stryja bogdanki, z którą tedy szczęśliwie zawięzuje węzeł małżeński, wprawdzie następnie przez jego udział w wojnie (zkąd wraca kaleką bez ręki), chwilowo rozerwany, ale późniéj pomyślnie już i bez dalszéj przerwy dociągnięty aż do końca. Trzecia znowu powieść: *Powiśle*, to bardziéj już dramatyczna walka dwóch żywiołów, o których również na wstępie nadmieniliśmy, że obowiązkowo zwykły stanowić treść podobnego rodzaju utworów. W rodzinie to starego Żupnika istnieje taki rozdział, gdy syn jego młodszy, pan Cześnik, pozostał wierny

tradycjom przeszłości, a starszy syn, pan Szambelan, ulegający zachceniom żony, cudzoziemczyznę zaprowadza w stroju, cudzoziemczyznę w pałacu i w nieoględném gospodarstwie. Kara nie daje długo na się czekać; panią Szambelanową odjeżdża modny adorator Zeon, —córką jéj Kamillą, gardzi ubóstwiany przez nią *Janusz*, który affekta swoje zwraca raczéj ku Jadwidze, skromnéj córce Cześnika. — Czwarta z kolei i ostatnia, a tu poraz piérwszy drukiem ogłoszona powieść, p. t. *Córka Wdowy*, to wyidealizowane sercowe dzieje dwojga kochanków, dwojga wieszczów, ze wszystkich może znaczeniem najgłębsza, najwyższa wartością poetyczną.

W ogóle tedy nie przeczymy, że te poezje pani Pruszakowéj słabują na epidemię czasu, że w nich nieraz prostota przechodzi w pospolitość, a uczucie w deklamację. *Bo i jakżeż* może być inaczéj? Powtarzające się w danym obrębie jedne i też same obrazy, choeiażby z największém wysileniem talentu oddane, stają się najprzód monotonne, późniéj ckliwe, a w końcu nawet, przy mniéj sprzyjających okolicznościach, niesmaczne albo płaskie. Ale powtarzamy, że podobna wada, jeżeli od czasu do czasu w utworach autorki pojawia się, nie jest bynajmniéj wadą jéj talentu, że nie wypływa z niéj saméj, i że tylko niedosyć silnie sobą zawładnęła, by wszystkiemi poetycznego umysłu swego właściwościami, zrównoważyć niedostatki obranéj przez się działalności. Na tém traci wprawdzie w znacznéj części moc owego talentu, traci przedmiot, traci żywotność poetyczna; a jednak pozostało się tu tyle jeszcze szczegółów prawdziwie pięknych, tyle rodziméj świeżości i wdzięku, że grzechem byłoby nie uznać tych zalet i zasłużonego nie od-

dać im przed wieloma równorodnemi utworami pierwszeństwa.

I tak np., gdy się bliżéj nieco nad charakterami zastanowić zechcemy, z których p. Pruszakowa tło w krótkości wymienionych powyżéj wydarzeń wysnowała, znajdziemy bardzo naturalném, że charaktery kobiéce wystawione są przez nią z większą nierównie prawdą, z głębszą serca intuicją, z szczerém zamiłowaniem. A wiadomo wszystkim, jaka to zawsze trudność dla najlepszych nawet naszych pisarzy, te kobiéce charaktery! Tu autorka umiała nawet każdéj, choć w jednakich niemal okolicznościach występującéj na scenę figurze kobiécéj, nadać cechę główną odrębną, fizjognomję najmocniéj odgraniczoną i do drugiéj nie podobną. *Halka* w *Dworach*, *Jadwiga* i *Kamilla* w *Powiślu.*, to bez wątpienia umysły swojskie, serca rodzime, a jednak każda z nich na jak odległych od siebie drogach do jednakowego zdążają celu! Nawet pierwotne zboczenia Kamilli, nawet winy jéj matki, Malwiny, wszystko wysoką tchnie prawdą i naturą. Jedna tylko Marja, córka wdowy, charakter od kolébki idealniéj utrzymany, na obraz niewidomego Jerzego pod ciężarem poetycznego przekleństwa przytłoczony, to wprawdzie mniéj wydatna rzeczywistość, ale nie mniejsza logiczność, konsekwetnosć cierpień. Z poważnych matron najszczęśliwiéj udała się autorce naszéj *Babka* w *Zagrodzie wiejskiéj*, postać bez skazy typowa, wierny wizerunek dobréj przeszłości. Figury męskie nie z tyle po myślnym skutkiem na widownie występują. Wprawdzie starców, którym deklamacja zastępuje nieraz wspomnienia, a gderactwo moc i prawdę starców, jeszczebyśmy może uznali za naturalnych przedstawicieli w swym rodzaju (jakiemi np. są: *Stolnik* w *Zagrodzie Wiejskiéj* a *Żupnik w Powiślu*); ale wła-

ściwych bohaterów swych powieści, młodzieńców siły i czynu, generację przyszłości raczéj niżli teraźniejszą, zbyt słabo oddaje p. Pruszakowa. Tutaj podobno najwięcéj razi nas owa jednostajność, nad którą poprzednio utyskiwaliśmy, a która przy zgrzybiałych wyobrazicielach przeszłości mniéj jeszcze ckliwą się wydaje. Stanisław (w dwóch Dworach; Marcin (w Zagrodzie); Janusz (w Powiślu), to więcéj niż rodzeni bracia, to nieżywe trzy portrety jednego, niezbyt nawet żywego oryginału, a portrety, nie zdjęte samodzielnie, ale kopiowane jeden z drugiego, z małym tylko dla odróżnienia dodatkiem okoliczności zewnętrznych, jakby przypadkowych. Rzekłbyś czasem, że to marjonetki, które po nakręceniu sprężyny mówią, przechadzają i poruszają się, wszystko według zasady obliczonéj, w proporcjach oddawna ci znajomych; tam każdy effekt przewidziany z początku, każda burza i wichura, a jest ich tam nie mało, którym na tok powieści wpływ jakiś wywrzeć przeznaczono.

Samemu wprawdzie opowiadaniu p. Pruszakowéj nie brak żywotnéj barwy i szybkiego postępu, do któréj to zalety zapewne nie mało także przyczynia się umiejętne unikanie wszelkiéj sentencjonalności, w którą tak łatwo wpadają umysły mniéj poetyczne, a która łatwiéj jeszcze zamienia się w powszednią płaskość. Za to opisy miejscowości, lubowanie się idylicznym spokojem, dochodzą możliwych granic, a moglibyśmy w téj mierze liczne przytoczyć ustępy, gdybyśmy raz na zawsze podobnych cytacji ile możności nie wystrzegali się, cytacji podobnych do owéj np. prześlicznéj apostrofy do kominka:

Święty płomyku! co podniecany
Ręką bez skazy, domowe ściany

Rozjaśniasz wiecznie, świadku milczący
Wspólnéj miłości, modły gorącéj
Pobożnych czynów, poczciwéj wiary,
Milczący świadku powieści staréj,
Co krążąc zwolna, cicho a stale,
Wieków spowiada radość i żale!
Co na dnie mieści cenniejszy złota
Skarb, bo odwieczną prawdę żywota!
Ogniu domowy! Tyś onym Zniczem
Co niegdyś blaskiem lśnił tajemniczym
Na chwałę bóstwa: ty dziś pod strzechy
Ubogie, siejesz promień pociechy!

W ogóle wysoka moralność, rozlana po wszystkich tych powieściach, tkliwość obrazów, rzewność uczuć, czynią z nich jednę z najzacniejszych ozdób naszéj teraźniejszéj literatury kobiécéj i autorkę, umiejącą tak dobrze uchronić się od niebezpieczeństw wdzierania się w dziedziny transcendentalne, o które niejedna już u nas sława damska na drobne kawałki się rozprysła, stawiają w rzędzie celniejszych w tym rodzaju pisarek, najdokładniejsze dając wyobrażenie o jéj ogólno etyczném stanowisku. Z tą czystością pojęć zostaje również w zgodzie poprawność i czystość formy, jednę z najważniejszych zalet w utworach tych stanowiące, chociaż może to właśnie ta zaleta jednocześnie najbardziéj do owéj przesytem grożącéj jednotonności się przyczynia. Wiersz w dwóch piérwszych powieściach dziesięcio-, w trzeciéj dwunasto-, a w czwartéj jedenasto-zgłoskowy, wiersz nigdy nie przeplatany, wystrzegający się rymu męzkiego jakby ognia, wiersz taki w jednakim spadku i bez żadnéj, by najlżejszéj odmiany powtarzający się przeszło dziesięć tysięcy razy: wyznajmy, że znuży najprzychylniéj nawet usposobionego czytelnika, a znużenie to tak jest wielkie, że serdecznie nas

radowały zbyt rzadkie w tymże wierszu usterki, może proste pomyłki druku, na których przecież tu i owdzie można było zatrzymać się i wytchnąć.

Jeżeliśmy w niniejszych uwagach przekonanie nasze w zbyt otwartych może wypowiedzieli wyrazach, nie chcieliśmy niemi udowodnić nic innego, jak tylko szczere współczucie dla poetki, która od razu prawie tyle zaszczytne potrafiła sobie wywalczyć znaczenie, zwłaszcza, że nie potrzebowaliśmy się już obawiać zrażenia jéj i zatrzymania na tak zaszczytnie rozpoczętéj drodze, lecz raczéj szczerze wytknąć jéj mogliśmy te wady, które nie własnemu jéj talentowi, ale rodzajowi utworów przez nią obranemu zarzucić umyśliliśmy. W *Córce Wdowy*, mniéj pod ową jednostajnością układu jęczącéj, talent ten rozwija się swobodniéj, samodzielniéj; wyrywając nas z przymusowego kolorytu, zyskuje większą pewność rysunku, a mianowicie *téż* większą siłę uczuciową. Kto wié, czyli nawet w sercowéj dramie pani Pruszakowa nie znalazłaby dla siebie formy, swemu talentowi odpowiedniéj? To tylko wątpliwości nie ulega, że dotąd jeszcze szuka, ale szuka z prawdziwą miłością prawdy, skromnie i bez przechwałki, a co znajdzie i dźwięcznym głosem nam wyśpiewywa, to obok wewnętrznéj niezaprzeczonéj wartości, dla nas stanowi fazę, przez którą ta, zdaniem naszém do świetniejszych jeszcze przeznaczeń szybko naprzód dążąca autorka, choć chwilowo i bezpowrotnie przechodzi.

PRZEGLĄD
DZIEJÓW LITERATURY POWSZECHNÉJ;

NAPISAŁ

LUCJAN SIEMIEŃSKI.

(Tom 1. Kraków. Nakładem autora; 1855 r.)

Starożytną tylko wprawdzie literaturę podaje nam w tym piérwszym tomie swego dzieła pan *Siemieński*, ale ten zakres pracy zaprawdę dosyć jest ważny, i w naszém zwłaszcza piśmiennictwie dość wielką nowością, byśmy skwapliwie zabrali się do ocenienia tego znakomitego utworu pisarza, który dotąd jaśniał tylko płodami własnéj wyobraźni i który z wdzięcznego pola wykonawcy zstąpił obecnie na niemniéj żyzny, ale tysiącznemi i najróżnorodniejszemi trudnościami nastrzępiony obszar teoretyka.

Wprawdzie historja literatury sama przez się nie jest bynajmniéj teorją twórczości umysłowéj, a ktoby do dziejów rozwoju téj twórczości przystąpić zamierzył z szematem już gotowym, ktoby do uprzedniego o niéj pojęcia, przyłożyć postanowił całą massę wyobrażeń, prawdy i fałszu, wdzięku i brzydoty, któremi ta bujna literatura powszechna w tylolicznych kierunkach bywa przerzynaną, ten nieuchronnie

zachwiałby się na samym węgle swéj podstawy, ten nieubłaganą ciągniony koniecznością, tonąłby coraz głębiéj w mimowolnéj sprzeczności; — zarówno jak historyk, któryby uwierzywszy szczegółowym utopiom historjozoficznym, pod jedno niezłomne prawidło, pod jednę myśl intujcyjnie wydobytą, cały ogrom przebiegu dziejów ludzkich podciągnąć usiłował.

Nie jesteśmy zaprawdę przeciwnikami syntezy w filozofji owszem sądzimy, że dążność do téj syntezy jedynie uspasabia nas do wielkich, do szczytnych nawet rezultatów. Ale chcielibyśmy przedewszystkiém, by częstokroć mniemana synteza nie zapędzała nas w nieszczęsny labirynt osobistych uprzedzeń, grzesznego zarozumienia, lub stronniczych uniesień. Podług téj jednéj syntezy chcieć wykrzykiwać objawy działalności umysłowéj w polityce i literaturze, byłoby to ścieśniać granicę téj działalności, byłoby to podkopać jéj znaczenie, lub nadać jej inne, nieprawdziwe, dla celów egotycznych jakiego stronnictwa albo szkoły. A przedewszystkiém zgodzimy się tutaj na pojęcie autora, pod względem objemu historji literatury w ogólności, a w szczególe niniejszéj jego pracy. „Wyłączyłem z niéj wszystko to, mówi, co podrzędną gra rolę w literaturze i to co się odnosi do nauk matematycznych, lekarskich, przyrodnich, prawnych; filozofja jednakże, aczkolwiek należąca do umiejętności ścisłych, podobnie jak historja, wchodzi w mój obręb: a to z prostéj przyczyny, że jak w jednéj, tak w drugiéj istnieją dzieła, mające nietylko wysoką estetyczną wartość, ale i naznaczone przeważnym wpływem tak w dziejach piśmiennictwa, jak i kultury.” Wynika ztąd, że p. *Siemieński*, równie jak i najznakomitsi pisarze historji literackiéj, pod nią rozumié nadewszystko historję sztuki pięknéj, w słowie objawia-

jącéj się, czyli krócéj mówiąc: historję poezji. Ta zaś historja, która nie jest bynajmniéj chronologicznym prądem strumienia piękności, którą raczéj nazwać by można psychologiczną historją człowieczeństwa, dziejami, zamiast zewnętrznych wydarzeń, opisującemi stan jego wewnętrzny, duszne jego usposobienie, mogłażby zostać pojętą, gdyby wyrwaną była z otaczającego ją szeregu wypadków światowych, na których przebieg i ona z swéj strony przeważnie i zwycięzko oddziaływa?

Autor książki dziś przez nas ocenianéj nie przyznaje się do takiego stanowiska. Swój wykład historji literatury powszechnéj, a zatém historji poezji, uważa jako skutek potrzeby odparcia najzdrożniejszych teorji i sposobów widzenia, rozpowszechnionych przez książki racjonalistów niemieckich, obrabiających dzieje literatury powszechnéj. Przystępuje tedy do swojéj pracy, do poglądu na boskie piękno ideału (boskie zawsze i wszędzie, kiedykolwiek i gdziekolwiekby się ono objawiło), nie z umysłem oczyszczonym od kału ziemskich domięszań, ale przyćmionym wyobrażeniami czasu, z okiem zamgloném wybrykami stronniczości, z duchem upadającym pod ciężarem najśmiertelniejszego grzechu, grzechu przeciwko twórczéj piękności i najcelniejszym jego objawom. Ani ci racjonaliści, których do walki wyzywa, ani ultramontańscy rycerze, nieznaleźliby dla siebie właściwego pola w historji literatury, w umysłowych zabytkach minionego czasu. W saméj rzeczy, pocóż spokojne zapatrywanie się na ten jedyny węzeł, łączący między sobą wszystkie czasy i wszystkie narody, na skarb jedyny, do przechowania którego wszyscy jednako solidarnie czujemy się obowiązani, po cóż tak szczytne zadanie niweczyć tarzając je w pyle stronniczéj namiętności? namiętności tém bardziéj ziemskiéj

i nieświętéj, im świętsze jest źródło, z którego jakoby początek swój wywieść usiłuje. Dla tego téż wyznajemy, że niemiłe na nas wrażenie sprawiły w samym zaraz wstępie i w piérwszych rozdziałach kilkakrotnie powtarzane cytacje z hrabiego Józ. de Maistre, gdyż one dawały nam miarę polemicznego ducha, którym autor przejęty do wykonania pracy swojéj przystępuje. Hr. de Maistre, bez wątpienia jedna z najdowcipniejszych głów naszego wieku, nauki niesłychanie rozległéj, myśliciel głęboki i poważny, dziwną posiadał tajemnicę nadawania téj najpoważniejszéj myśli, chociażby nawet i prawdziwéj, pozorów igraszki dowcipu, zwykłego parodoxu. Obrońca św. inkwizycji hiszpańskiéj, zwolennik jezuickiéj kazuistyki, nie powinien on służyć za przewodniczące światło w dziedzinie historycznéj; ostrze jego wszystko rozkładającego skalpelu, nie powinno zostać podstawą, na któréj cała budowa wielostronnéj ludzkiéj działalności się opiéra. Hr. de Maistre ze swojego ultramontańskiego stanowiska, równie jak niemiecki historyk *Henryk Leo*, ze swego staroprotestanckiego mistycyzmu, schodzą się w jednym końcu i tém najlepiéj stwierdzają, iż nie szło im bynajmniéj o dopięcie swych celów szczegółowych, na pokaz ułożonych, ale że gwałtem ich dążeniem było strącenie człowieka w przepaścistą nieświadomość, że było niém odebranie mu wszelkiéj moralnéj wartości i zasługi, bo wszelkiéj swobody ducha, wszelkiéj samoistnéj i na podaniu nie opierającéj się twórczości.

Naturalném następstwem tak bezwarunkowo i z góry powziętego uprzedzenia, p. Siemieński umysłową czynność wschodu stawia o wiele wyżéj nad pogański zachód, nad Hellenów i Rzymian. Słuszny, ale łatwo przesadzić się dający wzgląd dla poezji hebrajskiéj, téj najszerszéj podstawy

chrystjanizmu, widocznie bałamuci go. Boć trudno temu zaprzeczyć, że z kolébki rodu ludzkiego, ze wschodu, piérwsza zstąpiła na świat poezja, ale odziana jeszcze w szatę dziecinną, świecącą powierzchowną pstrocizną i charakterystycznego pozbawiona związku, tak, że biegły nawet pędzel ledwie w kilku zarysach zdoła ściśléj główne jéj odznaczyć postacie. Ztąd poezja wschodnia, nie wyłączając nawet hebrajskiéj świętéj, choruje na pewną rozwlekłość, na rozdętą grę wyobrażeń, w któréj allegorja zastępuje brak charakterystyki, na oschłą zewnętrzność, z któréj równie jak u dzieci, raczéj fantazja przemawia niż uczucie; i gdzie, jakby czarodziejską sztuką lub złudzeniem optyczném, niezliczone mnóstwo obrazów w niepowiązanym ciągu przed naszemi oczyma się przesuwa.

Tak fantastyczny orszak scen i postaci, Grecy dopiéro ujęli w surowe prawidła gracji i harmonji. Poezja grecka stanęła w pośrodku pomiędzy fantasmagorjami Indów i liryczną muzykalnością Hebrajczyków; w poezji greckiéj, utwór wyobraźni przemienia się w charakter, ze wszystkiemi swemi właściwościami najdobitniéj oddany, w życie ściśle indywidualne, w osobę prawdziwą i wewnętrzną.

Gdyby p. *Siemieński* w dziele swojém z umysłu nie wypierał się wszelkiéj podstawy historycznéj, gdyby badanie dokładnie naukowe nie było dla niego niebezpieczną herezją, gdyby chronologja nie wydawała się jemu, na wiarę de Maistre'a „stekiem pęcherzy nadętych wiatrem" powiedzielibyśmy, że źle uczynił, iż odstępując od przyjętego w dziejach literatury powszechnéj zwyczaju, dającego zazwyczaj przodek Chinom lub Indjom, rozpoczął swoją pracę od literatury hebrajskiéj, czyli świętéj. „Sama zasada wiary naszéj, mówi, nakazuje dzieło boskie odłączyć od

dzieł ludzkich.” Panteistyczném nazywa pojęcie, podług którego rozmaite religje uważane są za konieczny wyraz rozwijającéj się postępowo ludzkości; panteistyczném zrównanie utworów umysłowych, w obec jednego wielkiego motora: bezpośredniéj genjalności. Windykując tę dla jednego literackiego kierunku wyłączność boskiego powstania, czyliż nie gotów może wszelkie inne uczynić zależnemi od początków wprost przeciwnych, tak jak *Leo*, mniéj niżby pragnął teokratyczną formę organizacji państwa Ateńskiego, nazywa wynikiem czarnego pryncypium w historji i djabelską? Sądzimy zaprawdę, że zabytki literackie ludu izraelskiego wskroś przesiąkły mądrością innych narodów wschodnich, dawniejszych, albo przynajmniéj dłużéj w spółeczność zawiązanych; że tedy zadaniem godném stojącego na chrześciańskiéj podstawie historyka literatury, byłoby raczéj, iżby każdy szczegół na właściwe mu sprowadził miejsce i źródło, iżby wykazał dowodnie: ile z nich prawdy i zasługi dawniejszym należało się wiekom? innym pokoleniom? Zaczynać literaturę starożytną Wschodu od Judei, która dobrze pojęta, bardziéj powinna być jéj uwieńczeniem, jest to wypierać się dla niéj wszelkich wpływów indyjskich i egipskich, które raz widomie i jawnemi drogami, raz pośrednią ścieżką na religijne i poetyczne wykształcenie Izraelitów wywierały się. Toć wiadomą jest rzeczą, że Bóg na dokonanie najwyższych swoich cudów, najprostszego zwykł używać środka, i czyliżby naprożno natchnionego swego proroka Mojżesza umieścił w szkole egipskich kapłanów, których nauką tak dzielnie i silniéj od nich późniéj sam zawładnął? Panu Siemieńskiemu ten sposób widzenia nie przypadłby do raz powziętych zasad; u niego, co trąci objawieniem, to zszarzanoby w błocie, gdyby jakikolwiek ludzki, choć ró-

wnie duchowy, chciano w nim dopatrzyć pierwiastek. Według niego niezmierzona przepaść dzieli jedne od drugich; jak gdyby istotnie nieumiejętne, lecz wymowne jąkanie się; jak gdyby okrzyk podzięki i zachwytu, czyjąkolwiek by one cześć miały na celu, nie zostały wywołane natchnieniem Tego jednego, który różnemi kolejami, ale z równą zawsze miłością swoją ludzkość do tegoż samego ostatecznego doprowadza celu.

Autor byłby uniknął tak ważnego naszém zdaniem szkopułu, bo ściągającego nań zarzut niedokładnego zgłębienia podległéj mu massy materjałów, gdyby dziejów zewnętrznych politycznych, nie był tak zupełnie prawie wyłączył z zakresu swojéj pracy. Historja polityczna, nie żaden dogmat religijny lub filozoficzny, jedynym może być przewodnikiem na téj krętéj i nieraz przerwanéj zupełnie ścieżce badań i płodów umysłu ludzkiego; tak samo jak odwrotnie dla badacza zewnętrznych wydarzeń, Historja kultury literackiéj jest pochodnią, która mu przy niejednéj, nieprzedartéj zkądinąd ciemności dziejowéj przyświeca. W bezustanném bowiem powinowactwie, biegną obok siebie te dwie wielkie wiedzy ludzkiéj gałęzie. Historja polityczna, za przedmiot całe mająca społeczeństwo, często na różnorodnych oparta podaniach i źródłach, często w związku swoim niedostrzegalna, często w powodach i następstwach pozornym ulegająca sprzecznościom, głębokiéj i sumiennéj ze strony piszącego wymaga krytyki, surowéj bezstronności i bystrego polotu. Historja literatury sama przez się jest krytyką, bestronność jéj położoną być winna w genjuszach, któremi się zajmuje, wysoki jéj polot w tych arcydziełach, które rozbiéra.

Trudność zadania co do pierwszéj, bardziéj spoczywa

w pojęciu, co do drugiéj w wykonaniu. Gdyby się téj jedynéj drogi krytycznéj, téj drogi dziejowéj był mocniéj trzymał p. *Siemieński*, nie byłby np. wystąpił zrazu z tym jakoby pewnikiem, że słowo nie jest zdobyczą człowieka, że wyższa światłość użyczyła mu tego daru, którego duch nasz potrzebuje, aby myśl wydać, — jak oczy potrzebują światła, aby widziéć mogły. Nie byłby wówczas stanął w takiéj sprzeczności z historyczném badaniem filologji, a które jednak bynajmniéj religijnym objawieniom nie może uchodzić za przeciwne. Jeżeli bowiem bezwątpienia język jednym z najdroższych jest darów, jakie Stwórca nam udzielił, przecież trudno przypuścić, jakoby bezpośrednio w objawieniu od Boga wypłynął; równie jak bezzasadném jest wyprowadzenie mowy ludzkiéj z samego tylko naśladowania tonów w naturze istniejących. Toć za pomocą myśli dopiéro powstał język, albowiem tony, nawet uczłonkowane, *stają* się wyrazami dopiéro w stosunku do innych tonów, taki zaś stosunek jedno tylko ustanawia myślenie. Pierwsza tedy myśl utworzyła język, a za rozszerzeniem się zakresu pojęć, język ten stawał się obfitszym i w towarzyskiém zwłaszcza pożyciu zyskiwał na wykształceniu i rozmaitości: każdy nowy wynalazek, każda nowa wygoda, nastręczały konieczność nowego pojęcia i wyrazu. W przypuszczeniu p. *Siemieńskiego*, język nadany bezpośrednio od Boga, żadnego już postępu czynić nie potrzebował: jako boski, był on zrazu najdoskonalszy i dokładny. Ponieważ zaś zapewne autor zaprzeczyć nam nie zechce, że mowa służy wyłącznie na oddanie myśli, bez wątpienia również intujcjinie i bez własnego władz rozumowych przyczynienia się od Boga nam nadanych, przeto ni mniéj ni więcéj wprowadza nas w ową zardzewiałą doktrynę średniowieczn éj scholastyki, która piérwszych ludzi uwa-

żała za typy najdoskonalszéj mądrości i nauki, kiedy nawet jakieś Misterjum nas upewnia, że kwadratura koła i kamień filozoficzny najpiérwszą bywały poobiednią zabawką nowostworzonych Adama i jego połowicy.

Obraz Literatury Hebrajskiéj w szczegółach swoich odznacza się chwalebną dokładnością, o ile te szczegóły nie odnoszą się do treści czysto literackiéj, ale raczéj religijnéj i dogmatycznéj utworów. Powiedzieliśmy już, że w podobnych poglądach przesada jest zbyt łatwą, skoro w nich idzie najbardziéj o wypiętnowanie jednéj idei, lub téż o wynalezienie dla niéj stosownych podstaw i dowodów. Zapatrując się na literaturę Hebrajczyków ze stanowiska czysto-pisarskiego, to jest z jedynego prawdziwego w badaniach historyczno-literackich, do innego niż p. *Siemieński* dochodzimy rezultatu. W saméj rzeczy bowiem, cały stary testament i wszystkie po za nim będące piśmienne utwory ludu hebrajskiego, są tylko nieskończoném orzeczeniem idei monoteistycznéj, a gdyby przy tak poważnym przedmiocie wolno było pobawić się igraszką słowną, powtórzylibyśmy za niemieckim jakimś pisarzem, że: monoteizm hebrajczyków udzielił ich literaturze charakter nieprzebytéj monotonji. Nie jesteśmy bynajmniéj nieczuli na cudne piękności téj literatury, chociaż poematu o *Hiobie* niepodobna nam uważać za hebrajski, kiedy on i z ogólnego charakteru i z szczegółowych oznak widocznie arabskim jest utworem; chociaż *Pieśń nad pieśniami* Salomona utraciłaby całą wartość bezpośredniości, gdybyśmy w niéj upatrywali chłodną tylko allegorję, a nie ognisty wybryk poezji czysto erotycznéj. Ale obawiamy się, by i nas p. *Siemieński* nie uczcił mianem panteisty, którego miana nie pożałował nawet niezrównanemu Herderowi, jakkolwiek z jego „Ducha poezji hebrajskiéj" tyle

najważniejszego zaczerpnął materjału do swojego ustępu o Judei.

W rozdziale o Chińczykach, tak samo jak w następnym o Indach, napróżno szukamy obszerniejszéj wzmianki o mitologji tych ludów, bez wątpienia najznakomitszym zabytku ich płodności umysłowéj. Sama forma, którą przyobleka się spekulacja religijna, chociażby nawet i w objawieniu brała swój początek, koniecznie daje miarę literackiego ukształcenia ludowego, pojęć estetycznych mniéj lub więcéj rozwiniętych. Cóż dopiéro, jeżeli ta myśl religijna uosabia się w tysiącznych kształtach fantastycznych, jeżeli cała teogonja, kilka teogonji, jak mianowicie w Indjach, świadczą o bujnéj wyobraźni, o wysokim nieraz polocie pierwotnéj w nich poezji? Wykład tych systematów mitologicznych, jakotéż cała ich symbolika, tém bardziéj w historji literatury byłyby na swojém miejscu, ile że najprzód same księgi święte, jako księgi, urzędowéj tu podpadają krytyce literackiéj, a powtóre nawet i świeckie utwory orientalistów około tych pojęć religijnych bez ustanku obracają się, z nich coraz nowe czerpią sobie przedmioty do dramatów albo epopei, niekiedy nawet na własną rękę nową twórczość w nie wkładać ośmielają się.

Same przez się więc, jako środki zarazem do zrozumienia innych tworów, mitologje starożytne zasługiwały na pobieżną pragmatyczną wzmiankę, i szczerze żałujemy, że autor, który szczególniéj celuje darem bystrego uchwycenia i treściwego oddania wszystkich ogółowych, oraz odznaczających się szczegółowych oznak, utworu na religjach wschodu, mianowicie zaś na jego teo- i kosmogonjach, znakomitego swego talentu nie doświadczał.... Zresztą z przyjemnością uważaliśmy, że pan *Siemień*-

ski sumiennie korzystał ze wszystkich dawniejszych i nowszych badań, w przedmiotach poezji chińskiéj i indyjskiéj, i że poszukiwania te w sposób zręczny sobie przyswoił. W dziele bowiem takiém jak obecne, w dziele którego pojedyncze części stanowią szczegóły, wielkiéj massie publiczności całkiem prawie nieznane, nie potrzebujemy bynajmniéj domagać się samoistności po autorze; dosyć, iżby ten ostatni umiejętnéj swéj i sumiennéj kompilacji nie przedstawiał czytelnikowi za pracę bardziéj badawczą i głębszą, aniżeli ona jest w istocie. Otóż przypuszczamy, że rozdział o literaturze hebrajskiéj, jako w pojęciu autora ze starożytnych najważniejszéj i dla religijnego jego stanowiska (o ile nam takowe z obecnéj książki jest znane), osobiście przezeń zapewne zgłębionéj; że ten rozdział o literaturze hebrajskiéj niemało jego własnych mieści w sobie zdań i poglądów. A jednak i z takich zdań niektóre w wiernym tekscie niemieckim znajdujemy w pracach właśnie tych racjonalistów, dla których p. *Siemieński* tak wzgardliwie tytułem panteistów szafuje; i tak np. całą jego charakterystę hebrajskiéj poezji (str. 124, i następne) uznaliśmy najdosłowniejszym przekładem z Scherra) (*Allgemeine Geschichte der Literatur von Dr. Johannes Scherr. Stuttgard 1851*), do którego to dzieła ciekawych czytelników odsyłamy. Całkowite zamieszczenie podobnego plagiatu, oryginału razem z przekładem, za mniéj przyzwoite uważając, powtarzamy tylko, iż nawet kontentować się możemy raz już przez autora w równych okolicznościach udzieloną odpowiedzią, że wszelkie definicje (?) są *bonum commune*, i że się zabierają, gdziekolwiek najlepsze się znajduje. Ale jeżeliśmy własne zapatrywanie się autora na literaturę hebrajską przypuścili, tedy w chińskiéj i w indyjskiéj, a témbardziéj i w staroper-

skiéj i w egipskiéj żadną miarą samoistności jego upatrzyć nie zdołaliśmy. Brak wszelkiego odniesienia się do historji politycznéj tych krajów, z opisów ich literatury czyni znowu migające się między światłem a cieniem obrazy, w których na przemiany przeważają nie tyle pojedyncze dzieła lub ich autorowie, ile raczéj pisarze, których zebrane sądy w żywéj tu co chwila znajdujemy reprodukcji. W Chinach zwłaszcza, choć pobieżniejszy pogląd na kulturę, oraz na spowinowacone z literaturą sztuki piękne, byłby urozmaicił ten obraz i jakąkolwiek samodzielniejszą nadał mu podstawę.

Za nim zupełnie od Wschodu odwrócimy się, niechaj nam wolno będzie zwrócić uwagę p. *Siemieńskiego* na inne jeszcze, a niemniéj ważne opuszczenie, na zupełną niepamięć dwóch ludów, których jednakże istność tak przeważnie oddziałała na pierwotną cywilizację orjentalną. *Mówimy* tu o Fenicjanach i Kartagińczykach. Wprawdzie zabytki literackie tych narodów są małoliczne, ależ jednak nie godziło się pominąć Sanchuniatona Fenicjan, jeden z najstarożytniejszych bo trzynastego wieku ery przedchrześciańskiéj sięgający pomnik piśmienniczy, kiedy zwłaszcza i samo pismo wyszło od tego narodu: albo licznych dziejopisarzy Kartagińskich, z których Hannon w przekładzie greckim, a Magon w łacińskim przekładzie Selimusa, czasów naszych dochowali się. Toć i o egipskich pisarzach nie wiele co więcéj nam wiadomo, a jednak ustęp o Egipcie z prawdziwém zajęciem w téj książce p. *Siemieńskiego* odczytywaliśmy.

Przechodząc obecnie do Zachodu, do literatury klassycznéj Greków i Rzymian przedewszystkiém utyskiwać musimy nad nieproporcjonalnością, jaka w tém dziele zachodzi między tą literaturą a piśmiennictwami wschodniemi. Ale

wynika to podobno z rozmyślnego założenia autora, który pogańską, a jednak tak świetnie wybujałą cywilizację klassycznéj starożytności, mimochętnie tylko uznaje, który poważną jéj i szlachetną moralność za szatańskie gotów jest okrzyczéć złudzenie.

W tomie poświęconym literaturze starożytnéj, Grecja i Rzym zajmują niewiele nad jednę trzecią część objętości. A jednak bylibyśmy tak chętnie widzieli nad tym właśnie działem obszerniéj rozpisującego się p. *Siemieńskiego*. Sam biegły w literaturze helleńskiéj i łacińskiéj, byłby nas mógł obdarzyć jakim rodzinnym na nie poglądem, wysnutym z wewnętrznéj wartości ich arcydzieł i niekoniecznie podpierającym się niemiecką analizą albo deklamacją francuzką. Dziękujemy wprawdzie autorowi choć i za to; bo widoczne przynajmniéj tu i owdzie zdanie własne, bo nieprzebyta massa piękności, z jaką ma do czynienia, mimowoli odrywa go czasem tu nawet od stronniczych uprzedzeń i unosi do szczytów ideału. Ale nie dostrzegamy jednak tego świętego uniesienia, którém koniecznie potrzebujemy być przejęci, skoro czytelników obznajmiać pragniemy z onemi na wsze czasy niedoścignionemi wzorami twórczości artystycznéj. Chyba jednemu Homerowi autor zupełną wymierza sprawiedliwość, kiedy, po pięknie uchwyconéj treści jego poematów, w te słowa o nim się wyraża:

„Jak rzeka szeroka, głęboka i cicha, homeryczne epos odzwierciadla na swojéj powierzchni bujną naturę wzorzystych brzegów. Nigdzieś nie dostrzegł, aby duch jego niepokoił się pracą stworzenia; walka spornych żywiołów już wymierzona; zamęt w świat się przeradza, a twórca wypoczywa i cieszy się udatném, wykończoném dziełem. A jako natura każde z swych żyjątek równą ogarnia miłością

i stosownemi do miejsca i przeznaczenia przymiotami obdarza, podobnież i ów cudowny poeta tyle miłości wlał w osnowę dzieła, że każdą jego cząstkę, z dziecięcém zapomnieniem o reszcie, rozwija prawdziwie *con amore*, i drobne przedmioty, równie jak i najwyższe powleka barwą trafnych i zastosowanych wyrażeń. Z tego dziecięcego poglądu na świat rzeczywisty, z tego pokochania w własnym tworze, wysnuło się to zapomnienie o sobie, takie charakterystyczne w Homerze. Widzimy utwór, ale twórcy nie widzimy. Świat zaś poetyczny tak nas mocno zaprząta, że zapominamy o sile, która mu życie dała. Zapomnienie to stanowi najwyższy tryumf sztukmistrza. Starożytni chcieli w tém widzieć piękny wzór skromności, lecz rzeczywiście była to wielka miłość do własnego utworu, w którym pamięć o sobie zamarła."—

W Literaturze też Greckiéj, więcéj niż w każdéj innéj dotkliwie czuć się daje wszelki brak powiązania dziejów sztuki z dziejami narodu. Żaden lud tyle co helleński ruchliwością i wrażliwością umysłu nie podlegał wpływom każdéj epoki, każdéj niemal chwili. Wyobraźcież sobie Pindara bez igrzysk Olimpjiskich, Arystofana bez Kleona, Demostenesa bez Filipa, a przyznacie, że jak ci znakomici poeci albo mówcy na swoją spółeczność przeważnie oddziaływali, tak i miarę brali z obecnéj godziny i jakby bystremu pędowi fali, bez steru częstokroć, jéj dawali się unosić. Dla tego też cały ustęp o tragikach, z natury rzeczy ze-wszystkich najszczytniejszy, grzeszy pewną niedokładnością i chroma nierównością podstawy. Więcéj zasług przypisujemy rozdziałowi o historykach, a mianowicie charakterystyce Herodota i Tucydydesa, jako też ustępowi o filozofach, a mianowicie o Platonie.

Rzym jeszcze biedniéj przez autora został obdzielony. Rzekłbyś, że na prawdę nie ma wiele co wspominać o poetach takich, jak *Plautus* albo *Horacjusz*, *Owidjusz* i *Wirgilji*, — boć o *Lukrecjuszu*, o *Katullu*, *Tibullu* i *Propercym*, o *Lukanie*, *Persjuszu*, *Juwenalim*, *Marcjalim*, zaledwie suchą tylko znajdujemy wzmiankę. Toć i *Liwiusz* i *Cezar* i *Sallustiusz* i *Tacyt* i *Cycero* nawet, wielki *Cycero*, traktowani są nieobszerniéj, jak może w 2 tomie swéj pracy traktować zamyśla autor jakiego mnicha wieków średnich, poplecznika ciemnéj scholastyki.

Cały dział o Literaturze Rzymskiéj zajmuje stronic niespełna czterdzieści! Ale snać pilno już było p. *Siemieńskiemu* do końca, pilno z tą potęgą, z temi instytucjami, z tą mądrością pogan, bo co prędzéj pragnął zawołać za niemi słowami św. Pawła: *Insipientes, sine affectione, absque foedere, sine misericordia....* A przecież tryumf Ewangelji nie polegał na bladym tryumfie piśmiennictwa!

Jeżeliśmy tę najnowszą pracę p. *Siemieńskiego* pod zbyt surowe może zdanie podciągnęli, sądzimy, iż pisarz uznanéj jego zasługi i talentu na nieszczere przyklaśnięcie nie liczył, pobłażania chytrego zaś nie potrzebuje. Może téż i uwagi nasze niezupełnie będą stracone dla następnych tomów, — może... a jednak nadziei mieć nie ważymy się, kiedy przewodnicząca myśl autora z góry już ujęła całość w ciasno wymierzone kluby. Prosilibyśmy już chociaż tylko o uzupełnienie jednego dotkliwego braku: o wymienienie wszystkich pojawionych w naszéj literaturze przekładów obcych utworów piśmienniczych, ilekroć o oryginałach będzie mowa. Dodajmy, że wszędzie, gdzie rzecz jest prosta talentu pisarskiego, dzieło p. *Siemieńskiego* odznacza się stylem potoczystym, językiem giętkim i poprawnym. Na kilka dzi-

wnie użytych wyrazów, jak np. *nito* zamiast *niby*,—*poszanowek* zamiast *poszanowanie* i t. d. — na kilka zmian w ortografji, jak np. na usunięcie rodzaju niejakiego z przymiotników i zaimków, wprawdzie nie zgadzamy się: aleź mniejsza o to! Zawsze dzieło p. *Siemieńskiego*, jako w tym rodzaju w literaturze naszéj najpiérwsze, na czas pewien i w pewnéj części wypełni próżnię; a być może, że z niego nie jeden weźmie pochop do tém pośpieszniejszego przedstawienia pod sąd publiczny innéj podobnéj pracy, z innego przedsięwziętéj stanowiska, i do innego, bo czysto literackiego i artystycznego celu dążącéj.

SKARBIEC

ARCYDZIEŁ PIŚMIENNICZYCH EUROPY.

(Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha).

Kilkakrotnie już w naszych sprawozdaniach o postępie krajowéj literatury, zwracaliśmy uwagę łaskawych czytelników na owe wydawnictwa, które poważnym duchem a głębszą myślą odznaczone, mają na celu obznajmiać nas zarówno z główniejszemi płodami obcéj twórczości umysłowéj, albo raczéj przyswajać nam je i czynić nas uczestnikami wartości najznakomitszych każdego czasu i narodu myślicieli. Istotna bowiem wartość dobrych przekładów nie na tém jedynie polega, iż nierozumiejący obcego języka, za pomocą nich dopiéro będziemy w stanie poznawać piękności arcydzieł, któreby inaczéj dla nas wcale nie istniały; ale więcéj jeszcze zależy ona na rozprzestrzenieniu pojęć, na bogactwie wyobrażeń, na obfitości wzorów, które genialny utwór cudzego piśmiennictwa, z właściwym zapałem w języku naszym oddany, w każdym myślącym, a pilnie za ogólnym biegiem ludzkości śledzącym czytelniku wywołuje.

Dla tego też nic nie ma szkodliwszego nad przekłady dzieł lichych, lub też nad przekłady nieumiejętnie i nieudolnie obrobione; nic zasłużeńszego nad tłómaczenie arcytworu, dokonane z całą znajomością przedmiotu, z całém przejęciem się duchem obu języków, duchem autora, jego znaczeniem w powszechności piśmienniczéj, jego właściwością i stosunkiem do innych bohaterów umysłowych. Jeden może ze wszystkich narodów niemiecki, pojął zupełnie to ważne posłannictwo literatury: zbliżania się do siebie narodów i krajów za pośrednictwem uczuć i myśli, z jednéj niwy na drugą skrzętnie przesadzonych: żaden też naród tak dokładnéj nie posiada literatury zagranicznéj, w tak wzorowych przekładach piśmiennictwu własnemu przyswojonéj. Najwięksi niemieccy filozofowie, poeci i historycy nie uważali niegodném siebie, wyrzec się chwilowo własnéj twórczości i w cudzą myśl i widzenie, w cudzy nawet niejako smak i styl wnaturzyć się; przytaczamy tu tylko *Goethego*, tłómacza *Wolterowskiego Mahometa* i *Pamiętników Benwenuta Celini*, albo *Schillera*, tłómacza, oprócz wielu pomniejszych, *Fedry Racina*, *Szekspirowskiego Macbetha* i *Gozziego Turandoty*. *Tieck* i *Schlegel* w poezji, *Leibnitz* w filozofji, *Ranke* i *Luden* w dziejopisarstwie, toż gwiazdy pierwszorzędne, których nie odstraszała obawa utracenia własnéj samoistności, jeśliby obcemi płodami serdecznie i czynnie przejmowali się; bo jeżeli prawda jest z jednéj strony, że kto ciągle i wyłącznie tłómaczy, tego tłómaczyć nikt nie będzie, tedy z drugiéj strony, kto wyłącznie i ciągle z siebie tylko coraz to nowy zapas form i myśli wydobywa, ten z konieczności wcześniéj lub późniéj myśl swoją zużyje, pierś wysuszy i rozpaczną płodnością do zbytku już oswojonych z jego utworami czytelników o zgubną przyprawi obojętność, która i na ogól-

ny rozwój piśmiennictwa nie bez szkodliwego pozostanie wpływu.

Uwagi powyższe nastręczyły się nam pomimowolnie dzisiaj, kiedy o jedném z najpożyteczniejszych ostatniego czasu przedsięwzięć literackich zdanie nasze wynurzyć zamierzyliśmy. *Skarbiec arcydzieł piśmienniczych Europy* w nader krótkim czasie w ozdobnych, a nawet illustrowanych na wzór zagraniczny wydaniach, obdarzył nas z kolei przekładami: *Djabła kulawego* i *Gil Blasa*, *Lesage'a* — *Don Kiszota*, *Cervantesa* — *Podróży sentymentalnéj*, *Sterne'a* — *Podróży Gulliwera do nieznanych krain*, *Jonathana Swifta* — *Wikarego Wakesfield'skiego*, *Goldsmitha* — *Renego*, *Ostatniego z Abenserragów, Atalli i Podróży z Paryża do Jerozolimy*, *Chateaubrianda* — *Pawła i Wirgini*, i *Bernardina de Saint Pierre* — *Krzysztofa Kolumba*, *Coopera* — *Powieści Schmidta*, a w krótkim czasie wzbogaci nas jeszcze *Koryn-ną* pani de *Staël*. Z wyjątkiem tego ostatniego dzieła i chyba *Życiorysu Kolumba*, oraz *Podróży Chateaubrianda*, są to tedy wyłącznie utwory wyobraźni, dzieła poetyckie, wszystkie zaś bezwątpienia należą do dziedziny tak nazwanéj belletrystyki. Otóż w wydawnictwie, tak bezpośrednie mającém wywrzéć wpływy na prostowanie, na formowanie nieraz naszych pojęć estetycznych, w takiéj estetyce *en actions*, w podobnym szeregu utworów, z których wszystkie nietylko znanemi być powinny każdemu czytelnikowi, mającemu pretensję do jakiegokolwiek wyższego ukształcenia, ale które zwykle służą za najznakomitsze wzory w swym rodzaju, z których tedy teorja sztuki prawidła swe wyciąga, i na których zwykła prawdziwości ich dowodzić; w takiéj publikacji z jakąż radością ujrzelibyśmy imiona u nas także według talentu i zasługi przed wszystkiemi innemi przodku-

jące! Byłyby one bowiem same z siebie najdokładniejszą rękojmią przekładu nie rzemieślniczego lub niewolniczego, a zarazem wzbudziłyby w nas nadzieję, że odświeżona ich wdrażaniem się w obcy bieg myśli twórczość, wnet w inną, może niedoświadczaną jeszcze przez siebie stronę się posunie. Wszakże na takie cele samo czytanie rzadko kiedy wystarcza; najruchliwszemu umysłowi koniecznie od czasu do czasu potrzeba wyzuć się z własnéj indywidualności, urozmaicić swą postawę, jeżeli odmłodzić pragnie myśl zastarzałą, jeżeli ożywić w sobie uczucie, może dziś jeszcze na pozór dość bujnie tryskające, ale jutro może już zamarłe. Nie wymieniamy tu nazwisk, dzieł nie wymieniamy, ale jednak sądzimy, że każdy łatwo się domyśli, jakiego z naszych pisarzy radby zobaczyć tłómaczem jakiego arcydzieła.

Sam dobór wydanych dotąd utworów, bez wątpienia po większéj części jest szczęśliwy, a z tłómaczy niektórzy nader zaszczytne w naszéj literaturze zajmują stanowisko. Tłomacz *Djabła kulawego Lesage'a*, Dr. *Tripplin*, ostrością dowcipu i lekkością pióra jeden z najpiérwszych a może i jedyny w tym rodzaju pisarz, gdyby istotnie sam tę pracę wykonał, byłby szczęśliwie wniknął w ducha spowinowaconego sobie poety francuzkiego. Tłómacz niezrównanego *Gil Blassa*, p. *Dziekoński*, zasłużony autor rozlicznych pism pedagogicznych, sumienny kompilator kilku dzieł naukowych, zwłaszcza treści historycznéj, z nawykłego dotąd poważniejszego stylu, dosyć szczęśliwie wzniósł się do trudniejszéj humorystyki; tłómacz *Attali* i *Schmidta*, p. *Hippolit Skimborowicz*, dosyć znany jest czytającéj powszechności, by imie jego na czele przekładu o czystym toku języka, o gładkości tego przekładu niewątpliwe nadało przekonanie. Pan *Walenty Zakrzewski*, od dawna już

umiejętnie i pożytecznie na niwie perjodycznego piśmiennictwa pracujący, z równém uzdolnieniem wywiązał się z przekładów *Renego* i ostatniego z *Abenserragów*, a jakkolwiek życzyćby wypadało, iżby tłómaczenie najcelniejszego ze wszystkich romansów europejskich: *Don Kiszotta*, odbyło się z oryginału hiszpańskiego, nie zaś z francuzkiego obrobienia, przecież szczęśliwie niedostatek ten wynagrodzony został dosłownem po wielkiéj części użytkowaniem z dawniejszego polskiego tłómaczenia, którego zwięzłéj jędrności miejscami tylko przestarzałe zwroty i formy językowe stawały na przeszkodzie. Wyznajemy natomiast, że przekład *Gulliwera*, nietylko jako dzieła sztuki, ale pełnego alluzji politycznych i literackich, zrozumiałych tylko dokładnie obeznanemu z historją ówczesnéj kultury angielskiéj, bardziéj jeszcze przekład *Sentymentalnéj Podróży*, któréj główny urok spoczywa w owym dziwnie urywanym stylu, w owéj refleksji humorystycznéj, łzą czułości bezustannie przerywanéj, nie mogły być przez kogobądź dopełnione, ale że takie prace koniecznie oddane być muszą przez talent z autorem sympatyczny, i że zarazem wynikiem być powinny głębokiego przejęcia się właściwościami języka, z którego takie przekłady odbywają się. Dla tego też mamy przekonanie, że podobnego zarzutu nie wypadnie już nam uczynić tłomaczowi *Korynny*, znakomitéj autorce Podróży Alpejskich i Zaalpejskich, pani *Łucji Rautenstrauch*,— a wierzymy, że za przykładem podobnych imion inni także piśmiennictwa naszego koryfeusze od spełnienia świętego względem siebie bardziéj jeszcze, aniżeli względem publiczności obowiązku w przyszłości nie uchylą się.

Przedsięwzięcie literackie, o którém mówimy, nazwaliśmy poprzednio jedném z najpożyteczniejszych ostatniego

czasu. Jakkolwiek jednak księgarnia nakładowa ze swojéj strony uczyniła wiele, uczyniła może wszystko co mogła, by istotną nadać mu cechę téj pożyteczności, przecież zdaniem naszém nałożyła na siebie więzy, które zupełnemu i skutecznemu jéj rozwinięciu dotąd już niejednokrotnie stawały, a w przyszłości bardziéj jeszcze stawać będą na przeszkodzie. Temi więzami są: illustracje, drzeworyty, któremi tekst książki ku wielkiéj swojéj bez zaprzeczenia ozdobie, ku pociesze nieraz czytelnika, choć niekoniecznie ku lepszemu dzieła zrozumieniu, obficie bywa przeplatany. Otóż xylografja u nas na tak niskim jeszcze stoi szczeblu (powiedzmy raczéj, na żadnym), że wszystkie takie illustracje są tylko odbiciem klisz francuzkich, że więc wydawca zobowiązawszy się raz do edycji drzeworytami opatrzonéj, ograniczać się musi na takich tylko dziełach, które w podobnych edycjach, w oryginale lub przekładzie francuzkim, poprzednio już w Paryżu są wydane. Otóż w tém powód, dla którego z tłómaczonych dotąd arcydzieł zupełnie wyłączonemi zostały piśmiennictwa: Niemieckie, Włoskie, Skandynawskie i Sławiańskie, — oryginalne bowiem wyrabianie drzeworytów, rozumié się przez artystów zagranicznych, pociągnęłoby za sobą zbyt wielkie koszta, któreby przy małym jeszcze ze strony publiczności udziale niezawodnie nie opłaciły się. Jako zaś drzeworyty istnieją dla książek, których stanowić mają illustracje, nie zaś książki dla drzeworytów, tak też i czytelnik chętnie wybaczy nakładcy, jeżeli w braku dobrych klisz zagranicznych, nie chcąc zbytecznie podnieść cen księgarskich, już i tak niestety! dość wygórowanych, obdarzy nas dobremi, ba wzorowemi przekładami nietylko obowiązkowych *Schillera* i *Goethego*, ale i *Jean Paula*, *Hoffmanna*, albo *Boccacia*, *Andersena*, *Ingemanna*, *Gogola*,

Marlińskiego; jeżeli z krajowego piśmiennictwa wybierze celniejsze utwory dawniejszych i współczesnych pisarzy, i w podobnym do dotychczasowego formacie, ale bez względu na przypadkowy brak drzeworytów, przedsięwzięcie swoje podniesie do znaczenia prawdziwego *Skarbca arcydzieł piśmienniczych.* A jeżeli uwagi nasze nietylko w téj mierze trafią do przekonania osób, do których głównie przez nas zostały wymierzone, tédy powiédzcie, dla Boga! czyż nie obudzi w naszych sercach zapału tą wiadomość, że naprzykład *Jean Paulowskiego Hesperusa* przełożył *Kraszewski; Decamerone, Korzeniowski; Martwą Duszę, Chodźko;* że ci pisarze nie zniżali się, gdy z samotwórczych, chwilowo stawali się odtwarzającymi, ale że owszem zwrot do własnego piśmiennictwa przez zpośredniczenie go z genjuszami obczyzny, stanie się tém samém u nas wszystkich tém sprężystszym i silniejszym.

POWIEŚCI, JAKO LITERACKA OZNAKA CZASU:

DWA ŚWIATY,

POWIEŚĆ W CZTERECH TOMACH.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, że na prawdziwe literatury narodów, czyli lepiéj mówiąc, na literatury prawdziwie narodowe, składają się oprócz ludzi piszących, jeszcze ludzie czytający. Tam gdzie piśmiennictwo pozostaje wyłącznym wymysłem kilku wybrańców, a samo życie ludu, którego językiem posługuje się, nie wpływa w niczém na jego rozwój i kierunek, tam mylonoby się, gdyby dopatrzyć chciano samotwórczego i samodzielnego ruchu, choćby najznakomitszych nawet genjuszów i talentów, — tam niezawodnie toż piśmiennictwo, przy bliższéj rozwadze przesadzoném się wyda z niwy obcéj, a przyjmie się ono na rodzinnym gruncie tylko o tyle, o ile grunt ten do tamtéj niwy jednakim składem, a przynajmniéj jednaką uprawą jest zbliżony.

Jeżelić tedy obowiązkiem jest naszym, jako sprawozdawcy ruchu literackiego bacznie śledzić za wszystkiemi

objawami literatury, w któréjkolwiek się one, czy w piszącéj, czy w czytającéj połowie powszechności okażą; jeżeliśmy powinni przedewszystkiém wyrozumować ich konieczność i przyczynę, wytknąć ich między sobą związek albo rozbrat, — tedy przystępując dzisiaj do rozbioru nowéj powieści *Kraszewskiego*, nie uchylamy się też od obowiązku pomówienia nieco obszerniéj o owych głosach, które coraz gęściéj z otaczającéj publiczności odzywają się, a które twierdzą, że ta powieść, ta wieczna powieść już nas przesyciła, że łakniemy pokarmu innego, mniejsza o to, czy więcéj, czy równie pożywnego, byle innego, byle jakiéj odmiany. Ludzie poważni, którzy z początku jednak nie wstydzili się czytać celniejszych kilku powieści, i którzy sąd o nich uważali za rzecz arcyważną, ludzie poważni dziś już nawet do podobnego marnotrawienia czasu nie przyznają się, a to co przed niedawną chwilą zdawało się przeznaczoném do zdziałania najzupełniejszego przewrotu w piśmiennictwie nietylko, ale w wyobrażeniach i w uczuciach ogółu, to dziś, po zaspokojeniu próżnéj ciekawości, sztucznie a niechby i artystycznie podniesionego zajęcia, wchodzić zaczyna w dziedzinę historji, o któréj atoli układ i wykazy systematyczne u nas nie tak łatwo.

Sam *Kraszewski* postrzegł to przed niejakim czasem, iż epoka dla dotychczasowéj powieści już minęła. Kraszewski, jako organizacja umysłowa, człowiek bez żadnéj wątpliwości wyjątkowy, poznał to nawet wcześniéj od wielu innych, przeczuwał w powietrzu burzę, która się gotuje. Zbłądził w tém tylko, że sam chciał opuścić ręce, a do stawiania innych kroków zapędzał młodszych od siebie, jak gdyby kierunek tych kroków nie powinien być nadanym przez niego, dopóki przynajmniéj ów młodszy, wyrównywający mu twórczością,

albo może i przewyższający go, bez niczyjéj zachęty ni przygany, samodzielnie na widownią nie wystąpi. Że *Kraszewski* pojmuje ten kierunek, i że po swojemu umié nim przejmować się, tego nam dowiódł w swéj prześlicznéj *Chacie za wsią*,—że znów rozpacza o sobie i utartym na nowo puszcza się gościńcem, tego dowodem ostatnia jego czterotomowa powieść, p. t. *Dwa światy*.

Chcąc przekonać się na czyjéj stronie tu jest słuszność; dla czego ten gościniec zowiemy już utartym, zkąd powstaje ów przesyt publiczności w podobnegó rodzaju utworach, potrzeba nam cofnąć się na chwilę w historję tegoczesnéj powieści i przypomnąć sobie owe ściśle logiczne koleje, któremi dotąd taż powieść przechodziła. A nie lękajcie się znaleść tutaj jakie może wyskoki taniéj erudycji, jakiemi któryś z pisarzy Zabużańskich z tak widoczném w sobie samym upodobaniem przy każdéj podobnéj sposobności zwykł nas obsypywać. Nie zaczniemy tedy ani od panny de *Scudéri*, ani od *Fieldinga*, ani nawet od *Richardsona* i *Smoletta*, chociaż ci ostatni niezawodnie są ojcami tego rodzaju, który dziś jeszcze nazywamy powieścią charakterystyczną lub obyczajową: wspomniemy nawet tylko pobieżnie o współczesnym nam koryfeuszu tegoż rodzaju: *Goethem*, którego sława jako drammatyka i historyka do tego stopnia przyćmiła sławę romansisty, że dziś niejeden, co choć ze słychu zna *Fausta*, albo *Ifigenje*, nic nie wiedział nigdy o *Sympatjach (Wahlverwandschaften)*, ani o *Wilhelmie Mejster*. A jednak w tych dwóch powieściach złożoną jest cała sztuka powieściopisarska, wszystkie jéj tajemnice i środki pomocnicze, oczyszczone już z domięszań zbyt gwałtownéj i namiętnéj sentymentalności, jaką młodzieńczy duch poety wylał był niegdyś w swym *Werterze*. To też jesteśmy prze-

konani, że znakomitsi romansopisarze francuzcy, tacy jak ów np: anatom serca ludzkiego, *Balzac*, na powieściach Goethego głównie smak swój wykształcili, mechaniką jego budownictwa przejmowali się, w spokojnym poglądzie na sztukę własną jéj wzniosłość nad wszystkie cele przekładając. Jednocześnie drugi olbrzym poetyczny: *Walter Scott*, zwrócił umysły ku zasadzie piękna w historji, i z dziejów swojego narodu i innych wydobył przed oczyma naszemi obrazy, tém poetyczniejsze, że jaśniały urokiem prawdy i głęboko pomyślanego filozoficznego powiązania. Czereda naśladowców, która bez samoistnego natchnienia odtwarza tylko kształty już bywałe, w szczęśliwym razie w bezustannie nowe tylko szaty je przyoblekając, rzuciła się na dwa te rodzaje powieści: historyczny i sercowy, wykręcała je i nicowała na wszystkie strony aż do znudzenia, dopóki w końcu jakiś umysł poważniejszy, ze stosownego ich połączenia nie wysnuł nowéj treści romansu: społecznéj a zarazem *tendencyjnéj*.

Zbyt daleko odstąpilibyśmy od celu niniejszych uwag, gdybyśmy tu zamierzyli wykazać, o ile rozwinięcie niektó- pojęć naukowych, rozmaite zwłaszcza fazy, przez które przechodziła Ekonomja Narodowa, wpłynęły na ten kierunek w téj nowoczesnéj powieści. Napomykamy zaś o tém tylko dla tego, by niejako usprawiedliwić przewrót, do którego najnowsza w tych pojęciach zmiana i sprowadzenie kilku z owych teorji socjalnych do zasłużonéj nicości, w teraźniejszéj chwili stała się powodem.

W czasie, w którym materjalizm w sprawiedliwéj swojéj z samego początku walce przeciwko spirytualizmowi, pokonał wszelką nawet filozofję, nic nie masz dziwnego, że głębsze umysły świadomie, a rozsądny ogół niekiedy nawet

mimo wiedzy, ujmują się za ujętą przed niémi drogą badania prawdy, z którego to badania, jeżeli tylko było szlachetném i szczerém, niezawodnie rezultaty wsiąkały zawsze w krew i życie całéj społeczności. Wypadki materjalizmu, chociażby najbardziéj wyrozumowanego, nigdy tych orzeźwiających naszą duszę skutków nie zastąpią, nie zastąpią ich nawet z drugiéj strony samochwalcze wyroki dogmatyczne, których ubocznym celem bywa jeszcze podanie przeciwników w podejrzenie kacerstwa lub niewiary. Dążność materjalna i dążność mistyczna, dwa te krańcowe wrogi prawdziwéj moralności i prawdziwego światła, innéj i silniejszéj przeciwko sobie wymagają broni, aniżeli prostego wykazania nieforemności w organizacji społeczeństwa, tam zwłaszcza, gdzie te nieforemności konieczném są następstwem ułomnéj, ludzkiéj natury, gdzie więc reformatorska deklamacja, co więcéj, nawet pojedyncze wyrywane przykłady, stanowczéj zmiany nie zdziałają, bo zdziałać nie potrzebują i nie mogą.

Ową jedyną bronią, która skutecznie i organicznie wpłynąć zdoła na materjalistyczne dążenia tego wieku, jest tedy taż sama filozofja, która zrazu może wybujała, i dla tego zbyt ciężkich owoców nie unosząc już na zbyt wysmukłéj łodydze, pochylić się musiała przed zimnym powiewem realizmu, ale która pomimo to niezwalczona, czeka tylko przychylnéj chwili, by tém dumniejsze podnieść czoło i niewdzięcznemu stworzeniu całą zapoznaną ukazać szlachetność jego przeznaczenia. Filozofja niemiecka czy sławianska, (któż powié, do któréj z nich przyszłość nauki należy) (1), ależ

(1) Któż powié? zwłaszcza że filozofja sławiańska dotąd jest tylko pobożném życzeniem, urojeniem, od urzeczywistnienia które-

zawsze filozofja, spekulacja w najwyższych celach człowieczeństwa, poza te cele nawet, oto miecz, który chociaż chwilowo z rąk naszych wytrącony, chociaż przez płaskie umysły nawet rdzą śmieszności pokryty, jednak ostatecznie zwycięzko zwalczy materjalną dążność stulecia, i napełni nas czcią dla wysokiéj godności stworzenia, uczuciem prawa, jakie do zgłębienia saméj prawdy posiadamy.

Romans filozoficzny, romans taki, któryby od nędzy ziemskiego żywota wzrok nasz odwrócił w krainę ducha nieziemskiego, któryby ożywił w nas poważną myśl o końcach ludzkości, któryby nas zapuścił w szlachetne marzenie o początkach jéj początku, któryby wydobytą z tego wszystkiego stronę wzniosłą, stronę piękna, w umiejętnie i artystycznie powiązanych kontrastach pod oczy nasze podprowadził, czyliżby taki romans, taka powieść nie przemawiały lepiéj do naszéj wyobraźni, aniżeli ciągle w tém samém kółku obracające się utyskiwania na porządek i nieporządek towarzyski, na wady rozmaitych, a głównie jednéj klassy społeczności i na ich pomiędzy sobą upokarzające nieraz naturę ludzką stosunki? Mówimy zaś: taka powieść, boć trudno temu zaprzeczyć, że dziś powieść wyłącznym prawie stała się tłómaczem myśli, gdziekolwiek ona zamierza przyodziać się w szatę przystępniejszą. Dawniéj lub innemi czasy rolę tę brały na siebie: epopeja, liryka, dramat; dziś powieść wszystko inne wygnała z działalności poetycznéj i despotyczne trzyma berło w belletrystyce. Wątpimy wprawdzie, czyli na takim objawie działalnośai zyskać mogą sami pisarze: — bo kiedy pomimo przebrzmienia epiki, pomimo niesmaku,

go jedyny ku temu sposobny genjusz nam współczesny, stanowczo zdaje się unikać.

jakim od niejakiego czasu niektóre umysły na sam oddźwięk liryzmu się przejmują, jednak wielcy twórcy epopei, wielcy pisarze liryczni, utrzymywali się we wszystkich uściech, i w pamięci każdego miłośnika piśmiennictwa, najznakomitsi romansopisarze popłynęli na falach zapomnienia, a przy nieskończonéj obfitości dziś w tym rodzaju przewidzieć nawet nie można, iżby z tegoczesnemi bohaterami kiedykolwiek mogło być inaczéj. Spełniają jednak ci pisarze swoje przeznaczenie, a jeżeli w dziejach umysłowego rozwoju pożytecznie choć jednę tylko zajmą kartę, wówczas trudno i tak przed niemi nie pochylić czoła i nie przyznać im zasługi podwalin, na których późniejsi kiedyś symetryczniejsze stawiać będą gmachy.

Kapłaństwo idei, do którego należą zarówno filozofja jak poezja, ułatwia zresztą swoim kapłanom, filozofom i poetom, wspólne działanie i jednocześnie wszystkich zgoła *zależnych* od siebie środków. Dla tego to romans filozoficzny nie jest bynajmniéj rzeczą potworną, jakąby się może niedoświadczonemu czytelnikowi na piérwszy rzut oka mógł wydawać. Wprawdzie i tu jak wszędzie, drogi są rozliczne, — wprawdzie najszczytniejszą z nich wszystkich, osądzilibyśmy czystą spekulację filozoficzną, ujętą w ramy wewnętrznéj konieczności poetycznéj; ależ wybór téj koniecznéj drogi pozostawić wypada samemu pisarzowi, cokolwiek może stopniowi jego filozoficznego ukształcenia, ale bardziéj jeszcze natchnieniu, które w tę lub ową stronę go popycha. I tak np. przypomną sobie może łaskawi czytelnicy, że w naszym rozbiorze *Chaty za wsią*, usiłowaliśmy wyprowadzić z tego utworu filozoficzne znaczenie sielskiego żywiołu, chociaż w nim zaprawdę czysto spekulatywnéj myśli nie dopatrzym się; — ale jednak ten żywioł tak jest w sobie niefałszowa-

ny, że przedstawienie go w różnych fazach istnienia prawie mimowoli stać się musi poglądem głębszym na naturę ludzką, nietylko zaś, jakto w tendencyjnych powieściach miewa miejsce, na naturę towarzyską. Że zaś *Kraszewski* nie tworzył tu bynajmniéj nieświadomie, że ten pogląd filozoficzny na życie napierał się jemu, w dawniejszych jeszcze pracach, że go uchwycił skwapliwie i szczęśliwie z niego użytkował, tego dowodzą i *Pamiętniki Nieznajomego* i *Powieści bez Tytułu*: — nie wolnoż nam tedy miéć nadziei, że ostatecznie przejmie się ważnością spekulacji w zapatrywaniu poetycznem, i że chcąc skutecznie obdarzyć literaturę przeciwdziałaczem przeciwko realistycznym jéj zachceniom, zaniecha powieści tak zwanéj tendencyjnéj i swoję indywidualną sztukę podniesie do znaczenia sztuki ogólnéj, tak samo jak swoje zamiłowania albo nienawiści, do godności wszechmiłości i wszechprawdy?

Chcecie wiedziéć, czém głównie powieść tendencyjna zasługuje sobie na nasze niezadowolenie? Oto tém, że rodzi pewną gorycz, któréj następnie osłodzić, lub przynajmniéj zneutralizować już nie umie. Nikt nie wątpi, nawet najzawołańsi nasi romansiści wątpić nie zechcą, że mistrzem w tego rodzaju powieściach jest *Eugeniusz Sue*, i że wzorami tego rodzaju pozostaną na zawsze; *Tajemnice Paryża* i *Żyd Wieczny Tułacz*. Otóż stopniem mniéj, stopniem więcéj podobną do takich będzie każda powieść tendencyjna. Niechaj sobie jéj autor powié co zechce, my nie wierzymy, iżby u niego sztuka miała być na pierwszym planie: powziętą myśl zaraz obleka w szaty powieści, tworzy do niéj kilka mniéj więcéj naturalnych charakterów, stawia takowe w kilku mniéj więcéj dramatycznych peripetjach, ozdabia je kilkoma mniéj więcéj artystycznie wykończonemi

szczegółami, które całości nadają pewien urok prawdy, a tak zmusza nas do przyznania mu myśli zasadniczéj, która jak nić czerwona od początku do końca przez całą tkaninę się przeciąga. Przeczytawszy taką powieść, zmysł piękności pozostaje bez żadnego podbudzenia: proza rzeczywistości, prozaiczniejszéj nawet i rzeczywistszéj, aniżeli jest w istocie, zastępuje w tych utworach poezję serca i życia.

Nie dziwmyż się tedy, jeżeli publiczność czytająca, którąby rada w swéj literaturze dojrzéć dźwigni, i coby wyrwała ją z płaskiego i powszedniego otoczenia, przesyciła się już owemi „współczesnemi powieściami" owemi „powieściami obyczajowemi," owemi „obrazami i obrazkami." Powtarzamy, że tu publiczność ma prawdę. Jéj głównie idzie o piękność sztuki, a otrzymuje natomiast brzydkość rzeczywistości. Po owéj słusznie spiętnowanéj literaturze szalonéj, w któréj mordy i gwałty historyczne bawiły nas ujmującym swym widokiem, dostąpiliśmy teraz mordów i gwałtów fantazyjnych; po owém nieubłaganém fatum tragedji, owéj greckiéj ananke, doszliśmy w téj pseudo-poezji do fatum kastowego, do konieczności działania takiego, a nie innego, bo się bohater w takim a nie w innym stanie urodził społeczeństwa. To co jest czysto ludzkie, co jest wspólne całemu rodzajowi, i co tylko jako takie, może być prawdą poetyczną, to wszystko schodzi na bok w obec celów podrzędnych, które w saméj rzeczy tu po największéj części zwykły stawać się głównemi. Po tak otwartém z naszéj strony wynurzeniu się, nie tak wiele już pozostanie nam powiedziéć o *Dwóch Światach.* Dwa te swiaty to pałac Pana i dworek cząstkowego Szlachcica. Przypadek i szkoła, która równa wszystkie stany, połączyły w jakąś ściślejszą przyjaźń reprezentantów tych dwóch światów: magnata Juljana i szlachetkę Alexego.

Kiedy ich poznajemy, zapał młodzieńczy piérwszego okazuje mu życie w innéj jeszcze postaci: żali się na swe złote więzy i zazdrości rówieśnikowi spokojniejszego szczęścia. Ten ostatni z hartem duszy wytrwalszym, poddaje się z uległością pod uczucie obowiązku. Mały jego świat, a w nim praca, nie wystarczają mu wprawdzie, ale zajmują go. Na jego nieszczęście sprowadza go Juljan do rodzinnego swego gniazda Karlina, gdzie poznaje całą rodzinę Karlińskich. Nie potrzebujemy powiedziéć, że pojedyncze te postacie: prezes, stryj Juljana, i siostra jego Anna i matka, z drugiego męża pułkownikowa Delrio, i ten jéj mąż, i młoda, wespół z Anną wychowana sierota, Pola, oddane są po mistrzowsku.

Oddawna już przywykliśmy w malowaniu charakterów, nawet niezbyt drobiazgówém i wychuchaném, ale zarysami większemi, śmielszemi, nie znać u nas równego Kraszewskiemu. Tchnącą życiem i prawdą figurą jest także matka Alexego, pani Drabicka, dusza męzka z miłością macierzyńską, która bodaj czy nie ze wszystkich w całéj téj powieści najszczerzéj nas zajęła i najsilniéj do siebie przywiązała. Za to drugi stryj Juljana, Atanazy, pomimo całego uroku wspomnień historycznych, w których serjo w tym także kierunku podziwialiśmy łatwą wyobraźnię poety, to charakter w samym zarodzie chybiony. On, równie jak z przeciwnego krańca, stary hrabia Junosza, który obrzydziwszy sobie pańskość, przyodział się w siermięgę, to figury excentryczne, z rodzaju tych, jakich nawet poecie używać wolno tylko z największą ostrożnością. Toć i *pictoribus atque poetis* naznaczone są pewne granice! Niezrównanym w téj mierze wzorem stanął *Goethe*, którego np. *Müller* albo *Mignon* bez zaprzeczenia są charakterami najmocniéj nienaturalnemi, ale

które gdyby istniały, istnieć by musiały koniecznie tak, myśléć i działać tak, a nieinaczéj. *Atanazy Karliński* i hrabia *Junosza* nie dzielą téj zalety. Stojąc niejako pomiędzy temi dwoma światami i przeznaczeni przez poetę na zjednanie ich, wypadają co chwila z roli pierwiastkowo im nadanéj. A powtarzamy, że te role same w sobie nienaturalne, od pierwszéj chwili rażące nas nieprawdą, a zatém wystawiające się na niebezpieczeństwo opacznego, może wbrew woli, autora zrozumienia.

Alexy na wpół jako przyjaciel, na wpół jako plenipotent, przenosi się do pałacu Juljana. Widok Anny i uwielbienie dla „świętego" jéj charakteru, ugodziły go w serce. Ona jednak, szlachetna i tkliwa, przywięzując się nawet do niego wdzięcznością za uwieńczone pomyślnym skutkiem trudy, z drugim jéj bratem, głuchoniemym idiotą Emilem, nie przypuszcza na chwilę, by Alexy o niéj mógł *pomyśléć*. Istotnie Alexy korzy się przed nieprzebytą różnicą stanu i tę pokorę posuwa tak daleko, że Juljana, szalenie kochającego się w Poli i przez nią z równym zapałem kochanego, gwałtem prawie od téj niestosownéj miłości odwodzi. Pomaga mu w tém jeszcze silniéj prezes, który drży na samą myśl mezaliansu, a Pola, w którą łatwo wmówić, że miłość swoję najlepiéj udowodni ofiarą, z umysłu budzi zazdrość w Juljanie i pozornie lgnie do Justyna, poety i wychowańca Atanazowego. Juljan wnet pocieszony zwraca swoje zapały gdzieindziéj, naprzykład do panny Gerajewiczowéj, miljonowéj dziedziczki pociesznego dorobkowicza. Wychodzi na to, że tą arystokracją były tylko — pieniądze.

Anna także łamie poczciwe serce Alexego i wychodzi za jakiegoś podejrzanego panicza, *Alberta Zamszańskiego*. Pola spełniwszy ofiarę, jako pani Justynowa wkrótce umiera;

Alexy w ciemną popada melancholję, w któréj pociesza go niekiedy naiwna wdzięczność Emila, idjoty, jedynego z całéj téj rodziny, którego serce nie zna granicy dwóch światów.

A teraz, jakkolwiek oczywiście w tak pobieżnym szkicu, zmuszeni byliśmy opuścić mnóstwo wypadków i rysów charakterystycznych, które jak wszystko, czegobądź dotknie się ręka *Kraszewskiego*, pociąga wdziękiem pomysłu i pięknością obrobienia, a teraz, kiedy jednak ogólny zarys téj powieści, w ile możności wiernym obrazku uchwycić postaraliśmy się; zapytujemy raz jeszcze z ręką na sercu: czyż warto było tak wielkich środków na tak drobne cele? A że te cele zbyt widoczne, że z każdego rozdziału, z każdego wiersza wyskakują od powieści, która jedynie służy im za folję, w tém właśnie najgłówniejsza, jedyna wprawdzie, ale niczém niepowetowana leży wada. Mówiąc te wyrazy nie przepraszamy za naszą śmiałość *Kraszewskiego*, któremu zdaje się, że nieraz już w żywe oczy napisaliśmy, ile go uwielbiamy i jakie mamy pojęcie o ogromie jego talentu i twórczości. Dalecy też jesteśmy zaprawdę od stawania w obronie niedorzecznéj pychy: która nas ani fałszywym swoim blaskiem olśnić, ani wyrozumowaną lub wrodzoną swą dumą upokorzyć nie potrafi. Ale nam idzie o interes piśmiennictwa i dla tego, milczenia sobie nakazać nie powinniśmy. Ostatnią swoją powieścią *Kraszewski* zszedł o wiele stopni niżéj od tego, na którym kilka jego arcytworów w oczach nas wszystkich postawiły go. Odliczywszy niektóre z owych szczegółów, niektóre z owych opisów, w których on takim jest mistrzem, cała ta powieść mogłaby być zarówno napisaną przez — przez — ale nie wymienimy nazwisk, choć zaprawdę napisać coś takiego, co od ręki odpadło *Kraszewskiemu*, jeszcze niepospolitym zostałoby zaszczytem dla całéj téj

młodéj generacji naszych romansistów, do których sam niegdyś przemówił tyle energicznie a zarazem żałośnie. Powieść obecna jest pospolitością, a jéj autora wszyscy znamy tak niepospolitym!

Nie wierzymy tedy, o czém nas chce upewnić *Kraszewski* we wstępie do *Dwóch Światów*, że przy napisaniu jéj ulał krwi swojéj serdecznéj, i że włożył w nią cząstkę własnego swego jestestwa. Gdyby tak było, nie uczyniłby tém nic nadzwyczajnego, gdyż tak być powinno; ale powtarzamy, że nie wierzym. Swoje *Dwa Światy* napisał raczéj w przystępie kwaśnego humoru, — nie zidealizował jednéj połowy swoich bohaterów, a w błocie zszarzał drugą. Rzeczy to zdawna oklepane i bywałe. Nie rozumiemy nawet powodu, dla któregoby Juljan nie mógł ożenić się z Polą, albo z Anną Alexy; małoż to widziemy skromnych plebejuszek, które ustępują z desek i wstępują na widownią *świata*, jako małżonki wysoko urodzonych i bogatych? A niechże nam kto powié, że się po leciech kilku ta różnica stanów całkowicie nie zrówna? Różnica nawyknień, potrzeb, albo raczéj możności zaspokojenia ich, także tu nie stanowcza: jedyną różnicą być może tylko wychowanie, wykształcenie umysłowe.

Dalecy jesteśmy od zamiaru podsunięcia poecie tak płodnemu, jakim jest *Kraszewski*, treści do nowéj pracy: — a jednak wyobraźmy go sobie z przedmiotem ogólnie ludzkim, których nam parę już dostarczył, z tłem czysto-narodowém (którego nawiasem mówiąc, w *Dwóch Światach*, także dopatrzyć się nie umieliśmy), — traktującego o rzeczach Bóstwa, duszy, sztuki, — dzielącego się istotnie z nami tém, co ma najskrytszego w swojém sercu poety, co częstokroć jemu samemu wydać się może tylko czczém marzeniem, ale

na uosobienie czego potrzeba mu tylko silnéj woli, — wyobraźmy go sobie takim, a przyznajemy, że myśl o tém jego arcydziele już nas z góry porusza i zachwyca. Czyżby nie w tém leżéć miała owa nowa forma, za którą innym uganiać się każe, a którą sam w zamkniętéj trzyma dłoni? A jeżeli koniecznie mają być dwa światy, niechże to będą światy myśli i ducha, światy nie tak ograniczone, jak obecnie przez autora przedstawiony, ale świat korony cierniowéj dla wszystkich, jak dla wszystkich jaśnieje nadzieja wszechwiedzy i ostatecznego przejrzenia.

Kończąc, niechaj nam wolno będzie z pamięci przytoczyć kilka wyrazów z piérwszych studjów literackich *Kraszewskiego*, których właśnie nie mamy pod ręką, a przytoczenie to niechaj mu posłuży za dowód, że każda prawda przez niego wyrzeczona na wdzięczną u nas pada rolą:

„Krytyka dla początkujących powinna być pobłażliwie sprawiedliwą: dla tych, którzy już sławę posiedli, którzy przodkują w piśmiennictwie, surową i nieubłaganą!”

SEJMIK GENERAŁ WOJEWÓDZTWA RUSKIEGO

ODPRAWIONY 1766 R. W SĄDOWÉJ WIŚNI; SEJMIKOWA TRADYCJA JMCI P. B. WINNICKIEGO.

OPOWIEDZIAŁ

Wincenty Pol.

MOHORT,

RAPSOD RYCERSKI Z PODANIA,

PRZEZ

Wincentego Pola.

Ktoś powiedział, że poeta, to dziécię Bogów, a krytyk jakoby jego był nauczycielem. Może w tém jest i nieco prawdy, tylko że pedagogikę dla takich dzieci niebiańskich niezmiernie trudno wynaleść, a w każdym razie nie jest ona powszednią i zwyczajną. Niejedno pożyteczne prawidło życia u nich przepada, bo pożytek, to rzecz dla nich ze wszystkich najmniéj ważna; niejednéj dobréj nauki moralnéj nie dosłyszą, bo oni wcale różną znają moralność od naszéj suchéj, gospodarskiéj; zalecać im, dowodzić, wyginać i pro-

stować ich na różne strony i boki, tè praca po wielkiéj części bezskuteczna, bo oni umysłowo także z wewnątrz tylko wyrastają na zewnątrz. Cóż więc pomimo takiéj bezsilności pozostanie obowiązkiem krytycznego pedagoga? Oto zamiast teorji pożytku, powinien zastósować do nich teorję piękności, powinien zasłaniać ich jedynie od płaskości, owéj właściwéj niemoralności genjuszu, a gdzie ta się ukaże, tam nieubłaganym powinien być jéj prześladowcą. Powinien staranie wyłączać wszystko, co nie odpowiada pierwotnéj ich naturze, to jest prawdziwéj, czystéj naturze człowieka w bóstwie, albo bóstwa w człowieku, a zarazem wynajdywać prawa, które stósownemi są dla jéj rodzaju. Sam poeta jest naturą nadzwyczajną i odrębną, powinna go tedy krytyka sprowadzać na powrót do natury w ogólności; jéj bowiem nie wolno tak jak jemu popisywać się jakąś oznaczoną właściwością.

Wara jéj od każdéj szczególnéj predylekcji, chociażby jéj cele były najchwalebniejsze! Nie powinna też krytyka być policją, która wszystkiego zabrania, co jest nieprzystojném, albo też coby złym przykładem wywołać mogło jakowe zgorszenie.

W obec bóstwa, krytyka powinna brać na się rolę panteizmu, dla którego toż bóstwo i natura: sztukmistrz, dzieło sztuki i sama sztuka nierozdzielną stają się jednością. Sztuka sama dla siebie jest celem: krytyka tedy powinna przestrzegać artystę, jeżeli zechce użyć téj sztuki jako środka, jakkolwiek nie służy jéj prawo wmuszania weń innego celu po za nią leżącego, chociażby takowy był najmoralniejszym i najczystszym. Toć i praktycznych nauk wolno zapytać, na co się one przydać mogą, ale saméj nauce, nauce w swéj nierozdzielnéj jedności, pytania takiego zadawać nam nie

wolno. Wiadomo, że Platon Homera wyganiał ze swojéj rzeczypospolitéj, ale mu przez myśl nie przeszło, chcieć z niego użytkować w inny sposób, któryby z poetyczną jego naturą mógł nie być w najzupełniejszéj harmonji.

Czy ten rodzaj poezji, za któréj najcelniejszego u nas przedstawiciela, po części nawet twórcę, słusznie *Wincenty Pol* uchodzi, czy ta poezja, pomimo niezaprzeczonych swych piękności jest prawdziwie poetyczną, oto pytanie, na które dziś sobie odpowiedzieć zamierzyliśmy. W inném miejscu i z okazji dawniejszego utworu tegoż poety, Gawędy jego określiliśmy jako: nie ckliwą już łzawością, ani szorstką rubasznością, ale rzewną męzkością odznaczone. W saméj rzeczy, ważna część téj zalety włożoną być winna na karb samego przedmiotu, który zwykle wydobyty z jędrniejszéj przeszłości, ukazuje postacie przodków w całym uroku samodzielnéj siły, z całym zapasem uczuć religijnych, nieraz nawet dziecięcéj prostoduszności. Dla tego też Książę *Panie Kochanku* i p. *Benedykt Winnicki*, odżyli w poezjach *Pola* z całą świeżością swojéj indywidualności, a odżyli jednak ze strony piękna, bez wybryków przesadzonéj szablistości, bez owéj, że tak powiemy, deklamacji w czynie, która akcje jednę nastrzępia na drugiéj, i w tém nienaturalném często kroć połączeniu okazuje wprawdzie zbiór wszystkich po szczególe oznak rodzajowych, ale nie wykazuje najgłówniejszéj właśnie w nich cechy jedności. Dobrze to więc było, dopóki tak odznaczone charaktery występowały w utworach poety; — ale już w *Zgodzie Senatorskiéj*, gdzie zamierzył ogólny dać obraz pożycia szlacheckiego, swarliwego i ruchliwego w sobie, trudniéj mu było zdążać za zmiennością przedmiotu, zwłaszcza że i postać Księcia poetów, jakkolwiek zaprawdę dość wydatna i z innéj strony naturalnie uchwycić się dają-

ca, rozmgloną tu została w jakimś niedostatku pewności artystycznéj, w jakimś braku stałego punktu, z któregoby przystęp do niéj mógł być najłatwiejszy.

W wyższym stopniu jeszcze te wady rodzajowe powtarzane widzimy w *Sejmiku w Sądowéj Wiszni*. Ktoby nas zapytać chciał o treściwe jądro tego poematu, w niemałym postawiłby nas kłopocie, tak dalece to prawda, że widocznie przed oczyma poety przesuwały się jedno po drugich wspomnienie studjów i osobistości, którym dał się unosić bez steru i których nawet w zewnętrzną całość powiązać prawie nie usiłował. Jeżeli istotnie zamiarem było autora, jak to w przypisku utrzymuje, „objaśnić tą tradycją wewnętrzne polityczne życie i w części choć przynajmniéj owe pobudki moralne, zasady i obyczaje, które kierowały działającemi ludźmi," tedy zataić sobie nie możemy, że zamiar ów najzupełniéj w tym utworze jest chybiony. Jakież objaśnienie tego życia i tych moralnych pobudek wypłynąć może z opisu ciągłych pijatyk i bijatyk, jeżeli za objaśnienie uważać nie będziemy kilkunastu wprost już dydaktycznych ustępów, które znowu niepodobna, iżby nas przywabiały swą istotą poetyczną. Jako bowiem w jednych akcja, tak w drugich refleksja odbywa się bez owéj delikatnéj cechy piękna, która jedna najprawdziwszą rzeczywistość podnosi do wysokości ideału; a dopiéro tam, gdzie nasz poeta kreśli niektóre ulubione przez się postacie, których indywidualność widocznie we wszystkich szczegółach w sobie wyrobił i przetrawił, znowu staje się samym sobą i z radością witamy tę twórczą siłę, co w plastycznych odtworach wciela nas niejako w tajemnicę owych istnień, jak gdybyśmy im współcześni żywem okiem dopiéro na nie poglądali.

Na czele takich figur w *Sejmiku w Wiszni* stoi pan Sędzia

Chojnacki, typ znany nam już z poprzedniéj *Senatorskiéj Zgody*, ale tu w całym blasku bogactwa swojego przedstawiony. Poznajemy tedy w panu Sędzim i biegłego dyplomatyka, i dzielnego rąbacza i potężnego wroga pełnych kielichów i poświęconego dla kraju, może bardziéj jeszcze dla swojego powiatu obywatela; poznajemy zaś nadewszystko pobożnego i gorliwego chrześcianina, któremu wprawdzie zrazu wydawała się

Pokora akt godziwy, lecz tylko przed Bogiem!

Ale który idąc za świętym przykładem, samego już siebie pokonywa i własnéj urazy nigdy się nie mścić postanawia. Przedsejmikowe intrygi sędziego po licznych onych szlacheckich zaściankach, w sposób mistrzowski powiodły się poecie, a powiodły dla tego, że w nich wszystkie szczegóły zwrócone do jednego punktu wyjścia i pierwotne znaczenie każdéj osobistości utrzymane jest w niczém niezmąconéj sile. *Książę* Generał za to słabiéj odrysowany; nie staje już przed nami w całéj figurze naturalnéj, ale raczéj w popiersiu, które całéj postaci historycznéj po zatartych nieco konturach domyślćć się nie dozwala. Gdybyśmy zaś, niezależnie od tego wrażenia całości, do którego nas może głównie, choć mimowolnie nałożyły porównania z innemi utworami znakomitego pisarza, gdybyśmy się tu bliżéj zastanawiać mogli nad pojedynczemi rysami, gęsto tu i owdzie rozlanemi, gdybyśmy każdy epizod wyrywać chcieli z swojéj oprawy i rozdrobniwszy go jeszcze na węższe rozmiary, przewodniczącéj każdemu z nich myśli starali się dobadywać, ileż to jeszcze rozlicznych piękności odkrylibyśmy przed oczyma czytelnika! Powtarzamy jednak, że w poezji jak w każdéj sztuce, zbiór piękności nie jest jeszcze pięknością, że jak w historji z największém zajęciem opowiedziane pojedyncze fakta, ló-

żno pomiędzy sobą powiązane, nie stanowią historjografji pragmatycznéj, tak też fakta połączone węzłem gderającéj refleksji, chociażby najskuteczniéj przez urok przedawniałego języka wspieranéj, nie utworzą jeszcze godnéj poezji historycznéj. Jeżeli zaś sama skromność tradycji sejmikowéj może do zbyt wygórowanych w tym względzie wymagań nie upoważnia, tedy inaczéj ma się już rzecz z *Mohortem*, rapsodem rycerskim, przez poetę wprawdzie również włożonym w usta pana Ksawerego Krasickiego, ale jeżeli dobrze rozumiemy znaczenie rapsodu, bardziéj już poniekąd zakrawającego na epopeję. Sam p. *Pol* w objaśnieniach oświadcza, że podania o *Mohorcie* zebrał i przedstawił w téj formie, w jakiéj na niego przeszły, jakkolwiek ten rodzaj odstępuje od wszelkich aż po te czasy sformułowanych rodzajów poezji. Chodziło mu zaś „o wskrzeszenie w tym rapsodzie jednéj tylko postaci, o skreślenie jednego tylko charakteru, i to jest stanowisko, w którémby rad ujrzał swojego czytelnika.'' O ile nam wiadomo, na tém właśnie polega najważniejsza cecha poezji epicznéj. Epos zawsze tylko do czynienia miewa z jedną postacią główną, z jednym bohaterem; potrzeba wszakże, iżby ten bohater żyjącém był uosobieniem jednéj epoki lub jednego narodu, tak, iżby w nim jak w mikrokosmie odbijały się wszystkie téj epoki, tego narodu wybitne właściwości i szczegółowe dążenia. Arystotelesowska jedność miejsca i czasu w dramie nie ostała się przed wirem wychodzących z siebie wyobrażeń; ale jedność i wyłączność przodkującéj figury w epopei, nie została wyrugowaną przez żadnego o ile wiemy epika. To właśnie, co zupełnym swym brakiem z *Sejmiku w Wiszni* uczyniło poemat w sobie nieokreślony i wahający się, to *Mohortowi*, nawet pomimo woli poety, nadaje oznaki poematu bohaterskiego.

Prawda tylko, że do epopei oprócz téj jedności potrzeba jeszcze czegoś więcéj, inaczéj bowiem zbyt łatwo ulega niebezpieczeństwu wpadnięcia w otchłań mniéj więcéj poetycznéj tylko monografji. A najprzód sądzimy, że i w tym znowu utworze rozminął się autor z pierwotném swojém założeniem. W saméj rzeczy bohater poezji bohaterskiéj niekoniecznie potrzebuje być postacią we wszystkich swoich objawach wielką; owszem i ludzkie plamy, zamiast szpecić go, dadzą mu przeciwnie zaokrąglenie artystyczne, kiedy górując nad namiętnością, czasem nawet pod brzemieniem jéj upadnie, byle wrodzona cnota podnosiła go wnet do własnéj wysokości. Ale oryginał nigdy nie powinien i nie może być przedmiotem epopei; samo bowiem znaczenie oryginału, zawiera w sobie oderwane od całego otoczenia cechy i nie pozwala się z niém zrosnąć i zjednoczyć, kiedy przecież w téj głównéj postaci streszczać się i schodzić mają wszystkie zbiorowe oznaki współczesności. *Mohorta* sam autor nazywa figurą oryginalną i uznajemy, że taką jest w istocie, — wyprzedził bowiem o kilka dziesiątków lat owe typy surowéj żołnierskiéj karności, których na nieszczęście w wojskach rzeczypospolitéj nigdybyś się nie był dopatrzył. Ale na tém też kończy się cała oryginalność postaci *Mohorta*, a na jéj niekorzyść i to jeszcze przemawia, że pod koniec już jego karjery, że np. za Księcia Józefa, taka niezłomna dziarskość wojownicza nie należała już bynajmniéj do rzadkości. *Mohort* był oryginalnym tylko w swojéj epoce, nie wyobrażał jéj tedy, a nawet większości swoich współtowarzyszy bynajmniéj nie uosabiał; *Mohort* nie byłby już oryginalnym dzisiaj, kiedy podobnych jemu starych wiarusów, niemal na krocie już naliczysz.

W czém zaś głównie zdaniem naszém w mimowolną z so-

bą wpadł sprzeczność nasz poeta, to w tém, że zdawało mu się, iż pisze *rapsód rycerski*, a napisał jedynie opowiadanie żołnierskie. Boć i żołnierzowi nie odmawiajmy głębokiéj wiary religijnéj i zdolności przejmowania się każdém głębszém uczuciem, jakie wprzódy jeszcze, nim stał się żołnierzem, poruszało już serce człowieka. Na rycerza zaiste potrzeba już czegoś więcéj: potrzeba właśnie owego szerszego poglądu na świat, na swoje i na cudze stanowisko, a jeżeli jeszcze ten rycerz ma być bohaterem poematu, naówczas koniecznie już potrzeba, iżby nie obracał się ciągle w tém jedném, ciasném kołku, ale iżby albo sam po za nie się wychylał, albo téż, iżby podstawa jego była dość wysoką, by z odległości nawet wygodnie był dojrzanym.

Nie zapytujemy was nawet, czy takim bohaterem jest *Mohort*, bo przewidujemy, że tytuł tego pomeatu żadnego w nikim z was nie obudził wspomnienia, żadnéj téż myśli nie wywołał. Nie wiedzieliście zapewne, że *Mohort* za ostatniéj wojny Szwedzkiéj r. 1709, był już Namiestnikiem i że w 1792 roku, licząc lat 80 służby, poległ w bitwie na grobli Boryszkowskiéj. Otóż bez wątpienia dzielna to postać starego wojaka, który jeszcze do tego blizko całe swe życie przepędził w jednostajnéj służbie na kresach ukraińskich: były to najbardziéj naprzód wysunięte wedety, a więc i starcia się były liczne i przedmiotów do gawędki oczywiście o nich nie zabrakło. Ale poeta nie kusił się o zebranie tych łżejszych epizodów, jemu szło o przedstawienie swojego *Mohorta* we wszystkich fazach życia; więc poznawszy nas z nim w mistrzowskim wstępie, kiedy opowiadający pan Ksawery zastaje go nocną porą śpiącego na koźle w obozie:

Przetarłem oczy, bom nie wierzył sobie
I rozumiałem, że mi się przyśniło,
Jakieś widziadło, niby w nocnéj dobie,
Jak gdyby z grobu powstał Hetman który,
Taki mnie widok ugodził potężny,
Taki mąż siedział przedemną orężny;
Sędziwy, dzielny, groźny i ponury.
Na koźle z drzewa uciesanym siedział,
Niby na koniu, a choć sobie drzymał,
Czuwał jak żuraw' i o sobie wiedział,
Bo śpiąc, pistolet w prawéj ręce trzymał.
Biały włos lekko osrebrzał mu głowę,
A rysy były tak pięknie-surowe,
Że więcéj prawie podobien zdaleka
Był do posągu, niźli do człowieka.
Był to pan Mohort.

następnie przeprowadza na czele chorągwi przezstepy,— w pewnym rodzaju autobiografji przedstawia przeszłe jego koleje, nawet sercową strunę porusza z całą siłą swego talentu, obraz hetmana w tak bliskiéj ukazuje styczności, że lgniemy całą duszą do téj prześlicznéj postaci; następnie przyjaźń jego z Księciem Józefem, któremu w rzemieśle żołnierskiém wybornym staje się nauczycielem, maluje się z całym wdziękiem właściwego już téj późniejszéj epoce kolorytu, a zakończa na opisie bohaterskiéj śmierci starego żołnierza, która godnie wieńczy tak długi i waleczny jego żywot. Przytém strona religijna starego *Mohorta*, we wszystkich tych przejściach odbijająca się silnie i stanowczo, pięknie zaokrągla całość postaci, jakkolwiek mniejszy może rygoryzm nietyle byłby zaszkodził w téj mierze poetycznemu prawdopodobieństwu.

Wykończenie formy starańniejsze w *Mohorcie*, niż w po-

przedzającéj tradycji, czyni z téj pracy poety, obok niezaprzeczonych zalet pomysłu, albo przynajmniéj obrobienia (gdyż pomysłu sam autor stanowczo się wypiera), dzieło sztuki, w którém piękność szczegółów walczy o lepsze z pięknością całkowitéj postaci bohatera. Ale oprócz téj postaci w sobie spójnéj, inne w tym utworze rysy nie przylegają do siebie szczelnie, samo zaś tło nie jest tak wyrazistém, iżby koniecznie ów bohater, nie kto inny, musiał być niezbędnym, najlogiczniejszym jego wynikiem.

Każdy z rapsodów *Homera*, oprócz fizjonomji głównie w nim przodkującéj, wykazuje jeszcze tysiączne inne, które wprawdzie posłużyć mają na jego uwydatnienie, ale któreby i same w sobie wcale poetyczną i piękną stanowiąc całość, jednak nie podpadały wadzie odrywanych od siebie szczegółów albo epizodów.

Wincenty Pol w dwóch poematach, nad któremi dzisiaj zastanawialiśmy się, albo jednéj albo drugiéj ostateczności uchronić się nie chciał, czy nie umiał. A ponieważ sam uznaje, że jego *Mohort* należy do niesformułowanych dotąd rodzajów poetycznych, nie radzibyśmy wprawdzie nazwać go monografją, ale sądzimy że jest tylko obszerną w swoich rozmiarach *Balladą*, nie wznoszącą się nawet do godności zbioru hiszpańskich romanserów, które w tak cudownych i żywotnych zarysach przedstawiają nam poetyczne dzieje *Cydów* i *Don Pedrów.*

GWIDO I DUMKI.

przez H. J.

(Lwów. Nakładem H. W. Kallenbacha 1856 roku).

Jedną bezwątpienia z najczystszych i najwyższych rozkoszy w naszym zbyt często cierniami wysłanym zawodzie krytyczno-literackim, jest spotkanie się z utworem wartości znamienitéj, którym uznanéj zasługi pisarz nową dorzuca cegiełkę do wznoszącego się coraz okazaléj gmachu ojczystego piśmiennictwa. Ale żaden jednak przybytek do tego drogiego i nieprzebranego skarbu naszego, jeżeli z hojnéj od dawna już przychodzi ręki, taką nas nie napawa radością, jak ukazanie się nowego dlań źródła bogactw, ze strony dotąd dla nas niezbyt obfitéj, i z imienia, z którém niemal po raz piérwszy dzisiaj serdecznie się witamy. Otóż taką była nasza roskosz i radość, gdy wziąwszy do ręki kilka drobnych tomików poezji, wydania Lwowskiego Księgarza *Kallenbacha:* pp. *Mieczysława Romanowskiego, Aleksandra Morgenbessera* i innych, o których zbiorowe czytelnikom naszym

sprawozdanie złożyć zamierzaliśmy, natrafiliśmy pomiędzy niémi na jeden, objętością bodaj czy nie ze wszystkich najdrobniejszy, ale pięknością treści i formy tak wysoko nad niémi górujący, że połączenie go z tamtemi mielibyśmy sobie za popełnienie śmiertelnego grzechu. *Gwido* i *Dumki* p. *H. J.* (abłońskiego), szczególnie zaś piérwszy, obszerniejszego już nieco zakresu poemat, zdaniem naszém tak niepospolitym są utworem poetycznym, tak znamienitego zwłaszcza na przyszłość rokują nam pisarza, że bez względu na małą liczebną ilość kartek niewielkiéj książeczki, ani na chwilę oddzielnego jéj artykułu naszego poświęcić nie wahamy się.

Gwido jest artystą: wysnucie życia artysty, jego stosunki do życia ducha i do życia zewnętrznego świata, jedyném zadaniem naszego poety. *Gwido* wzrósł na ziemi ojczystéj, w otoczeniu bujnego stepu, pod surowém okiem miłującego ojca, pod czułém wejrzeniem macierzyńskiém. Ale swoboda stepowa ogarnia umysł młodego pacholęcia, który swoim uczuwa się tylko pośród śpiewaków polnych:

Jak to roskosznie było mi na łanach!
Jakoś myśląco, jakoś dziwnie smutnie,
Szumiały fale i wiatr na kurhanach;
Nie raz się zdało, że to Boże lutnie,
Więc drżąc słuchałem, drżący na kolanach
Ze łzą, i w piersi bijąc się pokątnie.

Dla *Gwidona* cała natura jest harfą w Bożym ręku; jemu hymn radośny dzwoni porą wiosenną, jesień wydaje tony żałoby i jęku:

Tak zrozumiałą były dla mnie mową
Pluskania fali, wichrów nocne szumy,
I śpiew słowików w jasną noc majową,
I żab grających na bagniskach tłumy,
I rozpłakane w skargę Bojanową,
Błądzące z wiatrem po mogiłach dumy.

Gwidona gienjusz ustala się w muzyce. Uosobienie tego gienjuszu, który zrazu jest poetą twórczym i odtwarzającym, bez względu na materjał artysty, w którym tworzyć mu wypadnie, uosobienie go pod postacią mistrza, dziwnym zachwyca urokiem:

Nauczyciel nowy
Miał twarz jak rzymskie wspaniałe oblicza,
Czoło wyniosłe jaśniało spokojem,
A nad nim smutku chmura tajemnicza...
Z ócz dziwny urok jakiś lał się zdrojem,
W ustach i twarzy niewinność dziewicza.
Widzę go zawsze, tu przed sercem mojém
Świeci jak posąg marmurowém czołem...
I zawsze ze mną, jak duch niewidomy,
Moim szatanem, czy moim aniołem?
Próżno odpycham, próżno czas łakomy
Pędzę w niepamięć, próżno go przeklnąłem,
Zawsze tu świeci . . . . . .

„Porzuć tę ziemię,” mówi gienjusz,
„Porzuć tę ziemię, tego pola kawał,
Bo nam potrzeba nowych apostołów!”
Jako dziedzictwo kraj rodzinny dawał,
I naglił spieszyć na duchowy połów.
„Mamy, kto będzie karmił i napawał,
Lecz mało, mało godnych ludzkich stołów.

Dołem ciemnota i górą ciemnota,
A w mroku senne snują się widziadła;
A stara sława świeci jar tarcz złota,
Tylko ją dzisiaj nowa rdza przypadła,
Tylko nas stara opuściła cnota:
Stare żelazo poszło dziś na radła."
„Na drodze wybranéj," mówi ten gienjusz,
„Pełno obłędów, wichru i zamęty;
Lecz słuchaj serca i zorzy różanéj,
Bądź czysty myślą, za murami święty,
Pragnij jak prorok ziemi obiecanéj,
Umrzéj dla sztuki, — będziesz wniebowzięty!
Nie idź z przekupniów bezduszną gromadą,
Co wziąwszy z niebios wyższe namaszczenie,
Drą je na szmaty i na jarmark jadą,
Po błocie włóczą aniołów odzienie....
Tłum chcą zachwycać swoją twarzą bladą,
Zawrotem oczu nadawać natchnienie!

„Precz sąd puszczyków! ciebie niech osądzą
Bijące serca, promienne źrenice,
Błogosław ciszę od zachwytu drżącą,
Błogosław drżącą spojrzeń błyskawicę,
Oczy nie zwodzą, — a serca nie błądzą.

„Błogosławiony, kto jak ptak na drzewie
Rodzinną pieśnią wyspowiadał duszę;
Kto zna poezją, a o sztuce nie wié;
Nie błądząc w ciemnéj pojęć zawierusze,
Ducha melodji duchem przeczuł w śpiewie.
Komu muzyka jak Rusałka śpiewna,
Powiała czasem w cichą noc majową,
I rozpłakana na mogiłach, rzewna,
Jak senny anioł latała nad głową;
A w noc burzliwą, jak nocnica gniewna,
Huczała w chmurach trąbą piorunową;

A po parowach wyciem wilków głuchém!
Błogosławiony, kto melodji słucha
W naturze całéj ducha wieszczym słuchem,
Kto w szacie dźwięków poznał dźwięków ducha,
I czuciem piękna stał się równie duchem,
Promiennym, jasnym. . . . .

„Kto duchem w pienie nie wcielał się Boże,
Za czysty akkord nie stał duszą czystą,
Nie padł kropelką w to bezbrzeżne morze,
Ten nie jest duchem, poetą, artystą,
I berła ducha posiadać nie może.

Z umysłu i wbrew naszemu zwyczajowi w obszerniejszém tu przytoczeniu podaliśmy główne nauki młodego mistrza-genjuszu. Jest to niejako kwintessencja gorącéj miłości poety dla swéj sztuki; sądzimy téż, że czytelnik będzie nam szczerze wdzięcznym za poznajomienie go z temi pełnemi zapału zwrotkami. Odtąd każda myśl i każde marzenie *Gwida* były o muzyce; ona mu modlitwą codzienną, pracą i spoczynkiem. Tęsknota za krajem wawrzynu i wiecznéj wiosny porywa go; nie wstrzymuje przekleństwo konającego ojca, którego głównie zabija przesądna myśl sztaroszlachecka, że syn wychodzi w świat muzykantem; nie wstrzymuje rozpacz czołgającéj się u stóp jego matki, łzy osieroconych siostrzyc. Po téj rozdzierającéj scenie pożegnania, młody artysta, który przysiągł, że celu swojego dopnie, choćby go droga do niego wiodła przez płomienie, szuka przewodnika na téj stroméj drodze, a znajduje rzeczywistość rozczarowania. Ale żaden mróz owéj rzeczywistości nie potrafi ostudzić świętego zapału; nawet miłość, miłość namiętna i wrząca jak krew Włoszki, pod postacią Angeli, napróżno objąć go pragnie w swoje sidła. Wszystkie ustępy

o téj miłości, to płomiennemi wybuchami południowego szału, to znów rzewną tkliwością przejmują aż do głębi. Angela widząc się zaniedbaną dla szczęśliwszéj rywalki, dla sztuki, powoli gaśnie i umiera. Uczucia ludzkie artysty wszystkie już zostały podeptane; uczucia syna, brata, kochanka, ojca, — odzywa się z podwójną mocą uczucie szatańskie: żądza sławy. Raz jeszcze pożyczamy słów poety:

Lud wszędzie jeden, i nędza ta sama,
Wszędzie się błotem, jak zwierzę pokala;
Uderz w swobodę, to piekłem zapłonie
I duch wyleci, co grody rozwala, —
I grób rozburzy i ziemię pochłonie.
Uderzę w struny, a mętna ta fala
Na jasne, czyste przemieni się tonie,
I Bóg się przejrzy w fali zwierciadlanéj,
Jak słońce w morzu, i zostanie z nami.
Uderzę w struny, a z piersi wezbranéj
Wypłynie miłość pełnemi tonami,
Pobłogosławią téj gwiazdzie zesłanéj,
Uznają piękność, będą aniołami!
„Signor Polacco!" coś-bo pogrzebowo!...
Precz z taką nótą!...

Drwiny tylko albo nieco czczych oklasków sztukmistrz, zyskuje w zamian za darowiznę całéj swojéj duszy. Wirtuoz występuje przed publicznością:

. . . . . . Nie zapomnę wiecznie!
Struny mówiły, by duch wstąpił na nie.
Anioł melodji zajaśniał słonecznie,
I grę mą mienił na niebios wołanie.

Sierocym płaczem zajęczały struny,
Dźwięki płynęły jako łzawe fale...
Ciszéj i ciszéj, niby jęki z truny,
Nad którą dzieciom wzbronne nawet żale.
Nagle zagrzmialém, — cisnąłem pioruny!...
I łzawem okiem spojrzałem na salę.
Na sali śmiechy, rozmowy, aż gwarno..
Sypnęli okłask .. jakbym prosił o to!
Piérwszy raz na świat popatrzyłem czarno;
Grałem kamieniom, perłym rzucał w błoto!
Sprzedamże duszę za ich płacę marną?
Wstałem...i w oczy cisnąłem im złoto...

Nareszcie złamany rzeczywistością artysta, wraca w rodzinną stronę, a muzyka jego wyléwa się jeszcze w dumkach ludowych.

Wieśniak mnie słucha, łzami oczy rosi,
I śpiewa ze mną, i już w Ukrainie
Nie jednę dumę moją wiater nosi.
Ilekroć w sercu własne śpiewam żale,
Nikt mnie nie pojmie, słuchają kamienie,
A wtórzy echo przykute na skale.
Gdy z serca ludu snuję moje pieśni,
Las mnie rozumie i rozumią fale,
I całą strunę w Bożą harfę mienię.
Wtenczas nie bolą mnie najkrwawsze ciosy,
Nie liczę żadnéj bolesnéj ofiary;
Bo w duszy czuję wszystkie niebios głosy,
A w sercu czuję wszystkie niebios czary!...
Jestem jak lilja, pełna woni, rosy,
Kwiat na śmiertelne położony mary!

W epilogu poeta bliżéj rozwija swoje pojęcie o missji artysty. Epilog ten wyobraża sąd Boży po śmierci *Gwida*, a po-

mimo licznych i w nim piękności poetycznych, pomimo zakroju bezwątpienia szczytnego, pomimo szerokiego tchnienia duchowego, jakiém ten cały ustęp jest owiany, wolelibyśmy, iżby *sens moralny* poematu, słuchacz raczéj w własnéj swéj duszy dośpiewał, aniżeli że go tu w profanacji, broń Boże! nie dogmatycznéj, ale poetycznéj, oglądać musimy jak na dłoni. Łagodzi się gniew Boży wywołany oskarżeniem o spowodowaną śmierć ojca, matki, kochanki, ale sąd wezwany na artystę, że wyższe miał powołanie, że wziął talenta od Pana i zakopał je, kończy się groźnym, choć proroczym wyrokiem:

„Zostań na wiele dni
Na dzikiéj Bohu skale,
Jako odgłos dum ludowych!
Nieś je z wiatrem po nad fale
W step, do stromych skał Dnieprowych!
Bądź odgłosem dum pokutnym!
Trącaj serca jękiem smutnym!
Aż się znowu mistrz urodzi,
Co pracując dla mnie szczerzéj,
Wszystkie dumy w sercu zbierze,
Z serca wygrzmi pieśń swobodną,
Godną ziemi, nieba godną!
Ten cię oswobodzi!"

Nie zaprzeczamy siły temu zakończeniu, lecz powtarzamy, że tę winę zagrzebania talentu i niestawania z lichwą godziło się dotykalniéj uwydatnić w postaci *Gwida*. Epilog sam w sobie obfity w rozliczne piękności, nie tworzy jednakże całości z poematem, którego najbardziéj promieniejące strony widocznie zmierzały do innego celu. W saméj rzeczy wrażenie, jakie ten poemat sprawić musi na bezstronnym

czytelniku, jest niesłychane, ogromne. Jakkolwiek na tle narodowém, nie jest to jednak poezja ograniczona, miejscowa, jest to poezja szeroka jak ludzkość i głęboka jak duch człowieczy. Artystyczny demonizm *Gwidóna* nie przeraża, jego tkliwość sercowa nie ckli nas przesadą: czerstwość uczucia przy głębokiéj wrażliwości zmysłu sztuki cechują tę piękną kreację.

Cóż powiemy o formie tego poematu, która z małemi wyjątkami prawie wszędzie jest mistrzowską? Sestanzy (sesterime) pod biegłą ręką poety ciągną się nieprzerwanym sznurem kosztownych pereł, z których niemal każda w równie kosztownéj lśni osadzie. Zarzucilibyśmy chyba tylko, że ta właśnie potoczystość w budowie wiersza, w takim związku będąca z jasnością myśli, a obie niekiedy symetrycznie jakim wybrykiem ironji przerywane, przypominają gdzie niegdzie formę utworów niezrównanego śpiewaka Żmii. Ale zarzut ten w saméj istocie nie jest zarzutem. Młody poeta (bo chociaż żaden szczegół o osobistości autora *Gwida* nie doszedł do naszéj wiadomości, jednak zapewne nie mylimy się, gdy mu młodzieńcze przypisujem lata), młody poeta może nie wyrobił jeszcze w sobie samodzielnéj formy, więc tymczasowo cudzym posługuje się gienjuszem; ale co więcéj znaczy: wyrobił ducha myśli, wyrobił pogląd poetyczny, nie liryzmu mdłego częstokroć, albo mdławych wspomnień historycznych, którym kłaniać się mamy dla tego, że sympatyczne i poczciwe, jak gdyby sympatyczność i poczciwość nie były własnościami pozytywnemi, ale istniały tylko jako proste negacje niesympatyczności lub niepoczciwości; ale wyrobił poezję dążności wyższéj, filozoficznéj, takiéj saméj dążności, jaką my za jedną z istotą sztuki uznajemy.

Dla tego téż powtarzamy, wielkie rokujemy sobie nadzieje o przyszłości autora *Gwida*...

Dołączone do tego poematu *Dumki*, których tu jest jedenaście, jakkolwiek nie dosięgają jego piękności, przecież odznaczone są również siłą myśli i czystością formy. Niektóre z tych dumek treści erotycznéj, szczególnym jaśnieją wdziękiem; inne, jak np. *Pieśń moja*, rzadkie przedstawiają połączenie smutku i świeżości. Oby nas niezadługo znowu tyle obiecujący poeta nowym obdarzył utworem! Co do nas, sądzimy, żeśmy świętą spełnili powinność, gdyśmy uwagę publiczności zwrócili na tak znakomite i nowe na naszéj poetycznéj niwie zjawisko.

OPISANIE LASÓW

KRÓLESTWA POLSKIEGO I GUBERNJI ZACHODNICH CESARSTWA ROSSYJSKIEGO,

POD WZGLĘDEM HISTORYCZNYM, STATYSTYCZNYM I GOSPODARSKIM.

UŁOŻONE PRZEZ

A. Połujańskiego, Urz. leśn. Król. Polskiego.

(Cztery tomy. Warszawa, 1854 roku).

Zdawałoby się na pozór, że *Opisanie lasów* jako rzecz specjalności naukowéj, dla ogółu nawet mniéj może zajmującéj, nie powinno wchodzić w zakres tego ruchu literackiego, jaki czasopismo nasze przedstawia, i że bliższy téj pracy rozbiór odesłać wypadałoby do publikacji równie specjalnéj, jaką nasz świat leśniczy cieszy się w starannie redagowanym *Sylwanie*. Wszakże nie ten wzgląd stał się powodem, że przełamując przyjętą przez nas zasadę, potrącania o to jedynie, co piśmiennictwo nasze głównie w odniesieniu się do sztuki i do piękności podnieść albo pochylić jest w stanie, dzieło p. *Połujańskiego* dzisiejszego choć pobieżniejszego rozbioru przedmiotem uczynimy; ale raczéj ta okoliczność, że istotnie to dzieło, obok wyrazistych stron utylitarnych, obok

znaczenia ściśle technicznego, zawiera w sobie pomysłem i obrobieniem tyle materjału czysto-literackiego, że stało się, a przynajmniéj stać powinno własnością ogółu, że nie wypada, iżby pleśniało na półkach kilku wybranych leśników, kiedy z niego korzystnie zaczerpnąć może i historyk, i jeograf, częstokroć nawet badacz obyczajów i poeta. Inne nawet czasopisma, którym pod tym względem niechętnie dajemy się ubiegać, jak np. *Czas*, *Tygodnik Petersburgski*, *Gazeta Warszawska* i *Dziennik*, wystąpiły już z mniéj więcéj obszernemi sprawozdaniami o téj pod tyloma względami ciekawéj książce. Spełniamy tedy niezbędną powinność, podając tu do wiadomości czytelników naszych, treściwy obraz zawartego w materjału, który, oprócz lasów Królestwa Polskiego, obejmuje jeszcze gubernje: Wileńską, Kowieńską, Grodzieńską, Mińską, Kijowską, Wołyńską i Podolską.

Przystępując do układu swéj pracy, autor głównie bezwątpienia miał na myśli czytelników gospodarzy, którymby podręczną podał pomoc, w ocenianiu téj jeśli nie najważniejszéj, tedy zapewne nader ważnéj gałęzi rolnictwa, jaką jest u nas pielęgnowanie lasów; zaś w ocenianiu jéj pod względem samoistnym, a bardziéj jeszcze w rozlicznych jéj stosunkach do ogólnego gospodarstwa krajowego. Zdrowe zasady ekonomji narodowéj, oddawna już świetny i niczém niewzruszony wydały ten rezultat, że wzrost bogactwa krajowego, że kwitnienie całego towarzystwa, nie polega na mniéj lub więcéj szczęśliwém przeistaczaniu własności jakiego kraju lub narodu, na przyswajaniu przymiotów sztucznych, na przesadzaniu dążeń exotycznych; ale raczéj na staranném krzewieniu, na zamiłowaném pielęgnowaniu, na gorliwém podniesieniu tego wszystkiego, czém dobroczynna,

czém nawet skąpa przyroda ten kraj i naród pierwotnie obdarzyła. Dziękujmy Bogu, że podwójne w ostatnich latach usiłowania u nas także wypadek takowy dowodnie wykazały; że więc nikt już zapewne, nie powiemy o użyteczności, ale o bezwarunkowéj konieczności, o świętości obowiązku pielęgnowania lasów dziś i powątpiewać nie zechce. Tém pożądańsze tedy jest dzieło, które stawiając ludzi fachowych w możności korzystania ze wszystkich ulepszeń, jakie postępowa nauka w urządzaniu téj przeważnéj części narodowego bogactwa poczyniła, zarazem troskliwym o świetne przyczynki współziomkom, wierny i w swoim rodzaju wyczerpujący daje obraz tego obfitego skarbu, który Opatrzność pod nasze przechowanie powierzyła. Niedziw, że uniesiony ogromem przedmiotu, że potrącając na każdym kroku o kwestje ciekawe opisywania miejscowości i zrosłych z niemi wydarzeń, autor wysunął się tu i owdzie po za szranki swojego założenia, wszakże punktu zetknięcia łatwo każdy się dopatrzy, a to nawet, co z pozoru mniéj żywotną stanowiłoby cząstkę całości, to jako szczegół oderwany, zajmuje nas albo powabem nowości, albo jako szczęśliwie uchwycony i zręcznym opisem wyjaśniony materjał.

Skoro porównywamy to wykonanie pracy p. *Połujańskiego* z programatem przezeń przy końcu piérwszego tomu wyrażonym, wyznajemy, że takowe wykonanie o wiele już dobre chęci jego przewyższyło. I tak, autor pragnąc dzieło swoje uczynić zajmującém dla gospodarzy wiejskich, równie jak dla techników, starał się umieścić w niém zupełne, nietylko cząstkowe obrazy gospodarstwa wiejskiego opisywanéj części kraju, by tym sposobem porównać mogli obce z własném gospodarstwem. Postanowił więc wzbogacić swoje dzieło wzmianką o gospodarstwie rolném i domowém,

a opisując zakłady przemysłowe, leśne i spław drzewa, oraz wyrobów leśnych, nadmienić chciał także o innych zakładach przemysłowo-gospodarskich, tudzież podać krótki rys fabryk i handlu ogólnego, wewnętrznego i zewnętrznego.

Wiadomości historyczne i archeologiczne miały już tylko być przydatkiem, mieszczącym krótkie wspomnienia o słynniejszych miastach, wsiach i uroczyskach. Tymczasem z tak pobieżnego i lekko powiązanego planu, pod piórem autora wyrosła obszernych rozmiarów praca, którą co do sumienności w obrobieniu z jednym chyba tylko Opisem powiatu Wasyłkowskiego porównać bylibyśmy skłonni, zaś co do znaczenia i ogólniejszéj ważności, nad tę nawet znakomitą pracę p. *Rulikowskiego* przenosić nie wahamy się.

Tom *piérwszy*, największy objętością, zawiera wszystkie pięć gubernji Królestwa Polskiego. Część statystyczna, czerpana z najlepszych źródeł, nie przedstawia wprawdzie żadnéj strony nowością swą uderzającéj, ale rzadko gdzie zdarzyło się znaleść całość tak treściwie ujętą, tak we wszystkich postaciach dokładnie przedstawioną i zebraną. Położenie topograficzne Królestwa, ludność jego, rozgatunkowanie lasów podług własności, historyczny rys dawnego i teraźniejszego gospodarstwa leśnego, opisy wszelkich ku dźwignieniu leśnictwa zmierzających instytucji i urządzeń, nakoniec summa, z którą to leśnictwo w budżecie dochodowym kraju naszego figuruje, to ogólny obraz tego, co następnie bardziéj szczegółowe dane w opisach pojedynczych prowincji udowadniają. W opisie lasów gubernji Warszawskiéj, która pod względem postępowego gospodarstwa, tak leśnego jak i rolnego, celuje przed innemi, podaje nam autor nader ciekawy przegląd powiatów pod względem zamożności w la-

sy, mianowicie też z uwagą na rzeki spławne i na niezmierną łatwość odbytu, jaki te rzeki produktom leśnym zapewniają.

Rozsądna krytyka niè dość rozumowego urządzenia lasów w téj Gubernji, opartego po większéj części na zasadach dowolnie przyjętych, silnie zmierza do naznaczenia tym lasom właściwego stanowiska, jakie im z natury rzeczy przystoi. To też urządzenia skarbowe, z dobrém pojęciem nietylko bezpośredniego, ale pośredniejszego wpływu wydawane, za wzór stanąć mogą w téj mierze. Gubernia Radomska pod względem roślinności, tak samo jak i pod względem składów ziemnych nierównie bardziéj uroizmaicona i obfitsza, więcéj też niejako przedstawiała wdzięcznego materjału, tam zwłaszcza, gdzie autor stronę przyrody w poetyczniejszéj nawet szacie pod oczy nasze stawia. Nie trudno wprawdzie w licznych przypiskach o starożytnych miejscowościach nie domacać się powszechnie znanego źródła, z którego czerpane zostały, ale wszędzie gdzie szło jedynie o wyraziste odtworzenie rysów naturalnych, pán *Połujański* sam stąje się malarzem i pomimo przeglądających tu i owdzie ustępów literackich, widna w nich rzewna siła, na nieskrzywionéj prawdzie oparta.

W opisie lasów gubernji Augustowskiéj, mocno zajął nas historyczny rys bartnictwa, którego upadek wprawdzie postępuje w prostym stosunku z wzrostem racjonalnych zasad leśnictwa, z którego dochód jednakże w téj jednéj gubernji jeszcze przed dwoma laty blisko dwóch tysięcy rubli srebrem dochodził.

O rybołóstwie także w gubernji Augustowskiéj znachodzimy szczegóły ciekawe. Wiadomo bowiem, że w żadnéj innéj prowincji naszego kraju nie znajduje się takie mnóstwo

rybnych jezior, rzek, rzeczek i strumieni. W podobnym sposobie przechodzi autor guberuje: Płocką i Lubelską, a w téj ostatniéj mianowicie, obszernie rozwija przemysł fabryczny i rolniczy.

Ważną tu kartę zajmują urządzenia ordynacji Zamojskich, oraz opis pożarni w dobrach Gorzków, powiecie Krasnystawskim. Czytając takie opisy, zaprawdę wydziwić się nie można, dla czego podobne zakłady w kraju naszym dotąd są tak odosobnioną rzadkością.

Tom *drugi* obejmuje lasy dawnéj Litwy. Przedmiot sam przez się wprawdzie więcéj olbrzymi, ale który dla utrudzonéj sposobności czerpania ze źródeł urzędowych, jaka się tu autorowi w archiwach Kommissji Rządowych Przychodów i Sarbu i Spraw Wewnętrznych przedstawiała, nierównie mniéj łatwy do gruntownego zgłębienia i wiernego odtworzenia. Tém ważniejsze, a przynajmniéj ciekawsze, bo nam bardziéj nieznane są liczne szczegóły o wewnętrznych urządzeniach gospodarstwa leśnego i rolnego, już to na ogólnych w Cesarstwie istniejących zasadach, już téż z zastosowaniem się do zabytków z dawniejszych instytucji miejscowych. W opisie gubernji Grodzieńskiéj przedewszystkiém szukaliśmy i z zajęciem przeczytaliśmy rozdział *o puszczy Białowiezkiéj*, którego dziewiczość (proportions gardées), mogłaby pójść w zawody z olbrzymiemi lasami Amerykańskiemi. Smutny i tu obraz handlu leśnego, niezrozumienie prawdziwego interessu prywatnych właścicieli niemało znów daje do myślenia. Co do wysokości dochodu leśnego z lasów rządowych, piérwszą jest gubernia Mińska, drugą Grodzieńska, trzecią Kowieńska, a ostatnią Wileńska; w stosunku jednakże przestrzeni lasów w administracji rządu zostających, najkorzystniejszy rezultat okazuje się w gubernji Kowień-

skiéj. W ogólności jednak, mówi autor, wszystkie te cztery gubernje są zamożne w lasy, i jeśli rozpoczęte ich urządzenie rozciągniętém zostanie na całą przestrzeń, a ożywiony duch przemysłu i postępu w rolnictwie dojdzie do zamierzonego kresu, wówczas kraina ta zrówna się z krajami najbardziéj słynącemi z przemysłu i bogactwa.

W tomie *trzecim* umieścił autor *Opisanie lasów dawnéj Ukrainy, Wołynia i Podola.* Tom ten najmniéj może obfity pod względem rzeczywistéj treści przedmiotu, w czém znowu zapewne większa niedostępność źródeł stawała na przeszkodzie, tém bardziéj obfitúje w mnóstwo szczegółów statystycznych, nawet opisów dzieł sztuki, do których przedewszystkiém zaliczamy cały piękny ustęp o ogrodach w opisaniu gubernji Kijowskiéj. O uprawie lasów w téj gubernji sam autor powiada, że dotąd mało jest upowszechnioną, chociaż potrzeba jéj coraz więcéj czuć się daje. Łany gubernji Wołyńskiéj mniéj jeszcze przedstawiały przedmiotu do wyczerpującego opisu. Uprawy sztuczne wykonywają się tylko na małoznaczących przestrzeniach i to wyłącznie w lasach rządowych. Wynagradzając ważność tego braku, pan *Połujański* z widoczném zamiłowaniem obznajmia nas z kwitnącym stanem rolnictwa téj gubernji, a zamiłowanie to zbyt łaskawie rozciąga nawet do oświaty włościan i do dążności naukowych wyższéj warstwy społeczeństwa. Co do nas, składamy ręce na takie *pia desideria,* i z westchnieniem wyznajemy, że jedna jaskółka lata nie stanowi. Gubernię Podolską autor nazywa krainą błogosławionych, do któréj poeci wzdychają i którą przedstawiają w obrazach malowniczych. Ale pod względem uprawy lasów i przemysłu leśnego bardzo mało tylko znalazł tu dla siebie pokarmu. Prawda, że i powierzchnia leśna nie zbyt jest obszerna, ale

i obojętność mieszkańców na użytkowanie z tego daru Bożego niepojęta. Zapewne, jeśliby tu jeszcze praca usiłowaną została, jeśliby przemysł rozkrzewił się w fabrykach i rękodzielniach, a najbardziéj jeśliby uprawiano lasy iglaste nad brzegami *Bohu i Dniestru*, a zarazem te rzeki uczyniono zupełnie przydatnemi do spławu, wówczas by Podole było rajem ziemskim dla szczęśliwych przeznaczonym.

Z umysłu w tak pobieżnym przeglądzie staraliśmy się nadewszystko przedstawić stronę zajęcia ogólnego; chcielibyśmy bowiem dowodnie poprzéć wyrażone na wstępie założenie, że dzieło p. *Połujańskiego* zasługuje na to, iżby było podręczną książką dla wszystkich, co pod wszelkiemi fazami powierzchnię i obfite zasoby pięknego kraju naszego poznać usiłują. W saméj rzeczy nie szło tu o wydobycie nowych w dziedzinie naukowéj faktów, ale raczéj o porządne i umiejętne zebranie tego, co już istniało, o logiczną i pożyteczną kompilację, w szlachetném znaczeniu tego wyrażenia. Niech się też autor nie zrazi tym wyrazem! Kompilacja jego, to skarbiec szczegółów dziejowych, statystycznych, topograficznych, poetycznych nawet, a zawsze malowniczych; to skład głębokiéj erudycji technicznéj w przystępnéj szacie naturalnéj prostoty; to zbiór wiadomości najróżnorodniejszych, przedstawianych z całą skromnością talentu, czerpanych sumiennie u najlepszego źródła, zbiór, któremu dla tylu przeważnych zalet z głębi serca największego życzymy uznania i rozpowszechnienia.



KOSMOS.

RYS FIZYCZNEGO OPISU ŚWIATA
ALEXANDRA HUMBOLDTA

PRZEŁOŻYLI:

J. Baranowski, L. Zejszner i Hipolit Skrzyński.

(Trzy tomy, Warszawa, nakładem Henryka Natansona 1851 i 1852).

Jedno z najważniejszych miejsc w każdém żywotném piśmiennictwie bez wątpienia zajmują przekłady książek zagranicznych. Z pozoru wprawdzie wydaje się rzeczą obojętną, czyli obznajmiając publiczność naszą z płodami obcych pisarzy, traf losu albo rozmyślne działanie naprowadzą tłómacza na ten lub owy kierunek; bo gdy najczęściéj ten rodzaj pracy literackiéj zaprzedany bywa przedsiębierczemu duchowi księgarskiemu, trudno przypuścić, żeby kupiec (a z małemi wyjątkami u nas księgarz prawie zawsze jest tylko kupcem), nie natrafił od razu na właściwy gust publiczności, a zatém na to, co największą jemu zapewnia korzyść dotykalną. Ale z uwagi wypuścić nie należy, że tą publicznością, a przynajmniéj tym gustem kierować można, jakby okrętem na spokojnéj fali, że więc we wszystkich spekulacyjno-księgarskich przedsięwzięciach wysoka odpo-

wiedzialność ciąży przedsiębiercę, który nad zmudną i mniéj szybkim zyskiem cieszącą pracę wyszukiwania i wydawnictwa pokarmów zdrowych i posilnych, przekłada obrzucenie czytelników strawą płaską i powszednią, chociaż z pozoru może wykwintniejszą i bardziéj połyskliwą. W dzisiejszéj organizacji roboty literackiéj rzadko bowiem dozwoloném jest tłómaczowi, iżby sam sobie obierał książkę, którą przyswoić pragnie naszemu językowi; zwykle księgarz,—wydawca w téj sprawie ma głos stanowczy i jedyny, a wybór swój oblicza głównie według rozgłosu i wziętości, jakie książka, na którą się pokusił, w oryginale lub też w przekładach innych języków otrzymała. Nie obchodzi go tu bynajmniéj, czyli ta wziętość nie zawisła od przyczyn jedynie przypadkowych, czyli wewnętrzna wartość dzieła zapewni mu trwalsze nad chwilową skwapliwość przyjęcie, czyli przedewszystkiém to, co mogło miéć wielką nawet zasługę za granicą, u nas jest choćby pożądaném. W saméj rzeczy, inne bogatsze piśmiennictwa bez niebezpieczeństwa mogą rozpryskać siły swoje na różne strony działalności, a przecież im to ani wielkiéj ujmy nie przyniesie, ani oderwie od tego, co jest ważniejszém i co jeszcze do zrobienia pozostaje. U nas przeciwnie, niechaj dwóch tylko przedsiębierców ciśnie się do przekładu jakiego np. *Marcina Podrzutka*, albo *Samolekarza Raspaila*, którym jednego już za wiele, a dla literatury ubytek ztąd podwójny; raz że obrzuconą zostaje mizernym wyrobem w przekładzie jeszcze mizerniejszym, który jednak czytającéj publiczności wklepią (wyrażenie fachowe); powtóre, że i tłómacz i wydawca odstręczają się od dalszéj pracy, skoro dawna nie pozyskała uznania krytyki. Rzadko zaś, powtarzamy, trafiają się przekłady dzieł ważnego wpływu, których wybor poczyniónym został przez

samego tłómacza, już i własną pracą dobrze zasłużonego piśmiennictwu.

Arcydziełom tylko ten kosztowny został się przywilej, bo przekład arcydzieł, sam przez się trudny, nie przez byle kogo może być podejmowany, — dowodem czego, że najmniejszą tylko ilość prawdziwych literatury zagranicznéj arcydzieł w dobrych przekładach mamy sobie przyswojoną. Wprawdzie naturalną jest rzeczą, że mistrzowskie tłómaczenie, które zwykle więcéj czasu zajmuje, niż każda, najobszerniejsza nawet oryginalna praca, mniéj miłości własnéj pochlebia i przynajmniéj to w oczach każdego choćby najskromniejszego pisarza ma przeciwko sobie, że już ono zaszczytu tłómaczenia nie dostąpi. A jednak najznakomitsi pisarze zagraniczni, zwłaszcza w Niemczech, nie uważali za rzecz niegodną siebie, doświadczać sił gienjuszu na płodach obcych, nawet mniéj odznaczających się; tak Goethe przełożył *Pamiętniki Benvenuta Cellini*, Shiller mierne jakieś komedje francuzkie. U nas tylko rzecz ma się inaczéj. Chociaż pisarze tacy jak Korzeniowski i Odyniec uczuli ważność przeistaczania się niekiedy w pojęcia cudzych mistrzów, byly to tylko pojedyncze usiłowania, a gdzież u nas *Shakspeare* podobny *Schleglowskiemu?* gdzie *Milton?* gdzie *Goethe? Schiller? Lamartine* i *Wiktor Hugo?* Wszystko to są życzenia, kiedy natomiast potopem obrzydliwych ramot zalany jest targ książkowy, kiedy lada brudny romans chętnego znajdzie wydawcę i tłómacza, kiedy w dziedzinie nauk lada upstrzoną szumnym tytułem kompilacją zasypuje się oczy pozbawionym dzieł poważnych, a sumiennym czytelnikom. Przypominamy sobie pod tym względem artykuł o księgarniach Warszawskich, przed niejakim czasem w Gazecie Warszawskiéj drukowany. Autor tego artykułu, z poglądem zdro-

wym i dla wzrostu piśmiennictwa nader pożądanym, łączył wszelako pewną zbyt wielką dla takich prac oględność, i nie potępił dość silnie całéj téj ogromnéj, pod względem massy niezawodnie najznakomitszéj części naszego handlu księgarskiego, któréj my, co do nas, raczéj dziś niż jutro całkowitego życzemy zagładzenia.

Tém większa za to należy się cześć niektórym z Warszawskich nakładników, którzy pojmując stanowisko nietylko swoje, ale dzisiejsze całego naszego piśmiennictwa, skoro do przekładu arcytworów sztuki mistrzów naszych nakłonić nie zdołają, przynajmniéj dzieła stanowiące w nauce epoki językowi naszemu w wyborowych tłómaczeniach przyswajają. Do rzędu takich należą, na ich czele nawet stoją pp. *Orgelbrand* i *Natanson*, z których piérwszy wyłącznie prawie usiłowania swoje skierował na literaturę historyczną, czemu z pomiędzy wielu innych zawdzięczamy dzieła *Thiersa* i *Cantu*, drugi bardziéj się zwrócił w dziedzinę nauk przyrodzonych, zkąd, że o reszcie zamilczemy, wyszedł nieśmiertelny *Kosmos Humboldta*.

Przekład ostatniego dzieła, jako już dawniéj ukończony, najpiérwszy uwagę naszą zastanowi. Mówimy przekład, bo nie myślimy tu bynajmniéj wdawać się w rozbiór samego dzieła, nad którém literatura krytyczna sama już może zajęłaby książkę, co do voluminu jemu równą. Przekład ten uskuteczniony został w piérwszym tomie przez pp. *J. Baranowskiego* i *L. Zejsznera*, z których piérwszy jako astronom, drugi jako geolog i znakomity w tym zawodzie pisarz, naukowéj publiczności od dawna znani są zaszczytnie. Tom drugi i trzeci przełożył pan *Hipolit Skrzyński*. Dalecy jesteśmy, od uchybienia znamienitéj, a na siły jednego człowieka w tak krótkim przeciągu czasu olbrzymiéj

pracy, jaką p. *Skrzyński* tém tłómaczeniem dwóch ostatnich tomów *Kosmosa* na powszechną sobie wdzięczność zasłużył; żałować jednak możemy, że tłómacze piérwszego tomu nie wytrwali w dokonaniu tak pięknie rozpoczętego przedsięwzięcia, chociażby tylko dla tego, że nader ważnemi pod względem postępu nauki przypiskami, nader potrzebnemi dla czytających profanów objaśnieniami (a przecież głównie na takich dzieło to jest obliczone), niesłychanie te pracę swoją wzbogacili. Bądź co bądź, w przekładzie trzech tomów *Kosmosa* literatura nasza pozyskała dzieło, które nie bez wielkiego pozostanie wpływu na rozwój u nas, jeżeli nie naukowości, tedy przynajmniéj zamiłowania do nauki, lub przynajmniéj do pozoru, że rzecz poważna, że myśl głęboka, że szata niekoniecznie romansu lub powieści serdecznie nas zajmuje. Dowodem tego najbardziéj dotykalnym jest ta jedna okoliczność, że piérwsza edycja całkowicie już jest wyczerpnięta, a wydawca, o ile nam wiadomo, szykuje obecnie drugą, w wydaniu tańszém, tak ceną, jak objętością dla ogółu przystępniejszą i dogodniejszą. Rokujemy, że i na tém przedsięwzięciu p. *Natanson* się nie zawiedzie. *Obraz fizyczny świata*, obraz mający za tło najrozleglejszy jaki się kiedykolwiek w jednym zebrał człowieku zasób naukowy, a kształtowany przez niedościgniona intuicję gienjuszu, godną Newtona i Keplera, obraz taki niewielu zapewne znajdzie obojętnych, zwłaszcza gdy jak światłość słoneczna, rozlana jest po nim cała ta urocza poetyczność, koniecznie w tak nadludzkiéj niemal organizacji, którą bez zaprzeczenia jest *Humboldt*, przy opisach wielkości przyrody rozwinięta. Jakże wybornie maluje nam autor to uczucie, które go tak nieskończenie podnosi, a które i nas, przy tym olbrzymie karłów, bylebyśmy tylko wzrokiem dosięgnąć go umieli,

w najwewnętrzniejszém naszém przeświadczeniu uszlachetnia i uzacnia. „Gdy umysł ludzki śmiało wystąpi, mówi *Humboldt*, aby opanować materją, to jest świat zjawisk fizycznych; gdy się poważy rozumém zbadać tajniki bytu, ...ąć siły jawne czy to ukryte, zedrzéć zasłonę z przyrody całego jéj bogactw pełnego życia; natenczas stoi on tak wysoko, że nie masz dla niego jednostek, a w znikającym w dali widokręgu, widzi gromadne massy lekką mgłą owiane.” Istotnie czytając *Kosmosa*, zatapiając się myślą w cały ten niezliczony i niezmierzony obszar ciał niebieskich i ziemskich, zjawisk i jestestw organicznych i nieorganicznych, już nie błądząc po téj ogromnéj próżni, ale jakby w niebezpiecznéem przejściu zmierzając naprzód wzrokiem to miejsce, po którém stąpać zamierzamy, zdawało nam się nieraz, że prowadzeni silną ręką pewnego przewodnika, kroczymy w przestrzeni bez granic, tak jak ów wędrownik przy doświadczonym góralu, bezpieczny kroczy przez urwiska skał, po ścieżkach, które tylko o stopę od nieochybnéj przedzielają go przepaści i lawiny.

Jako dowód, że nie bez rozwagi upatrywaliśmy w wydawcy polskiego przekładu *Kosmosa* wybitną dążność do rozpowszechnienia dzieł treści nauk przyrodzonych, wspomnimy tu jeszcze (za nim w drugim artykule podobne znakomite przedsięwzięcia innych nakładców rozbierzemy), o wychodzącéj także staraniem p. *Natansona: Mechanice Teoretycznéj* i stosowanéj przez *Juljana Wejsbacha*, językowi naszemu przez p. *Stanisława Bakkę* przyswojonéj.

Dzieło to, które blisko 700 drzeworytami w tekscie zamieszczonemi opatrzone, zarazem pocieszający przedstawia obraz postępu u nas sztuki typograficznéj, tém ważniejszą a coraz bardziéj czuć się dającą zapełnia u nas

próżnię, ile że Nauka Mechaniki, zwłaszcza stosowanéj, chociaż tak ściśle i nierozerwanie z życiem praktycznem i niekoniecznie nawet z wyższém naukowém ukształceniem połączona, dotąd prawie opierała się na łasce kilku wybranych dzieł zagranicznych, a nieznajomość języków nieprzełamaną dla niéj stawała się zaporą. Przekład pana *Bakki* odznacza się terminologją nader właściwą, bo jasną i niepretensyjną a oprócz tego mnóstwem przypisów, w których albo dotknięte przez autora myśli obszerniéj przeprowadza, albo z własnego zasobu czerpane prawdy i ułatwienia uczącemu się podaje.

KONIEC.

NIEKTÓRE DZIEŁA NAKŁADOWE KSIĘGARNI

S. ORGELBRANDA.

		Rs.	k.
Bartoszewicz Juljan. *Królewicze Biskupi.* Żywoty czterech Kapłanów, 1851		1	50
Bielski Joachim. *Dalszy ciąg Kroniki Polskiéj*, zawierający dzieje od 1587 do 1589 roku w rękopiśmie odkrył i do druku podał, oraz historyczno-bijograficzny opis żywota i prac Marcina ojca i Joachima syna Bielskich, napisał i przyłączył *F. M. Sobieszczański*, 1851		2	25
Cantu Cezar. *Historja powszechna*, 11 tomów, 1853—58, cena w kraju 38 w Cesarstwie i za granicą		36	
Osobno ryciny kompletne		3	
Dzieje Polski, które stryj synowcom swoim opowiedział, przez *J. L.* powiększone dodatkami oraz rysem historyi literatury polskiéj, przez *L. R.*, z 12 mapkami i tablicami genealogicznemi, wydanie drugie, 1856		2	25
Gliszczyński Michał. *Znaczenie i wewnętrzne życie Zaporoża* podług *Skalkowskiego*. Hetmani Małorossyjscy i kozacy do czasów Unii, 1852		2	
— *F. Kallimacha Geminiańczyka* o królu Władysławie czyli o klęsce Warneńskiéj, przetłómaczył, przypisami objaśnił i bijografiją Kallimacha skreślił, 1854		1	20
Kordecki Ks. Augustyn, Przeor konwentu Jasnogórskiego. *Nowa Gigantomachia.* Pamiętnik oblężenia Częstochowy roku 1655 napisany po łacinie, przełożył wiernie *Józef Łepkowski*, z trzema rycinami, 1859		1	20
Kozłowski F. *Dzieje Mazowsza* za panowania książąt, z tablicą genealogiczną, 1859		2	70
Maciejowski Wacław Aleksander. *Roczniki i Kroniki* Polskie i Litewskie najdawniejsze, obejmujące: 1) Roczniki i Kroniki Polski Przedlechickiéj z uwagą na wszystkie ziemie pierwotnéj Polski najdawniejsze; 2) Roczniki i Kroniki Lechów i Lechii, z dwiema mappami, 1850		1	80
Milewski Karol. *Pamiątki* historyczne krajowe, 1848		2	
Parthenay Ks. *Dzieje panowania* Fryderyka Augusta II króla Polskiego, przełożył na język polski *T. H...rt*, z 7 rycinami, 1854		3	60
Przeździecki A. *Ślady Bolesławów Polskich* po obcych krajach, opowiadanie historyczne z 5 litografijami, 1853		1	20
Rogalski Leon. *Dzieje Krzyżaków*, oraz ich stosunki z Polską, Litwą i Prussami, poprzedzone rysem dziejów wojen krzyżowych, czerpane z najlepszych źródeł, ozdobione 12 rycinami na stali, 8-vo 2 tomy, 1847		6	75